www.tygodnikprzeglad.pl
Przegląd
Nr 23 (1065)
1-7.06.2020
Cena 7,50 zł
(w tym 8% VAT)

PROF. MAREK BELKA
MILIARDY NA NOWĄ UNIĘ

PROF. JAN WIDACKI
KAZUS MANOWSKIEJ

PROF. BOGDAN GÓRALCZYK
MAGICZNA MOC ORBÁNA

ANTYSZCZEPIONKOWCY GROŻĄ LEKARZOM

Kardynał Stefan Wyszyński

PRYMAS PATRIOTĄ PRL

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
23 >
9 771509 311003

POLSKI CZERWONY KRZYŻ

WWW.BADZBEZPIECZNY.PCK.PL

RAZEM W WALCE Z KORONAWIRUSEM!

POMÓŻ NAM POMAGAĆ, WPŁAĆ NA KONTO PCK

16 1160 2202 0000 0002 7718 3060

Z DOPISKIEM KORONAWIRUS

eprasa.pl 1bef8a9bc8

CYTATY

JANUSZ GAJOS, aktor
Coraz częściej z niedowierzaniem patrzę na to, co się dzieje, i nie pozostaję obojętny.
„Zdanie"

JERZY BACZYŃSKI, redaktor naczelny
Pod rządami PiS odbywa się wielka operacja prywatyzacji, zwana mniej elegancko rwaniem kasy.
„Polityka"

ILONA ŁEPKOWSKA, scenarzystka
Chwalenie się fotkami z imprez, drogich hoteli czy restauracji uważam za bezgranicznie głupie.
„Uroda Życia"

ROBERT LEWANDOWSKI, piłkarz
Wojownikiem jestem na boisku, potem fajnie jest zdjąć zbroję.
„Twój Styl"

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański

Batman Duda

Polska mistrzem świata. Jeszcze nie piłkarskim, tylko w walce z koronawirusem. Taki kit próbuje nam wcisnąć władza. Rządzący kłamali przed epidemią, że są zwarci i gotowi, przygotowani na najgorsze, choć jeszcze w lutym panowie Szumowski i Pinkas mówili, że mamy do czynienia z czymś w rodzaju grypy. Kłamali na początku zarazy, głosząc, że maseczki są niepotrzebne, a gdy zaprzyjaźnione spółki już je ściągnęły, to ogłosili, że są niezbędne. Kłamali, witając największy samolot świata, że tym ogromnym ładunkiem ratują życie Polaków. A fakty są takie, że premier Morawiecki i wicepremier Sasin z wielką pompą witali tylko tyle maseczek, ile mieści się w trzech tirach. I tak od rana do wieczora, pisowska wersja wsi potiomkinowskich. Obietnice tej władzy są papierowe i żyją tyle, ile muszka owocówka. Do sprawnego zarządzania państwem ci ludzie nie mają głowy. I to w sensie dosłownym, bo większość szła po władzę, kończąc wyższe szkoły niczego. Teraz mogą pokazać erudytom, że wiedza i książki mało się liczą, choć dla inteligencji są tylko niedouczonymi, nie za bystrymi dziwolągami.

Głównie zajmują się interesami. Biznesami rodzinnymi i koleżeńskimi. I wpychaniem krewnych czy kumpli na posady. Efekt tej hucpy każdy widzi. Przykry to widok. Mówiło się, że mamy państwo z dykty. Ale to już przeszłość, za którą wielu zaczyna tęsknić. Bo teraz mamy państwo z kitu.

Dlaczego ocena tej sytuacji kończy się na narzekaniu? Bo kredyt, bo zwolnią żonę, córkę lub syna, bo zaszkodzą. Ludzkie to. I jednocześnie kompletnie rozmijające się z ogólnym przekonaniem, jakim to niezwykłym i heroicznym narodem są Polacy. Tyle samo ma to wspólnego z faktami, co kreowanie się wiernych synów i cór Kościoła na ludzi niezwykle moralnych i rodzinnych, chociaż są zwykłymi oszustami i złodziejami. Co postać na ekranie, to wypisz wymaluj taka, co modli się pod figurą, a diabła ma za skórą.

Śladowe ilości testów, które trafiły do Polaków, to najbardziej cyniczne oszukaństwo. Wśród nas są tysiące chorych. Tyle że przechodzą koronawirusa bezobjawowo. Oczywiście zarażają. A leku nie ma. Znam osoby chore, które siedzą w izolacji we własnych mieszkaniach i leczą się paracetamolem i syropem od kaszlu. A ich jedyną rozrywką jest serial o przedsiębiorczej rodzinie Szumowskich. Oraz codzienne relacje z życia polskiego Batmana. Andrzej Duda wszędzie był, trudno zliczyć, ilu ludzi uratował i jak wiele kluczowych decyzji podjął. Bez niego nie byłoby w Polsce niczego dobrego.

Niestety, nie jest to streszczenie polskiej komedii. To codzienny real.

DZIĘKUJEMY

Od wielu tygodni PRZEGLĄD trafia do Czytelników dzięki szczególnym wysiłkom pracowników drukarni QUAD/GRAPHICS EUROPE z Wyszkowa i ponadstandardowej pracy i życzliwości kioskarzy KOLPORTERA, RUCHU, GARMONDU, LTR, POLPERFECTU i GLM.

Pozdrawiamy też listonoszy oraz sprzedawców sklepów i sieci handlowych, które w ofercie mają nasz tygodnik.

SERDECZNIE DZIĘKUJEMY za to, co robicie dla nas i naszych Czytelników w tych nienormalnych warunkach.

Zespół PRZEGLĄDU

BĄKOWSKI

eprasa.pl 1bef8a9bc8

W NUMERZE

KRAJ

8 **Unia rzuca miliardy na stół**
– rozmowa z prof. Markiem Belką
15 **Czas na więcej solidarności**
Potrzebna pomoc dla tracących pracę
16 **Polityka między kampanią i epidemią**
Gdzie pracują teraz posłowie
20 **Prymas patriotą PRL**
– rozmowa z dr. hab. Lechem Mażewskim
25 **Zlinczuj lekarza, nie zaszczep dziecka**
Antyszczepionkowcy coraz bardziej agresywni
28 **Oszukani na e-zakupach**
Naciągacze mają się dobrze
30 **Tajemniczy wypadek w lesie**
Co się stało w ZUL Szczytno

PUBLICYSTYKA I OPINIE

11 **Jan Widacki**
Kazus Manowskiej
13 **Andrzej Dryszel**
Duda musi odejść
44 **Małgorzata Żuber-Zielicz**
Lekcje i wyzwania pandemicznej edukacji w Polsce

ZAGRANICA

32 **Bogdan Góralczyk**
Magiczna moc Orbána
36 **Syryjska Norymberga**
Proces funkcjonariuszy reżimu Asada
40 **Ciemna strona szwajcarskiego złota**
Nielegalne wydobycie w Amazonii

KULTURA

47 **Teatr bez dramatu nie miałby sensu**
– rozmowa z Tadeuszem Słobodziankiem
48 **Bohaterowie rozstawiają mnie po kątach**
– rozmowa z Piotrem Stasikiem
51 **Qulturalia**
66 **Bartłomiej Belniak. Mniej więcej naprawdę**

ZDROWIE

52 **Przez nos do mózgu**
– rozmowa z dr. hab. Rafałem Butowtem

OBSERWACJE

54 **Pożegnanie z wielkim biurem**
Co odejdzie z koronawirusem
56 **Gra z wirusem**
Imponujące wyniki rynku gier
58 **Wyspa niebieskich lisów**
Zapiski z wyprawy Beringa

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Batman Duda
19 **Andrzej Romanowski**
Uraz antyprawicowy
35 **Tomasz Jastrun**
Róże i groby
39 **Roman Kurkiewicz**
Co nam po tym Tarabuku
43 **Wojciech Kuczok**
Pojutrze płakałem

OSZUKANI NA E-ZAKUPACH
Naciągacze mają się dobrze

TEATR BEZ DRAMATU NIE MIAŁBY SENSU
– rozmowa z Tadeuszem Słobodziankiem

WYSPA NIEBIESKICH LISÓW
Zapiski z wyprawy Beringa

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. PAP/JAN MOREK

eprasa.pl 1bef8a9bc8

Mariusz Szczygieł
oprowadza po Pradze

Andrzej Skworz,
redaktor naczelny magazynu „Press”
O mediach publicznych

Optymiści i pesymiści
w branży turystycznej

MÓJ PRZEGLĄD
Jerzy Domański

Zagrabić i wycisnąć

To jedna z najbardziej bezczelnych kradzieży w ostatnim 30-leciu. Choć konkurencja była sporo, mogą nominacji dostąpić ograbienie społeczeństwa z mediów publicznych. Kradzież na raty. Kawałek po kawałku. Najgłośniej metodą, którą lud opisuje jako „na hybrydę”, zastosowano Polskie wpływu na to, co się dzieje w TVP, Polskim Radiu i Polskiej Agencji Prasowej. Bo właśnie na media powinny patrzeć funkcją mediów publicznych. Najsłabszą i najbliżej tego była PAP. Ale i to już jest historią. Bo od rządów PiS zaczęło się zagrabienie mediów na całego. Grabienie chciałą, jak by to określił wspomniany wyżej lud. Co i tak jest nieaktualne, bo wkładza osiągnęła kolejny etap. Grabi, kto tylko może, i tyle, że da radę.

Podporządkowanie sobie mediów publicznych przyszło politykom łatwo. Opór społeczeństwa i samych dziennikarzy był skromny. Społeczeństwo mało i ciągle ma bardziej dla siebie dokuczliwe problemy niż stan mediów. Łatwiej to pojąć, gdy obserwujemy apatię, z jaką większość Polaków traktuje zagrabienie przez PiS Trybunału Konstytucyjnego i obecne dzisiaj Sądu Najwyższego. Spółdzielcy, a wcześniej dziennikarzom, nie udało się pozyskać większości obywateli do współpracy w sprawie reform tych instytucji. Nie potrafili pójść wprost do obywateli po pomoc i wsparcie.

No i teraz mamy kwadratową kotła. By zmierzić tę patologię, potrzebne są decyzje polityków. I ustawy przyjęte przez Sejm i Senat, podpisane przez prezydenta. A ci pracują są zarówno sprawcami obecnej sytuacji, jak i jej beneficjentami. Można sobie wyobrazić zmianę obowiązującego dziś partyjniczego nadzoru nad mediami pod wpływem bardzo silnej presji społecznej. Presji obywateli, którzy wreszcie docenią swój wpływ na kształt i treść mediów publicznych. Bo bez tych mediów demokracja najgorzej będzie kulała, a pólnej nieuchronnie przekształci się w coraz silniejsze rządy autokratów. W systemach demokratycznych wolne media i media publiczne są najważniejszymi bezpiecznikami przed zamordyzmem i dyktaturą.

Odwróciwanie patologii, do której doprowadził polityczy prawicy, jest niezbędne. I wbrew głosom wielu pesymistów możliwe. Zacząć trzeba od otwartej, szerokiej i niczym nieskrępowanej debaty.

Zagrabić i wycisnąć

Bez definicji, i to precyzyjnej, nie da się nic powiedzieć o systemach demokratycznych, wolnych mediach czy mediach publicznych. To tak jak ważenie towaru fałszowanymi odważnikami. No bo co to są wolne media? Media mają właściciela i to ON decyduje o linii programowej. A media publiczne? Tu jest tak samo, nie są to moje media, tylko tych, którzy mają władzę. Z pełnymi konsekwencjami tego faktu. Jak długo pamiętam, zawsze tak było. A z demokracją jest jeszcze gorzej, przynajmniej w tej części Europy. Czyli zacząć trzeba od definicji.

Wojciech Kloc

Między majem ‘45 a Poczdamem

Państwo polskie przestało istnieć w momencie ucieczki władz pośrodku przegranej wojny we wrześniu 1939 r. Prawo do uzurpowania sobie władzy w kraju miał wtedy teoretycznie każdy, bo Polska była politycznym bytem urojonym. Tzw. rząd londyński, a więc grupka panów kiszących się we własnym smrodku, ale obdarzonych zaufaniem społeczeństwa pod okupacją niemiecko-radziecką, legitymizował się sam przed sobą chwilową tolerancją ze strony zachodnich aliantów. Anglicy i Amerykanie kierowali się zaś *realpolitik* – wojna z ZSRR nie była im potrzebna, a w zamian za zwycięstwo nad hitleryzmem można było poświęcić kilka „bękartów traktatu wersalskiego”: Polskę, Czechosłowację, Litwę, Łotwę, Estonię, Rumunię, Ukrainę itd. – raczej zarzewie przyszłych konfliktów niż spokojnych lokatorów kontynentu Europa. Cóż, zwycięzcy narzucają własne reguły i w pokonanych krajach ustanawiają rządy sobie przyjazne. Z dwoma krajami nie wyszło im dokładnie tak, jak chcieli – ZSRR poniósł klęskę przy próbie podporządkowania sobie Jugosławii, Brytyjczycy mieli zagwozdkę z wojną domową w Grecji i zdecydowali się na wsparcie w tym konflikcie byłych greckich kolaborantów III Rzeszy.

HISTORIA

Między majem ‘45 a Poczdamem

Dla Stanów Zjednoczonych i dla Wielkiej Brytanii Polska była jedynie pionkiem

Krzysztof Wasilewski

Olaf Nowaczyk

•

Tak jest, gdy się przegrywa. Tak było również przed rozbiorami, gdy Polska terytorialnie była potęgą, ale gospodarczo karłem. To wnioski na dzisiaj. Stawianie na doraźne zyski swojej sekty, w celu utrzymania władzy, ma takie same skutki.

Zbigniew Gozdecki

ZDJĘCIE TYGODNIA

Rodzinne spotkanie w szpitalu Premier w São Paulo, 28 maja 2020 r.

FOT. NELSON ALMEIDA/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 1bef8a9bc8

Po 30 latach od pierwszych wyborów do niezależnego samorządu gminnego warto docenić bilans osiągnięć samorządowców. Zwłaszcza z pierwszych lat, gdy ich wpływ na realizację lokalnych pomysłów był największy. W ostatnich latach kolejne rządy osłabiają możliwości samorządów i próbują centralizować zarządzanie państwem także tam, gdzie jest miejsce dla samorządów.

Przed 100 laty narodził się Związek Literatów Polskich. Na zjeździe w Warszawie w dniach 12-14 maja 1920 r. powołano Związek Zawodowy Literatów Polskich, jego prezesem został Stefan Żeromski. **Na ręce obecnego prezesa ZLP, Marka Wawrzkiewicza, składamy gratulacje i życzenia z okazji tego pięknego jubileuszu.**

Sędzia Michał Laskowski, były rzecznik prasowy Sądu Najwyższego, został prezesem Izby Karnej Sądu Najwyższego.

Katarzyna Kobylarczyk, autorka książki „Strup. Hiszpania rozdrapuje rany” (Czarne), **została laureatką Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego za reportaż literacki.**

Księża z Rady Kapłańskiej Diecezji Kaliskiej w większości odmówili podpisania listu poparcia dla bp. Edwarda Janiaka, który, jak to ujawnił film braci Sekielskich „Zabawa w chowanego”, **tuszował przypadki pedofilii.**

Michał Woś, minister środowiska z Solidarnej Polski, obsadza Lasy Państwowe ludźmi powiązanymi z tą partią. Szefem Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Szczecinku został Łukasz Maciejunas, w Katowicach – Józef Kubica, a w Poznaniu – Ewa Jedlikowska (która zrezygnowała po dwóch dniach). Szykuje się podwójna wycinka. Najpierw wytną lasy, a później sami zostaną wycięci.

Poczta Polska wydała na wybory prezydenckie, których nie było, 69 mln zł. Za cztery umowy, które zawarto z innymi podmiotami, zapłacono już 26 mln zł.

Sylwester Latkowski po pięciu latach od ujawnienia przez „Gazetę Wyborczą” **afery z wykorzystywaniem seksualnym nieletnich dziewcząt w Sopocie nakręcił o tym film. Słaby, ale hałaśliwie reklamowany przez TVP** jako oskarżenie celebrytów bywających w lokalu Zatoka Sztuki. Borys Szyc zareagował na nękanie go przez Latkowskiego słowami: „Dam ci w ryj”.

Wojewódzki Sąd Administracyjny w Białymstoku utrzymał w mocy decyzję Bohdana Paszkowskiego, wojewody podlaskiego, który przywrócił ulicy Podlaskiej nazwę Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki”.

PRZEBŁYSKI

Wysyp legionistów

Kraków wyrósł na europejską stolicę samozwańczych kombatantów i tytularnych patriotów. Tytularnych, bo sami sobie przyznają tytuły i honorowe funkcje. Byłoby to śmieszne, gdyby za tym nie szło wcale nie tytularne przejmowanie państwowego majątku. Tak jest choćby z Domem im. Józefa Piłsudskiego, który bezprawnie zajmuje Związek Legionistów Polskich (!). Zajmuje go od lat, choć sąd dawno orzekł, że ZLP nie jest kontynuatorem przedwojennego związku i tym samym spadkobiercą majątku. Innym kuriozum jest Muzeum Czynu Niepodległościowego. Minister Gliński zakazał jego działalności. I na bój z tupeciarzami wysłał kuratora. Chyba czekają nas nowe Oleandry.

Ściganie emerytów

Wraca Kurski. Zarząd TVP ma być czteroosobowy, potrzeba więc kasy. A to oznacza nowy etap w ściganiu za niepłacenie abonamentu RTV. Widać, że 2 mld zł od Dudy to zbyt mało na godne życie Ogórek, Rachonia, Holeckiej, Kłeczka i tabunu agitatorów. Do wyduszania z emerytów ostatnich złotówek wzięła się Poczta Polska. Widać, że prezes Zdzikot każdej pracy się podejmie. Palec przecież ma, a ludzie wykonają polecenia. Centrum Obsługi Finansowej Poczty Polskiej wysyła wezwania. Później emeryt wędruje do kolejki na poczcie. I płaci za to beznadziejne badziewie.

Zmaltretowana prezes Kamińska

Bardzo się martwimy, patrząc na Agnieszkę Kamińską, szefową Polskiego Radia. Bo kogo my widzimy? Kobietę tak psychicznie zdołowaną przez PiS, że trudno jej wydukać kilka zbornych zdań. Poszła Kamińska do Senatu i ani be, ani me, ani kukuryku.

Senator Barbara Borys-Damięcka odebrała to jako przejaw arogancji. Faktem jest, że Kamińska nie miała niczego sensownego do powiedzenia senatorom. Ale myli się pani senator, uważając, że „wynika to z absolutnej arogancji wobec nas jako osób, dla których nie warto strzępić języka”. Kamińska w Senacie była jak bokser, któremu odcięto tlen. Na co dzień dostaje ścisłe wskazówki, co ma myśleć i co radio ma robić. A że w Senacie trudno czytać SMS-y, pani prezes wolała udać głupią, niż powiedzieć coś niezgodnego z linią partii. I taki to sekret.

Agent doi piłkarza i klub

„Pośrednik transakcyjny”, czyli po prostu agent piłkarski. W realu handlarz żywym towarem. A obrazowo mówiąc – pijawka. I to jaka! Bo kto widział stado pijawek, które potrafią wyssać 35 mln zł z samych klubów Ekstraklasy w ciągu zaledwie roku? Ledwo dyszące kluby płaczą i płacą. Bo PZPN i kluby nie potrafią wyeliminować pośredników. Najbardziej pazerne hieny to byli piłkarze. To oni najlepiej wiedzą, jak sprytnie podejść utalentowanego małolata. A potem doić jego i kluby do oporu. Najwięcej kasy zapłaciły im w zeszłym roku Legia Warszawa (8,1 mln), Wisła Płock (6,5 mln) i Pogoń Szczecin (4,1 mln zł).

FOT. YOUTUBE (3), PIXABAY

epraca.pl 1bef8a9bc8

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Do czego potrzebne są nam media publiczne?

KRYSTYNA MOKROSIŃSKA,
dziennikarka, dokumentalistka, honorowa prezeska SDP

Cechami mediów publicznych powinny być bezstronność, podawanie wyłącznie prawdziwych informacji, relacjonowanie faktów, stosowanie w praktyce Karty etycznej mediów. Poza tym publiczne telewizja i radio, jeśli korzystają z abonamentu, muszą widzowi dać coś w zamian: dobre spektakle telewizyjne, rzetelne filmy dokumentalne – mówiąc ogólnie, możliwość uczestnictwa w szeroko pojętej kulturze. To tym bardziej istotne, że wielu odbiorców mediów publicznych nie ma bezpośredniego kontaktu z kinami, które wyświetlają premiery, z teatrami itd.

ANDRZEJ SKWORZ,
redaktor naczelny „Press"

Media narodowe są teraz publiczne, ale tak, jak publiczne są niektóre domy. Burdelpapa stręczy uległych dziennikarzy politykom, a ci z ich usług chętnie korzystają. Choć w przypadku Polskiego Radia i TVP słowo dziennikarz jest na wyrost. To raczej funkcjonariusze propagandy, tym różniący się od poprzedników z PRL, że brak im talentów dziennikarskich ludzi z tamtych lat. Przyjdzie czas, gdy będziemy się śmiać z ich groteskowej służalczości wobec władzy, zadawania wyłącznie wygodnych pytań i używania wazeliny zamiast atramentu. Celują w tym – już skłóceni między sobą – pozostający na garnuszku państwa ludzie od Jacka Kurskiego, braci Karnowskich, Tomasza Sakiewicza, ks. Rydzyka oraz niewiele subtelniejszego od pozostałych Krzysztofa Skowrońskiego. O państwowym radiu i takiejże agencji prasowej już nawet nie wspominam. Czy takimi siłami da się zrobić kiedyś służące wszystkim media publiczne? W życiu! Dlatego gdy w końcu Polacy przejrzą na oczy, potrzebny będzie okrągły podstolik medialny, a przy nim ci, którzy na media publiczne patrzą nie jak na polityczny łup, ale jak na jeden z najistotniejszych bezpieczników demokracji. Rzecz przecież nie w tym, by jednego burdelpapę zastąpił drugi, za to nasz.

DR KATARZYNA KASIA,
filozofka, Wydział Zarządzania Kulturą Wizualną ASP w Warszawie

W pytaniu zawarta jest teza, że media publiczne są nam potrzebne. Tymczasem może warto byłoby się zastanowić, czy rzeczywiście tak jest. Model funkcjonowania publicznego radia i telewizji w Polsce po 1989 r. pozwala żywić wątpliwości, związane przede wszystkim z ich upolitycznieniem, którego nie udało się dotychczas uniknąć żadnemu rządowi. Może zamiast finansować mniej czy bardziej agresywne narzędzia propagandowe aktualnie dominującej opcji politycznej, stosowane pod pozorem realizowania „misji" nader ogólnie zdefiniowanej w ustawie, warto się zastanowić np. nad przeznaczeniem środków na upowszechnianie kultury za pośrednictwem mediów komercyjnych? Jestem w stanie wyobrazić sobie specjalny fundusz, dzięki któremu na różnych antenach byłyby realizowane i emitowane wolne od polityki, ale i od reklam, treści „misyjne". Wymagałoby to rzecz jasna zmian ustawowych, ale nie jest niemożliwe. Świadczy o tym dobitnie praktyka tych mediów, które dzisiaj na własny koszt promują polską kulturę, wyręczając media publiczne, w których zapędy cenzorskie walczą o pierwszeństwo z odgadywaniem życzeń polityków partii rządzącej.

MICHAŁ ŁUKSA,
czytelnik PRZEGLĄDU

Do tego, żeby była przeciwwaga dla mediów prywatnych oraz by istniała przestrzeń nieskażona do końca komercją.

Więcej komentarzy w tej sprawie za tydzień.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl 1bef8a9bc8

Unia rzuca miliardy na stół

Czy plan Merkel i Macrona zmieni Europę i świat?

Rozmawia Robert Walenciak

PROF. MAREK BELKA
– były premier, były minister finansów, były prezes Narodowego Banku Polskiego, poseł do Parlamentu Europejskiego

Komisja Europejska przedstawiła projekt nowego funduszu pomocowego dla państw Unii. To 750 mld euro! Gigantyczne pieniądze. Temu funduszowi odbudowy nadano już nazwę Next Generation EU. Tymczasem czytam w polskich mediach, że więcej będziemy musieli na ten fundusz wpłacić, niż dostaniemy.

– Jeżeli ktoś tak pisze, to nie rozumie, o co tu chodzi. Przede wszystkim 750 mld zaproponowane przez Komisję to nie jest składka krajów członkowskich, a tylko wtedy można byłoby mówić, że mielibyśmy „zapłacić". Tu takiego niebezpieczeństwa nie ma.

Skąd więc Unia weźmie te pieniądze?

– Ma je pożyczyć na rynku na bardzo niski procent. A wiadomo, że uzyska bardzo dobre warunki, bo jest najbardziej wiarygodnym, znakomitym płatnikiem. Oczywiście te pożyczki będą gwarantowane przez kraje członkowskie, więc także przez Polskę. Tylko że gwarancja nie oznacza, że to jest do zapłacenia. Poza tym kto powiedział, że my będziemy gwarantować większe kwoty, niż otrzymamy?

Plan jest taki, że Unia te pożyczki będzie spłacać w latach 2028-2058, z kolejnych unijnych budżetów.

– Czyli to kwestia dość dalekiej przyszłości. I nacisku na Unię, skądinąd znakomitego, żeby stworzyła nowe, własne źródła pozyskiwania pieniędzy. Podatek cyfrowy, być może podatek od transakcji finansowych… Te podatki zapewniłyby Unii istotne wpływy, poza tym – są sprawiedliwe. A tak przy okazji – nasz rząd nie ma nic przeciwko temu.

Te 750 mld euro jest podzielone na dwie części. 500 mld to suma, która zostałaby rozdysponowana w formie grantów, a 250 mld – to byłyby nisko oprocentowane pożyczki.

– Nie dzielmy tego. Mówmy o 750 mld, bo pożyczki są czasami skuteczniejszymi instrumentami stymulującymi działania niż granty. Otóż te 750 mld euro nie będzie prostą kontynuacją dotychczasowych priorytetów, tylko to mają być pieniądze na nowe priorytety. Tam nie będzie dodatkowych pieniędzy na rolnictwo ani na typową infrastrukturę. To będą środki przede wszystkim na tzw. Zielony Ład. Cyfryzację gospodarki, nowe technologie, wspólną politykę zdrowotną... Przecież ten kryzys tak naprawdę pokazał, że Unia powinna być także unią zdrowotną! A nie jest, w żadnym wypadku nie jest.

Dlatego ponad 9 mld euro ma zasilić program medyczny EU4Health.

– Mówiąc krótko – to wszystko są pieniądze dla Unii Europejskiej nowej generacji, Next Generation EU. Problem w tym, czy nasz rząd będzie chciał poczynić odpowiednie deklaracje i przygotować plany inwestycyjne, które by tym nowym priorytetom odpowiadały. Powinien też być nacisk społeczny w Polsce, żeby sięgać po te pieniądze. Jeżeli będziemy tylko czekać, nic z tego nie wyjdzie. I wtedy rzeczywiście sytuacja może być taka, że nic z tego nie będziemy mieli.

Kiedy przegonimy Hiszpanów?

Nie wiadomo jeszcze, według jakich zasad fundusze będą rozdzielane, to będzie negocjowane. Ale już pojawiła się informacja, że Polska może otrzymać ponad 60 mld euro grantów i pożyczek.

– Dlatego uważam, że tutaj nie ma miejsca na wydziwianie, na jakieś fochy. Ten plan to niewątpliwie coś, co może Europę zdynamizować, a także – w skali świata – wzmocnić. I to w Parlamencie Europejskim się czuje. Tak np. w imieniu Europejskich Konserwatystów i Reformatorów, czyli tej frakcji, do której należy

eprasa.pl 1bef8a9bc8

Prawo i Sprawiedliwość, wypowiadał się były minister finansów Belgii, Johan Van Overtveldt. Zresztą współpracuje mi się z nim w różnych sprawach znakomicie. Muszę powiedzieć, że do tej frakcji to on pasuje jak pięść do nosa, m.in. jest zwolennikiem małżeństw jednopłciowych. Ale wracając do debaty – wypowiadał się w sposób bardzo roztropny, podnosząc kwestię, że to nie mogą być pieniądze wydawane tak po prostu, tylko muszą być przeznaczane na określone cele. Żeby ich nie zmarnować! Nie można więc sfinansować z nich np. zwiększenia dopłat dla rolników! Bo wiadomo, że to tylko utrwala złą strukturę własności rolnej. Dlatego nie ma co szukać podziałów politycznych, trzeba po prostu wykazać się, tutaj mówię o polskich władzach, wyobraźnią, spojrzeniem w przód. Naprawdę jest kolejna szansa, żebyśmy dołączyli do tej Europy pierwszej prędkości.

I przegonili Hiszpanów!

– Absolutnie! Jak najszybciej! Nawiasem mówiąc, to będzie dodatkowy problem dla nas. Mentalny. Że my, co wynika z danych, mimo wszystko przejdziemy ten kryzys łagodniej niż np. Hiszpania czy Włochy. A skoro mamy być solidarni, to czy te kraje nie powinny otrzymać więcej pomocy z funduszu odbudowy?

Dwa aspekty Zielonego Ładu to narzucenie Europie nowej rewolucji technologicznej i uniezależnienie się od dostawców ropy i gazu.

Kiedy mówi się Zielony Ład, u nas pojawiają się różne komentarze próbujące to ośmieszyć.

– Że ocieplenie klimatu to bzdury. Albo że nie mamy co w Europie się starać, bo Chińczycy nadal będą zatruwać, więc i tak tej planety nie uratujemy. Muszę powiedzieć, że te poglądy są bezsensowne. Szkoda czasu na polemizowanie z nimi. Proponowałbym zwrócić uwagę na dwa inne aspekty Zielonego Ładu, absolutnie realne. Po pierwsze, ten program to chęć narzucenia Europie nowej rewolucji technologicznej. Na to idą przecież te pieniądze. Po drugie, to prowadzi do uniezależnienia Europy, w bardzo dużym stopniu, od dostawców ropy i gazu. Wyobraża pan sobie, że bylibyśmy jako Europa niemal niezależni od dostaw ropy i gazu? Jaka byłaby wtedy pozycja np. Rosji? Jak radykalnie zmieniłaby się sytuacja na Bliskim Wschodzie? Ha! Stany Zjednoczone też miałyby problem. Czy to nie jest dla Europy atrakcyjna perspektywa?

Lobby antywiatrakowe i lobby górnicze zaraz się ujawnią.

– Lobby górnicze chyba jeszcze nigdy nie było tak słabe jak dzisiaj. Nie umiemy węgla wydobyć tanio. A w końcu za najbardziej nacjonalistycznych rządów w historii Polski bijemy rekordy w imporcie węgla, i to z Rosji. Gorzej – z Donbasu! Czy można sobie wyobrazić sytuację jeszcze bardziej kompromitującą?

Nowa siła Unii

Jak do tych pieniędzy najskuteczniej się dobrać? Mówi się, że z unijnych środków w największym stopniu korzystają albo najbardziej przebojowi, czyli Hiszpanie i Włosi, albo najsilniejsi: Niemcy, Francuzi.

– Bujda na resorach! Dotychczas to my byliśmy najlepsi! Pokazywaliśmy, że umiemy promować projekty i je realizować. W ostatnich latach to my jesteśmy mistrzami Europy, jeśli chodzi o „wyciskanie Brukselki", jak to kiedyś mówił Waldemar Pawlak.

A jak może być teraz?

– Zobaczymy, jak się zachowają nasze elity rządzące. Jakie instynkty u nich przeważą. Czy instynkty europejskie, czy nacjonalistyczne? Bo jeżeli te drugie, to będzie się szukać dziury w całym, mówić: nie, nie będziemy realizować obcych, europejskich priorytetów. Bo jesteśmy suwerenni!

Wiele też się mówi, że przekazywanie środków z funduszu odbudowy ma się łączyć z mechanizmem praworządności. Takie są choćby propozycje „oszczędnej czwórki", czyli Austrii, Holandii, Szwecji i Danii.

– Nie tylko „oszczędnej czwórki". Dzisiaj, podczas sesji plenarnej, mówił o tym np. Dacian Cioloş, były premier Rumunii, który jest przewodniczącym grupy liberałów. To jest więc w tej chwili coraz szersze oczekiwanie. Dlatego mówi się, że w takich wypadkach można uruchomić inne mechanizmy przekazywania pieniędzy, np. bezpośrednio do samorządów czy organizacji społecznych. Ale to oczywiście proteza. Najlepiej, gdyby środki szły do krajów – wiadomo, że administracja państwowa ma najlepsze instrumenty do pozyskiwania i rozdysponowywania funduszy. Ale to problem, który sami sobie stwarzamy.

Czy „oszczędna czwórka" może zablokować proces tworzenia funduszu odbudowy?

– Będzie kręcić, ale jeżeli Niemcy i Francja będą za, to nie wyobrażam sobie, żeby nie ustąpiła.

Siła Niemiec i Francji jest tak wielka?

– Nie tylko ich! Przecież będzie bardzo silne wsparcie Włoch i Hiszpanii. A gdybyśmy jeszcze my się dołączyli... Oczywiście, że państwa czwórki będą się domagać jakichś gwarancji, żeby pieniądze nie były rozdawane, tylko czemuś służyły. To wszystko w gruncie rzeczy ma sens. Ale nie sądzę, żeby były w stanie zablokować tworzenie funduszu. Nawiasem mówiąc, to słynne orzeczenie niemieckiego Trybunału Konstytucyjnego w Karlsruhe można także interpretować inaczej. Niemieccy sędziowie powiedzieli tak: nie można wszystkiego zwalać na politykę pieniężną, zróbcie coś w zakresie polityki fiskalnej. Budżetowej. I pani Merkel chyba się przestraszyła, że to Niemcy będą grabarzem Unii. A w każdym razie, że będą Unię osłabiać, co jest wbrew interesom geopolitycznym Niemiec. W związku z tym łatwiej było Macronowi ją namówić, żeby zgodziła się na te pierwsze 500 mld. Paradoksalnie więc Trybunał w Karlsruhe mógł Europie pomóc, a nie zaszkodzić.

Chodzi o to, żeby Unia stworzyła nowe źródła pozyskiwania pieniędzy – podatek cyfrowy, być może podatek od transakcji finansowych.

To będzie też uderzenie w tych wszystkich, którzy wieszczą śmierć Unii. Bo takie wielkie programy mogą zbudować nową siłę Unii.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 1bef8a9bc8

– O to przecież chodzi. I ja bym chciał, żeby ci wszyscy, którzy wieszczą koniec Unii, nie tylko się pomylili, ale także, żeby ze wstydem w samych skarpetkach gdzieś uciekali.

Wielka Brytania nic z tych pieniędzy nie dostanie?

– Wielka Brytania jest już poza Unią Europejską.

Szansa, przed którą stoimy

A nie ma obawy, że to wzmocni w Unii siłę Niemiec, głównego dawcy tych pieniędzy i ich gwaranta?

– A ma pan jakieś inne propozycje? Kto miałby się wzmacniać? Rosja? Nie ma w Europie dużego kraju, który byłby bardziej przyjazny Polsce niż Niemcy. I trzeba to jasno powiedzieć. Bo my, słysząc Niemcy, zaraz mówimy o przeszłości.

A oni myślą o przyszłości i o tym, że Polska w coraz większym stopniu jest częścią gospodarki niemieckiej.

– No i bardzo dobrze! Nie ma nic lepszego, co mogłoby nas spotkać pod względem gospodarczym. Bo jakiej gospodarki mielibyśmy być blisko? Rosyjskiej? Czy może śródziemnomorskiej?

Jak wygląda gospodarka niemiecka w świecie?

– Problemem gospodarki niemieckiej jest to, że oni są bardzo uzależnieni od handlu. Gdy osłabł kierunek chiński, a tam dużo sprzedawali, to muszą być zainteresowani odbudową czy wzmocnieniem kierunku europejskiego. Rozpad Unii czy nawet jej osłabienie nie są dla Niemiec korzystne. Druga sprawa – Niemcy mają nadmiar oszczędności.

Jak był czas prosperity, Niemcy nie szastały pieniędzmi, miały budżet na plusie.

– A teraz ten nadmiar oszczędności musi być gdzieś zaabsorbowany. Najlepiej skierować ten strumień do krajów Unii Europejskiej, po prostu. Bo jeśli chodzi o przemysł, szczególnie przetwórczy, to Niemcy, a jeszcze bardziej Holendrzy, są o wiele bardziej konkurencyjni niż choćby Francja czy Włochy. Oczywiście zarówno Francja, jak i Włochy to kraje niezmiernie nowoczesne, rozwinięte, ale niemiecka gospodarka jest bardziej konkurencyjna, m.in. ze względu na umiejętności wykorzystania Polski, Czech, Węgier. Mówiąc krótko, rozszerzenia Unii.

> Można uruchomić mechanizmy przekazywania pieniędzy nie do rządów, tylko bezpośrednio do samorządów czy organizacji społecznych.

Jak Polska powinna teraz się zachować? Wykorzystać tę okazję i wejść w to wszystko?

– Oczywiście, że tak! Bo to również szansa na skok technologiczny, skok rozwojowy – więc to zróbmy.

Robert Walenciak

PRZEGLĄD DO BIBLIOTEK

Od pięciu lat dzięki hojności naszych Czytelników już ponad sto bibliotek otrzymywało nasz tygodnik. Były to m.in. biblioteki w **Pyrzycach, Braniewie, Wyszogrodzie, Głubczycach, Mogilnie, Kluczborku, Świątkach, Żurominie, Dywitach, Bochni, Chojnie, Międzyrzeczu, Sępólnie Krajeńskim, Tucholi** czy **Nowym Duninie.**

W tym roku wysyłaliśmy PRZEGLĄD do ponad 80 bibliotek i czytelni. Niestety, z końcem półrocza prenumeraty się kończą, a wiele bibliotek nie ma środków na prasę. Chcemy im pomóc i dotrzeć z PRZEGLĄDEM do nowych odbiorców. Można też wskazać konkretne miejsce, do którego ma trafić prenumerata.

Za życzliwość serdecznie dziękujemy!

Wszystkich zainteresowanych pomocą prosimy o wpłaty z dopiskiem „Biblioteka”.
Fundacja Oratio Recta
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

Pełna lista bibliotek na **www.tygodnikprzeglad.pl**

eprasa.pl 1bef8a9bc8

Kazus Manowskiej

Sądy już nie ważą, dla sprawiedliwości miejsca nie ma

Jan Widacki

„Sprawiedliwość jest ostoją mocy i trwałości Rzeczypospolitej". Ten cytat z Andrzeja Frycza Modrzewskiego utrwalony jest na froncie warszawskiego gmachu sądów na Lesznie. „O nierządne królestwo i zginienia bliskie, gdzie ani prawa ważą, ani sprawiedliwość ma miejsca", przestrzegał Jan Kochanowski. Ta sprawiedliwość, ostoja mocy i trwałości Rzeczypospolitej, zgodnie z konstytucją jest wymierzana przez niezależne sądy i trybunały, w których orzekają niezawiśli sędziowie. Tak się dzieje we wszystkich demokratycznych państwach prawa na świecie. Niezależnością sądów i niezawisłością sędziów różnią się demokratyczne państwa cywilizowanego świata od państw autorytarnych, totalitarnych, od rozmaitych egzotycznych dyktatur, czasem zbrodniczych, czasem groteskowych, a czasem i groteskowych, i zbrodniczych. Wszak nie jest nigdzie powiedziane, że błazen nie może być zarazem zbrodniarzem. I – jak pokazuje historia najnowsza – czasem jest.

Niezależne sądy z założenia są bowiem nie do pogodzenia z dyktaturą. Dyktatura nie liczy się z prawem, które może ją krępować. Sądy pilnują, by władza przestrzegała prawa. Jeśli sądy są niezależne, a sędziowie niezawiśli, nie ma dyktatury. Dlatego, a potwierdza to cała historia najnowsza, każdy, kto dąży do dyktatury, najpierw odbiera niezależność sądom i niezawisłość sędziom.

Po roku 1989 Polska obrała kurs integracji z demokratycznym Zachodem. Ten kurs, kurs w kierunku wolności, demokracji, ochrony praw człowieka, który został uwieńczony 1 maja 2004 r. przyjęciem Polski do Unii Europejskiej, był dziełem kolejnych rządów i cieszył się poparciem całego społeczeństwa. Popierając przystąpienie do Unii w referendum, Polacy dokonali historycznego wyboru. Przystąpiliśmy wtedy nie tylko do wspólnoty gospodarczej, ale przede wszystkim do wspólnoty wartości. Do wspólnoty państw demokratycznych, praworządnych, stojących na straży praw człowieka.

W 2007 r. Małgorzata Manowska była zastępcą Ziobry w Ministerstwie Sprawiedliwości.

Przyjęcie nas do Unii Europejskiej świadczy o tym, że Zachód uznał, że podzielamy te wartości, przestrzegamy tych samych standardów. To był przecież warunek przyjęcia. Co więcej, instytucje europejskie mają prawo, a nawet obowiązek, sprawdzać, czy tych standardów dochowujemy.

Władza wykonawcza co krok chce wyręczać sądy.

Gdy zaś to robią, Prawo i Sprawiedliwość dmie w trąbę narodowej próżności i głupoty, że oto obcy wtrącają się w nasze wewnętrzne sprawy. Ale w tym podejściu są dwa zasadnicze błędy. Po pierwsze, to nie obcy. Unia nie jest czymś obcym, jest tak samo nasza jak niemiecka, francuska czy włoska. Jedna z gwiazd na unijnej fladze jest naszą gwiazdą.

Po drugie, żaden organ unijny nie mówi: macie zrobić to czy tamto. Organy unijne, a w szczególności Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej, mówią tylko tyle: to, co zrobiliście, jest niezgodne ze standardem przyjętym w Unii Europejskiej. Możecie sobie iść w cholerę z Unii i robić tak dalej, wtedy nic nam do tego. Ale skoro jesteście w Unii, powinniście się dostosować do obowiązujących w niej standardów. Jeśli pozostajecie w Unii, a naruszacie jej standardy, poniesiecie karę. Nie chcecie jej ponosić? Wychodźcie z Unii, nikt was poza Unią karał nie będzie.

Odchodzenie od standardów unijnych rozpoczął prezydent Duda natychmiast po zaprzysiężeniu. Najpierw bezprawnie ułaskawił nieskazanego prawomocnie Mariusza Kamińskiego, komentując to w dodatku w ten sposób, że wyręczył sądy. To, że prezydent złamał prawo, można uzasadniać długim prawniczym wywodem. Niech zamiast takiego wywodu wystarczy porównanie: ułaskawić

eprasa.pl 1bef8a9bc8

nieskazanego prawomocnie to tak, jakby dokonać aborcji niepoczętego. W tym wyręczaniu sądów, jak się wkrótce okazało, mieściła się cała filozofia. Władza wykonawcza co krok chce wyręczać sądy. Po ułaskawieniu Kamińskiego prezydent nie przyjął ślubowania od prawidłowo wybranych sędziów Trybunału Konstytucyjnego. Za to na miejsce prawidłowo wybranych, ale niezaprzysiężonych sędziów powoływał – znów łamiąc konstytucję – sędziów dublerów. W tym czasie rząd, też jaskrawo naruszając konstytucję, cenzurował orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego, odmawiając ich druku. Przyznał sobie prawo bycia drugą instancją w stosunku do orzeczeń TK, którego wyroki są ostateczne. Potem przyszła kolej na Krajową Radę Sądownictwa, którą nie tylko upolityczniono, a więc *de facto* uzależniono od rządzącej większości, ale jeszcze wybrano z naruszeniem procedur, które sobie właśnie uchwalono.

Rozbudowano też kompetencje ministra sprawiedliwości-prokuratora generalnego, który uzyskał władzę dyscyplinarną nad sędziami. Lud tego nie zauważył, ale układ sił na sali rozpraw zmienił się zasadniczo. Mamy – jak dawniej – oskarżyciela, obronę i sąd. Tyle że oskarżyciel występuje w imieniu prokuratora generalnego, a tenże prokurator generalny jest faktycznie przełożonym dyscyplinarnym sądu. Chcielibyście tak być sądzeni?

Do Sądu Najwyższego doklejono dwie izby: Izbę Dyscyplinarną oraz Izbę Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych, złożone z neosędziów rekomendowanych przez neo-KRS.

Godności Sądu Najwyższego bronili I prezes prof. Małgorzata Gersdorf (niestety, nie zawsze konsekwentnie) oraz starzy sędziowie (właściwie należałoby pisać: prawdziwi sędziowie). Po nieudanych próbach odesłania części sędziów Sądu Najwyższego, łącznie z panią I prezes, w stan spoczynku, po interwencjach organów unijnych PiS wreszcie doczekało się końca kadencji prof. Gersdorf. Nie wiem, dlaczego pani I prezes nie zwołała zgromadzenia ogólnego sędziów, które wybrałoby owych pięciu kandydatów, spośród których prezydent mianuje I prezesa Sądu Najwyższego. W takim samym stanie epidemii, który uniemożliwił prof. Gersdorf zwołanie zgromadzenia, zrobił to desygnowany przez prezydenta na p.o. I prezesa Kamil Zaradkiewicz. Skądinąd postać tragikomiczna, o wyraźnych kłopotach z samym sobą. Zaradkiewicz potrafił zarządzić zdjęcie w hallu Sądu Najwyższego portretów „niesłusznych prezesów", ale nie potrafił poprowadzić zgromadzenia. Musiał go zastąpić inny neosędzia, Aleksander Stępkowski.

Po rozmaitych przepychankach, łamiąc procedury, udało się wreszcie wybrać pięciu kandydatów. Sędzia i profesor prawa karnego z Uniwersytetu Jagiellońskiego Włodzimierz Wróbel otrzymał 50 głosów. Neosędzia (do Sądu Najwyższego nominowana przez neo-KRS) prof. Małgorzata Manowska dostała 25.

Wróbel nigdy nie miał związków z polityką. Manowska jak najbardziej. W 2007 r. była podsekretarzem stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości, czyli wice-Ziobrą. Później z jego nominacji szefową Krajowej Szkoły Sądownictwa i Prokuratury.

Jeszcze przed dokonaniem wyboru I prezesa Sądu Najwyższego prezydent Duda powiedział, że wybierze z przedstawionej mu piątki osobę, która nie angażowała się politycznie. No i wybrał Manowską. Właściwie to żadne zaskoczenie. O tym, że niegdysiejsza pomagierka Ziobry zostanie I prezes, mówiło się od dawna. Że nie przeszkodzi w tym nawet skandal z wyciekiem danych z Krajowej Szkoły Sądownictwa i Prokuratury. To jasno wpisuje się w cały ciąg zdarzeń, nowelizacji, nominacji. Po prostu władza wykonawcza chce wyręczyć sądy. Bo w państwie autorytarnym nie ma miejsca na niezależne sądy i niezawisłych sędziów. Jak długo sądy są niezależne, a sędziowie niezawiśli, nie ma dyktatury, władza wykonawcza ani wspierająca ją siła polityczna nie mogą robić, co chcą.

Jak tu nie przypomnieć dwóch maksym przytoczonych na początku... Smutne to.

A na wątpliwą pociechę mam tylko taką myśl, że kiedyś, może już niedługo, kontynuując zapoczątkowany przez pana Zaradkiewicza obyczaj, ktoś zdejmie portret Małgorzaty Manowskiej z galerii portretów I prezesów zdobiącej hall Sądu Najwyższego. ■

Prezydent Duda powiedział, że z piątki kandydatów na I prezesa wybierze osobę, która nie angażowała się politycznie. No i wybrał Manowską.

Wybór kandydatów na I prezesa SN przeprowadził mianowany przez prezydenta Aleksander Stępkowski.

FOT. STANISŁAW KOWALCZUK/EAST NEWS, PIOTR MOLĘCKI/EAST NEWS

eprasa.pl 1bef8a9bc8

Jarosław Kaczyński już zagroził, że państwo wykorzysta wszystkie środki, by wybory odbyły się w dogodnym dla PiS terminie.

Andrzej Dryszel

Duda musi odejść

Jedyną możliwością przeprowadzenia wyborów zgodnie z konstytucją w czerwcu lub w lipcu jest zrzeczenie się urzędu prezydenta przez Andrzeja Dudę

Jeśli Andrzej Duda nie zrezygnuje ze stanowiska prezydenta, to zgodnie z prawem wybory można przeprowadzić dopiero po zakończeniu jego kadencji. Każda wcześniejsza data oznaczać będzie złamanie konstytucji.

Gdy prominentni przedstawiciele Prawa i Sprawiedliwości powtarzają jak mantrę, że wybory prezydenckie muszą się odbyć 28 czerwca, to warto przypomnieć, że ów termin nie wynika z jakichkolwiek obowiązujących przepisów. Co więcej, jest z nimi ewidentnie sprzeczny. To wyłącznie widzimisię liderów partii rządzącej, którzy chcą mieć wybory akurat w tym dniu, bo im ta data pasuje – i nie przejmują się obowiązującym prawem z konstytucją na czele.

Przedstawiciele PiS roją sobie, że wybory muszą być najpóźniej 28 czerwca, bo ponoć wtedy można jeszcze przed końcem kadencji Andrzeja Dudy, czyli przed 6 sierpnia, wykonać wszystkie czynności wynikające z ustawy o korespondencyjnych wyborach prezydenta. Tyle że te ich zamysły nie mają żadnego znaczenia, bo konstytucja stwierdza jasno w wielokrotnie już cytowanym art. 128: „Wybory Prezydenta Rzeczypospolitej zarządza Marszałek Sejmu na dzień przypadający nie wcześniej niż na 100 dni i nie później niż na 75 dni przed upływem kadencji urzędującego Prezydenta Rzeczypospolitej".

Najpóźniejszym dniem na legalne przeprowadzenie wyborów była zatem sobota 23 maja, pod warunkiem że zostałaby uznana przez premiera za dzień wolny od pracy. Pisowska większość sejmowa w tym celu wprowadziła w nowelizacji ustawy o tarczy antykryzysowej zapis, że premier może ogłosić dzień wolny od pracy, jeżeli w kraju panuje stan zagrożenia epidemicznego lub epidemii. Ale Jarosław Kaczyński nie dogadał się z Jarosławem Gowinem – i okazało się, że Zjednoczona Prawica nie jest na tyle zjednoczona, by zaakceptować 23 maja.

Każdy inny, późniejszy termin wyborów zapisany w takiej czy innej ustawie (czyli akcie prawnym niższej rangi niż konstytucja) oznacza złamanie ustawy zasadniczej, ewidentne bezprawie i prymat woli grupki trzymającej aktualnie władzę nad prawem. Co stanowi krok ku dyktaturze.

Dziwią więc nieco słowa marszałka Senatu Tomasza Grodzkiego, że „sytuacja z punktu widzenia konstytucji jest zawikłana bardziej niż węzeł gordyjski". Otóż absolutnie nie jest zawikłana. Jest prosta jak drut. Akurat w niewielu przepisach konstytucja jest tak konkretna jak w regulacji wyborów prezydenckich.

Wszystko jest oczywiste

Tu naprawdę nie da się nic zachachmęcić. Terminy są jasne i oczywiste: wybory nie wcześniej niż 100 i nie później niż 75 dni przed końcem kadencji. Art. 128 jest całkowicie jednoznaczny, a w konstytucji nie ma żadnego innego, sprzecznego z nim przepisu, który otwierałby pole do jakichkolwiek interpretacji.

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

eprasa.pl 1bef8a9bc8

Prezes Jarosław Kaczyński upiera się jednak przy 28 czerwca i mówi, że nie ma możliwości zmiany, a ci, którzy to proponują, sieją zamęt i za nic mają konstytucję. W rzeczywistości on sam ma za nic ustawę zasadniczą, domagając się rozwiązania, które w oczywisty sposób łamie konstytucję.

Gdyby z kolei szef PiS wcześniej nie upierał się, sprzecznie z prawem i – jak widać – nieskutecznie, przy majowym terminie wyborów, legalne rozwiązanie było oczywiste: Rada Ministrów zgodnie z art. 232 konstytucji wprowadza stan klęski żywiołowej. Ustawa o stanie klęski żywiołowej wprost stwierdza, że może on być wprowadzony m.in. z powodu masowego występowania chorób zakaźnych ludzi. Maksymalny czas trwania to 30 dni z możliwością przedłużania przez Sejm, ale czas minimalny nie jest określony, więc stan klęski żywiołowej może być np. kilkudniowy (a teoretycznie nawet kilkugodzinny). Potem jeszcze musi minąć 90 dni, w trakcie których nie wolno przeprowadzać wyborów (art. 228 konstytucji).

Gdyby rząd np. pod koniec marca wprowadził na krótko stan klęski żywiołowej, wybory prezydenckie, absolutnie zgodnie z prawem, mogłyby się odbyć na początku lipca. Czyli zaledwie parę dni po 28 czerwca, przy którym tak upiera się prawica.

Tyle że szef PiS chciał upiec dwie pieczenie: wprowadzać kolejne ograniczenia, ale bez ogłaszania stanu nadzwyczajnego, po to by wybory odbyły się w warunkach, w których tylko Andrzej Duda praktycznie prowadzi kampanię wyborczą. I nie wyszło, a zamiast Małgorzaty Kidawy-Błońskiej pojawił się nowy, groźniejszy konkurent. Jest na to nawet przysłowie: chytry dwa razy traci.

W dodatku niepotrzebne zamieszanie wprowadziła Państwowa Komisja Wyborcza, która z niejasnych powodów wydała uchwałę (zapewne chcąc się odnieść do wyborów nieodbytych w sposób odpowiadający PiS) stwierdzającą, że w wyborach zarządzonych na 10 maja brak było możliwości głosowania na kandydatów – co jest równoważne w skutkach z przewidzianą w Kodeksie wyborczym sytuacją, gdy głosowanie miałoby być przeprowadzone tylko na jednego kandydata. A gdy jest tylko jeden kandydat, marszałek Sejmu ponownie zarządza wybory w ciągu 14 dni po ogłoszeniu tej uchwały.

Wypada zauważyć, że jeśli dwa zdarzenia powodują identyczne skutki, to bynajmniej nie znaczy, że są one identycznym zdarzeniem. A poza tym PKW nie ma żadnych praw do zmieniania konstytucyjnych terminów wyborów prezydenckich.

Najbardziej logiczny sposób

W tej chwili rozwiązaniem zgodnym z prawem i najbardziej logicznym jest propozycja wicemarszałek Senatu Gabrieli Morawskiej-Staneckiej (Lewica), by ustawa o wyborach prezydenckich, nad którą pracuje obecnie parlament, weszła w życie 6 sierpnia 2020 r., bo dopiero po opróżnieniu urzędu prezydenta będzie można zarządzić wybory zgodnie z konstytucją. Aż dziw, że nikt wcześniej nie zgłosił tego oczywistego i respektującego wszelkie przepisy pomysłu.

Wiadomo jednak, że nie dojdzie do wyborów prezydenckich w tak późnym terminie, bo nie pozwoli na to Jarosław Kaczyński. Już zagroził, że państwo wykorzysta wszystkie przynależne mu środki, by wybory się odbyły – oczywiście w terminie dogodnym dla PiS. A państwo to on.

W kwestii wyborów prezydenckich liderzy PiS na pewno nie zawahają się przed złamaniem konstytucji. Istnieje wszakże sposób na to, by te wybory odbyły się nawet jeszcze w czerwcu – i zgodnie z porządkiem konstytucyjnym oraz wszelkimi innymi przepisami.

Art. 128 konstytucji mówi, że w razie opróżnienia urzędu prezydenta wybory zarządza marszałek Sejmu nie później niż w 14. dniu po opuszczeniu urzędu, wyznaczając ich datę na dzień wolny od pracy przypadający w ciągu 60 dni po zarządzeniu wyborów.

Zgodnie z konstytucją urząd prezydenta może zostać opróżniony m.in. z powodu zrzeczenia się tej godności przez prezydenta. Jego obowiązki do czasu wyboru nowego prezydenta przejmuje wtedy marszałek Sejmu.

I cóż, że to cynizm

Postępowanie jest więc proste: prezydent Duda zrzeka się urzędu, a marszałek Witek choćby następnego dnia wyznacza termin wyborów, w których on też startuje. Teoretycznie wybory prezydenckie mogą się wtedy odbyć nawet na początku czerwca. W praktyce potrzebny byłby nieco dłuższy czas, by zdążyć z wszelkimi czynnościami niezbędnymi do ich przeprowadzenia.

Wprawdzie art. 131 konstytucji mówi, że marszałek Sejmu do czasu wyboru nowego prezydenta wykonuje jego obowiązki – a więc konstytucjonaliści zaczną się spierać, czy Andrzej Duda jako stary, a nie nowy prezydent mógłby kandydować w takich wyborach, jest to jednak drobiazg w porównaniu z ewidentnym złamaniem konstytucji, jakim będzie bezprawne przeprowadzenie wyborów 28 czerwca.

Termin wyborów 28 czerwca nie wynika z żadnych obowiązujących przepisów. Co więcej, jest z nimi ewidentnie sprzeczny.

Z kolei moraliści zaczną głosić, że cały manewr ze zrzeczeniem się urzędu prezydenta jest cyniczną grą mającą doprowadzić do jak najwcześniejszych wyborów w warunkach korzystnych dla Andrzeja Dudy. Będą naturalnie mieć rację, ale akurat cynizm polityczny jest czymś tak oczywistym w poczynaniach prominentów PiS, że na nikim to nie zrobi wrażenia.

Jak cała ta operacja mogłaby się odbyć? Pewien przykład daje praktyka polityczna II Rzeczypospolitej, której tradycje są tak bliskie obozowi rządzącemu. Felicjan Sławoj-Składkowski napisał w „Strzępach meldunków": „Pan Marszałek podał mi rękę nad stołem, wskazał krzesło i powiedział bez wstępów: »No więc, zostaniecie ministrem spraw wewnętrznych«".

Można zatem doskonale sobie wyobrazić, że i Jarosław Kaczyński, na wzór Józefa Piłsudskiego, powie po prostu Andrzejowi Dudzie: „No więc, zrzekniecie się urzędu prezydenta"...

Andrzej Dryszel

eprasa.pl 1bef8a9bc8

Czas na więcej solidarności

Kolejne rządowe tarcze antykryzysowe zawierają więcej przepisów ułatwiających zwolnienia pracowników niż realnej pomocy

Krzysztof Gawkowski

Pandemia sparaliżowała światowe gospodarki na niespodziewaną skalę. Eksperci prognozują najszybsze kurczenie się globalnego PKB od czasu wielkiej depresji z 1929 r. Komisja Europejska szacuje, że w tym roku PKB w całej Unii skurczy się o 7,5%. Jednak wszyscy, którzy wieszczyli natychmiastową rewolucję polityczną w Unii Europejskiej, zdecydowanie się przeliczyli.

Sondaże pokazują, że podczas kryzysu powszechne jest podejście: jak trwoga, to do państwa. Po wybuchu pandemii władze niemal wszystkich krajów Unii odnotowały stabilizację lub wzrost poparcia. Ta stabilność jest widoczna nawet w państwach najbardziej dotkniętych pandemią, takich jak Hiszpania czy Włochy. Partia Konserwatywna w Wielkiej Brytanii cieszy się rekordowym poparciem połowy ankietowanych. We Francji dołujący długo w sondażach prezydent Macron wyraźnie poprawił notowania, a wspierająca rząd Angeli Merkel chadecja (CDU-CSU) ma przeszło 40-procentowe poparcie, czyli wyższe niż kiedykolwiek w trwającej od niemal trzech lat kadencji.

To zrozumiałe i w gruncie rzeczy pozytywne zjawisko – świadczy przecież o tym, że w dobie niepewności i zagrożenia ludzie lokują wiarę i nadzieję w pierwszej kolejności w instytucjach państwowych. Globalny kryzys gospodarczy z 2008 r. uczy jednak, że nie będzie to trwało wiecznie. Rządzący, którzy nie stają na wysokości zadania, zostaną prędzej czy później rozliczeni. Fala populizmu, która zalała w kolejnych latach świat, też nie rozpoczęła się od razu. Bezpośrednio po kryzysie ludzie nie byli skorzy do wywracania panującego porządku. W Stanach Zjednoczonych drugą kadencję wywalczył Barack Obama, w Wielkiej Brytanii rządząca wcześniej Partia Konserwatywna, a w Polsce Platforma Obywatelska. Dopiero kilka lat później społeczeństwa dały wyraźny sygnał niezadowolenia, głosując na inną wizję polityki, wybierając Trumpa, brexit czy Prawo i Sprawiedliwość.

Wiązało się to wówczas z nieumiejętną odpowiedzią na kryzys – ratowano wielkie firmy, deregulowano rynek pracy, inwestowano miliardy w banki i instytucje finansowe, podczas gdy miliony zwykłych ludzi traciły pracę, utrzymanie, a czasem i dorobek całego życia. Wzrost gospodarczy, bilans budżetowy i wielkie korporacje były istotniejsze niż ochrona obywatelek i obywateli.

PiS więcej zasobów przekazuje na banki i instytucje finansowe niż na pomoc ludziom tracącym pracę i zamykającym firmy.

Bogatsi o tamte doświadczenia powinniśmy zadawać rządzącym w Europie pytania, czy z nich korzystają. Widać dużo pozytywnych sygnałów. Wiele państw wprowadza pakiety pomocowe dla obywateli na niespotykaną dotąd skalę – ratując miejsca pracy i firmy. Pomaga również Unia Europejska, która ma plany budowy olbrzymiego, solidarnościowego systemu wsparcia dla państw członkowskich. Nie wszyscy jednak takim rozwiązaniom kibicują. Nieprzyjemny cios europejskiej integracji zadał m.in. Trybunał Konstytucyjny Niemiec, twierdząc, że Europejski Bank Centralny przekroczył uprawnienia, skupując obligacje krajów strefy euro. To niezrozumiała krótkowzroczność.

Podobną nieroztropność obserwujemy niestety w Polsce. Kolejne rządowe tarcze antykryzysowe zawierają więcej przepisów ułatwiających zwolnienia pracowników niż realnej pomocy. Prawo i Sprawiedliwość, zgodnie ze starymi wzorcami, więcej zasobów przekazuje na banki i instytucje finansowe niż na pomoc ludziom tracącym pracę i zamykającym firmy. Za to kiedy Komisja Europejska chce przekazać Polsce więcej pieniędzy, niż PiS wyeksponowało we wszystkich dotychczasowych tarczach, a mówimy o ponad 280 mld zł, to premier opowiada, że Unia zawiodła.

W Polsce w czasach kryzysu Lewica jeszcze odważniej niż dotychczas mówi: czas na więcej solidarności. Wypracowaliśmy plan, który nie jest kolejną doktryną szoku. Posłanki i posłowie Lewicy złożyli projekty ustaw gwarantujących m.in. świadczenie kryzysowe w wysokości 2,6 tys. zł dla każdego, kto stracił pracę lub zamknął firmę. Uważamy także, że to państwo powinno przez co najmniej sześć miesięcy sfinansować przedsiębiorcom koszty stałe, takie jak najem, opłaty leasingowe, energia elektryczna czy rachunki za gaz. Domagamy się pomocy dla samorządów, bo to one stoją na pierwszej linii kryzysu. Złożyliśmy projekt ustawy rekompensującej samorządom straty powstałe w wyniku pandemii, który zakłada m.in. dofinansowanie przez państwo 50% utraconych dochodów.

Obecny kryzys na pewno daje świadectwo, że bez solidarności nie ma szybkiego powrotu do stabilności. Nie wystarczy dbać o siebie, swój kraj i swoje zaplecze. Potrzebna jest współpraca na miarę planu Marshalla. Nie wolno ulegać presji międzynarodowych korporacji, bo co z tego, że bogaci będą się bogacić, skoro biedni biednieją i coraz dotkliwiej odczuwają kryzys? Co z tego, że gospodarka jednego państwa sobie poradzi, jeśli za chwilę boleśnie odczuje upadek gospodarek sąsiadów? Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego – taka zasada powinna obowiązywać w społeczeństwie, gospodarce i wspólnocie międzynarodowej. Inaczej nie mamy szans.

Krzysztof Gawkowski jest posłem na Sejm IX kadencji, przewodniczącym Klubu Parlamentarnego Lewicy, sekretarzem zarządu partii Wiosna

eprasa.pl 1bef8a9bc8

Polityka między **kampanią i epidemią**

Targowisko, market, kopalnia – gdzie pracują teraz posłowie?

Jakub Dymek

W ciągu ostatnich kilku miesięcy epidemia i kampania zupełnie wyssały tlen z debaty publicznej. Tuziny istotnych społecznie spraw zostały zepchnięte na daleki margines. Codzienna i rutynowa praca polityczna, nawet w normalnych okolicznościach nie zawsze spektakularna, całkowicie zaś zniknęła z mediów.

Politycy i polityczki, którzy chcieli pracować i realizować swoje projekty, musieli w tych okolicznościach odnaleźć się na nowo – wyjść na ulice lub przenieść aktywność do sieci, zająć się pomocą dotkniętym pandemią, interweniować w sprawach swoich wyborców, seriami pisać interpelacje. Jedni zakopali się w pracach komisji, drudzy zajęli pracą w swoich okręgach, jeszcze inni weszli w rolę śledczych i kontrolerów – przeprowadzając kontrole i zawiadamiając instytucje państwa o nieprawidłowościach. Niektórzy zmienili swoje biura poselskie w centra pomocy prawnej.

Postanowiliśmy sprawdzić, jak w czasie epidemii pracowali posłowie i posłanki Lewicy.

Cała szóstka posłów Razem, m.in. (nz.) Adrian Zandberg, Paulina Matysiak i Maciej Konieczny, interweniowała w sprawie podejrzenia łamania praw pracowników sieci Kaufland i Biedronka.

Poprawki ponad podziałami

– Paradoksalnie okres pandemii jest czasem najintensywniejszej pracy w mojej krótkiej poselskiej karierze – mówi posłanka Lewicy Hanna Gill-Piątek. A przecież już wcześniej pochwaliła się wyborcom tytułem najaktywniejszej posłanki po 100 dniach kadencji. Wtedy – po trzech miesiącach od debiutu w Sejmie – miała na koncie najwięcej interpelacji poselskich i zapytań (154) oraz udział w głosowaniach na poziomie ponad 97%. Łódzka posłanka Wiosny jest członkinią Komisji Finansów Publicznych, która ma tyleż ważne, co stachanowskie i niewdzięczne zadanie przeglądania kolejnych projektów tarcz antykryzysowych przedstawianych przez rząd Mateusza Morawieckiego.

Wśród zgłoszonych przez Lewicę poprawek do tarczy 3.0 jest m.in. ta o zakazie komorniczych licytacji nieruchomości w czasie stanu epidemii i 90 dni po nim. W skrócie chodzi o to, aby nie można było nie tylko wyrzucić kogoś na bruk w trakcie pandemii, ale i ściągać długów poprzez licytacje mieszkań i domów. Poprawka przeszła przy niecodziennym sojuszu posłanki Gill-Piątek z Ministerstwem Sprawiedliwości zainteresowanym wprowadzeniem własnych zapisów antylichwiarskich. Rząd szybko udzielił pomysłowi poparcia. Niekontrowersyjna, wydawać by się mogło, inicjatywa i tak była krytykowana. „Po co wierzycielom pieniądze? Odzyskiwanie długów w Polsce stało się jeszcze trudniejsze niż do tej pory. Tarcza wprowadza kolejne utrudnienia", skarżył się popularny internetowy serwis z analizami prawnymi Bezprawnik.pl.

Hanna Gill-Piątek, łódzka posłanka Wiosny, zgłosiła do tarczy 3.0 poprawkę o zakazie komorniczych licytacji nieruchomości w czasie stanu epidemii i 90 dni po nim.

Razem z posłem z Trójmiasta, Markiem Rutką, Hanna Gill-Piątek nagłośniła też sprawę handlu przez Agencję Rezerw Materiałowych maseczkami. „Agencja Rezerw Materiałowych sprzedała ponad 62 tys. masek ochronnych po 10 zł w przeddzień epidemii. Później kupowano maski gorszej jakości, bez żadnych atestów, po 39 zł", tłumaczył wtedy mediom Rutka. Sytuacja była szczególnie nośna na początku pandemii, gdy dziennikarze i komentatorzy pisali, że wyprzedaż środków ochrony osobistej i spekulacja nimi

eprasa.pl 1bef8a9bc8

może urosnąć do rangi olbrzymiego skandalu politycznego. Dziś już wiemy, że ten akurat podejrzany epizod został przykryty tuzinem kolejnych. Ale po kwietniowym zawiadomieniu posłów Lewicy sprawą może się zająć Najwyższa Izba Kontroli. 13 maja Marian Banaś wysłał odpowiedź w tej kwestii.

Joanna Scheuring-Wielgus była jedną z autorek Mapy Kościelnej Pedofilii.

Temat Agencji Rezerw Materiałowych wraca przy tarczy antykryzysowej. Na wniosek posłów i posłanek Lewicy wyposażenie i środki ochrony z ARM mogą być kierowane nie tylko do szpitali czy aptek, ale także bezpośrednio do domów pomocy społecznej. Przepis ten nie pozostał wyłącznie na papierze – rząd i wojewodowie chwalą się dziś, że konieczne zapasy z ARM trafiają do DPS-ów w kolejnych regionach kraju.

– Gdyby nie kampania wyborcza, podobnych poprawek ponad podziałami byłoby więcej – przekonuje Hanna Gill-Piątek. – Pracownicy byliby lepiej chronieni, bezrobotni mieliby lepsze zabezpieczenie, a przedsiębiorcy szybszy dostęp do środków antykryzysowych, gdyby nie to, że przyszło nam pracować w trakcie kampanii. Gdy nad wszystkim wisi ta nieustanna polaryzacja i presja, by pokazać, kto jest lepszy, a kto gorszy.

Wyjście z Sejmu

Innym sposobem, by pracować w trakcie pandemii, jest wyjście z Sejmu i wyjechanie z Warszawy. – Telefonów, wiadomości na Facebooku i mejli z prośbą o interwencję jest teraz zdecydowanie więcej. Poza tym, że nie spotykam się z wyborcami w moim biurze twarzą w twarz, nie zmieniło się tak wiele – mówi Joanna Scheuring-Wielgus, w poprzedniej kadencji posłanka Nowoczesnej, która w 2019 r. zdobyła w Toruniu mandat z list Lewicy.

Gdy polityka w Warszawie stanęła, posłanka wróciła do roli aktywistki społecznej w swoim regionie. Z jakimi sprawami dzwonią ludzie proszący o interwencję? – Od tego, by pomóc ściągnąć kogoś do domu z zagranicy w trakcie pandemii czy dostarczyć jedzenie medykom, aż po to, żeby godzinę porozmawiać – wylicza. Jak przekonuje, zawieszenie prac Sejmu nie przerwało projektów, w które była zaangażowana. Jako większe zagrożenie wskazuje „wyborczą paranoję" i grę w trójkącie PO-PiS-Gowin, która odwraca uwagę dziennikarzy od tematów istotnych społecznie, a wyborcom odbiera resztki zaufania do sejmowej polityki.

Joanna Scheuring-Wielgus była jedną z autorek Mapy Kościelnej Pedofilii, która ujrzała światło dzienne w zeszłym roku i wciąż jest aktualizowana. Posłanka z Torunia pracowała również w gronie ekspertek nad projektem ustawy o Komisji Prawdy i Pojednania, mającej wyjaśniać zaniedbania państwa i Kościoła w walce z przestępczością seksualną wobec małoletnich.

Posłowie ze Śląska, Maciej Kopiec z Wiosny i Maciej Konieczny z Razem, domagali się od Polskiej Grupy Górniczej wyjaśnień w związku z ponad tysiącem zakażeń w firmie.

Problem jednak w tym, że projekt zgłoszono dokładnie wtedy, kiedy swoją komisję – po emisji filmu „Nic się nie stało" Sylwestra Latkowskiego w TVP – zaczął w końcu, po długiej zwłoce, obsadzać rząd.

Joanna Scheuring-Wielgus zapewnia, że nie porzuca pomysłu powołania bezstronnej komisji – nawet gdyby miała z nim czekać do kolejnej kadencji. – Nie dziwię się, że Ministerstwo Sprawiedliwości tak pogrywa dzięki filmowi Latkowskiego, bo nie mam wielkich oczekiwań względem resortu kierowanego przez Zbigniewa Ziobrę – mówi. Teraz – pomimo obustronnej niechęci – pisze zapytania do ministra i prokuratury w sprawie jej działań w Sopocie. – Co się stało z dowodami, czy zostały zabezpieczone, czy wyparowały, czy są nagrania i czy prokuratura dowiaduje się o takich przestępstwach z telewizji?

Pewne rzeczy jednak się zmieniły. W marcu nie doszło do inauguracji prac Parlamentarnego Zespołu Świeckie Państwo ani do wysłuchania ekspertów w sprawie obywatelskiego projektu reformy mediów publicznych. Tym drugim miał się zająć Parlamentarny Zespół Pakt dla Kultury założony przez Joannę Scheuring-Wielgus. Od lutego nie zbiera się też Komisja Kultury i Środków Przekazu, w której jeszcze zimą referowano zapalne i wzbudzające zainteresowanie dziennikarzy sprawy: słynne 2 mld zł dla TVP czy działalność Polskiej Fundacji Narodowej. Powstał pomysł, żeby dyskusje publiczne i panele z ekspertami na temat reformy mediów posłanka prowadziła online, ale – jak sama zwraca uwagę – „wszyscy są już chyba zmęczeni niekończącymi się telekonferencjami w internecie". Działając na swoim terenie, wraz z posłem Krzysztofem Śmiszkiem przeprowadziła poselską kontrolę w drukarni Samindruk w Brodnicy, która wydrukowała karty wyborcze na 10 maja.

Interwencje

Partia Razem postanowiła zwrócić się bezpośrednio do poszkodowanych kryzysem i zorganizować poselską pomoc prawną dla zwalnianych pracowników. Ktoś wyzłośliwiał się na Twitterze, że to kopia prezydenckiego pomysłu DudaPomoc sprzed pięciu lat, ale o tym drugim pamięta dziś już chyba zbyt mało osób, aby zarzut plagiatu się utrzymał.

– Kelnerki, które z dnia na dzień straciły pracę, bo były zatrudnione na śmieciówce, sprzedawcy, którym nie zapewniono choćby rękawiczek,

FOT. JAN BIELECKI/EAST NEWS

eprasa.pl 1bef8a9bc8

czy pracownicy biurowi, których szef nie zgadza się na pracę zdalną... Epidemia ma ogromny wpływ na pracę i osoby pracujące – ich prawa nie są dostatecznie chronione. Jako posłanka mogę skorzystać z dostępnych mi narzędzi, żeby się o nie upomnieć – mówiła w marcu Agnieszka Dziemianowicz-Bąk, która jako pierwsza wprowadziła poselską pomoc w swoim biurze.

Dziś posłanka z Wrocławia, formalnie niezwiązana z żadną z trzech partii tworzących klub Nowej Lewicy, jest już bardziej zaangażowana w kampanię Roberta Biedronia, ale pomysł chwycił i pod koniec marca podpisywała się pod nim już cała lewicowa koalicja. Podobną ofertę pomocy pracownikom, ale i drobnym sklepikarzom, rzemieślnikom i kupcom z poznańskich targowisk, złożył poseł Koalicji Obywatelskiej Franciszek Sterczewski.

Posłowie ze Śląska, Maciej Kopiec z Wiosny i Maciej Konieczny z Razem, interweniowali w Polskiej Grupie Górniczej, domagając się wyjaśnień w związku z ponad tysiącem zakażeń w firmie wydobywczej. „Domagamy się m.in. informacji na temat tego, kiedy zapadła decyzja o kontynuowaniu wydobycia i co za nią stało. Chcemy dowiedzieć się, jakie środki bezpieczeństwa wprowadzono w kopalniach należących do PGG w związku z pandemią oraz jakie były wyniki codziennych pomiarów temperatury na wejściu do kopalń”, cytowała Koniecznego Polska Agencja Prasowa.

Cała szóstka posłów Razem pisała zaś w sprawie podejrzenia łamania praw pracowników sieci Kaufland i Biedronka bezpośrednio do rzeczników i zarządów firm. Posłowie i posłanki domagali się wyjaśnień, czy nowe, dłuższe godziny pracy – zarządzone w trakcie epidemii – wprowadzono w zgodzie z Kodeksem pracy. Pod listem podpisali się Adrian Zandberg, Paulina Matysiak, Maciej Konieczny, Daria Gosek-Popiołek, Marcelina Zawisza i Magdalena Biejat. Zgodnie z prawem odpowiedzi na obie interwencje posłowie powinni otrzymać w ciągu dwóch tygodni.

Mniej szczęścia ma za to projekt podatku cyfrowego, o który apelowaliśmy na łamach PRZEGLĄDU w grudniu. Został przedstawiony przez partię Razem do konsultacji społecznych ostatniego dnia lutego. W założeniach miał po miesiącu wrócić do wewnątrzpartyjnych poprawek, a wiosną zostać złożony w Sejmie. Epidemia utrudniła te prace. Temat podatku cyfrowego wrócił dopiero w maju, a do prac parlamentarnych projekt zostanie skierowany najwcześniej w czerwcu – jednak na razie bez większych nadziei na poparcie strony rządowej.

Partia Razem zorganizowała poselską pomoc prawną dla zwalnianych pracowników.

Jakub Dymek

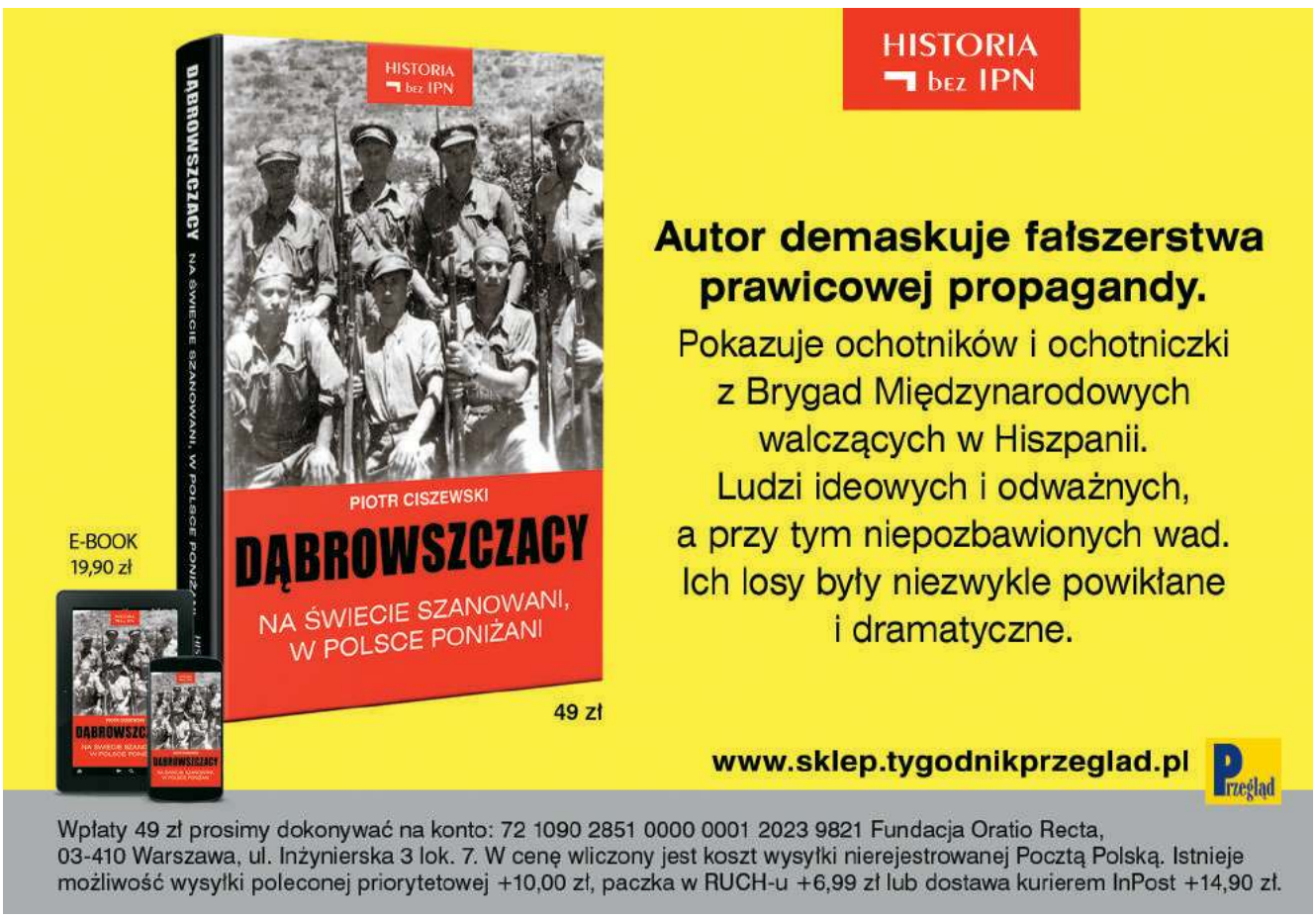

eprasa.pl 1bef8a9bc8

Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

Uraz antyprawicowy

Gdy po roku 1989 rozmawiało się z ludźmi takimi jak Jerzy Turowicz, Czesław Miłosz czy Stanisław Stomma, widoczny był u nich uraz na punkcie politycznej prawicy, jakieś traumatyczne doświadczenie z czasów przedwojennych. W istocie, katolik Turowicz, który w dwudziestoleciu, razem z socjalistą Józefem Cyrankiewiczem, dawał odpór endeckiemu pisarzowi Janowi Bielatowiczowi, nadal w III Rzeczypospolitej uważał się za chrześcijańskiego socjaldemokratę, a w wyborach prezydenckich 1995 r. poparł publicznie lewicowego agnostyka, Jacka Kuronia. Miłosz (by tylko do tego faktu się ograniczyć) wydał w 1999 r. demaskatorską „Wyprawę w dwudziestolecie". A Stomma, patrząc na poczynania Akcji Wyborczej Solidarność, wykrzykiwał: „Znam, zanadto dobrze znam!". Nawet młodszy od nich Tadeusz Mazowiecki na pytanie, czy jest chrześcijańskim demokratą, odpowiadał: „Jestem chrześcijaninem i demokratą". Ci ludzie – i ta formacja – nigdy nie mieszali porządków.

Niemniej jednak ich stosunek do prawicy wydawał mi się wtedy przesadny. Od dawna już uważałem, że po rządach „lewicowej" PZPR trzeba odbudować polską scenę polityczną, a więc także prawicę – może nawet prawicę przede wszystkim. Dlatego gdy w roku 1985 Ryszard Terlecki (tak, ten sam – byliśmy wtedy w przyjaźni) zaproponował mi udział w ankiecie podziemnego pisma „Arka", zgodziłem się i na pytanie „Jaka prawica jest Polsce potrzebna" dałem odpowiedź: „Prawica nienacjonalistyczna". „Kto ją jednak zbuduje?", pytałem patetycznie na koniec.

Nie wiem, czy Ryszard Terlecki był zadowolony z mojej wypowiedzi. Nasze drogi po 1989 r. się rozeszły. Ja zawędrowałem do redakcji „Tygodnika Powszechnego" i do Rady Krajowej Unii Demokratycznej (potem Unii Wolności), on tworzył kolejne kanapowe ugrupowania, zawsze prawicowe (cokolwiek by to znaczyło). Dziś role się odwróciły, Terlecki jest prawicowym dygnitarzem, ja skromnym wyrobnikiem pióra, lecz przecież właśnie dlatego zadaję sobie często pytanie, czym była i czym jest polska prawica. Wszak to mój rachunek sumienia.

Czy spełniło się marzenie o prawicy nienacjonalistycznej? Niestety, nie. Powracające raz po raz antyukraińskie ekscesy w Przemyślu – czymże są, jeśli nie ekspresją postawy nacjonalistycznej? Czym jest nerwowy dygot, jaki dopada rządzących, gdy tylko ktoś zauważy, że Polacy także mieli udział w Holokauście? A cóż mówić o stosunku prawicy do Niemców, od których domaga się ona „reparacji"? Lub do Rosjan, których rolę w 1945 r. sprowadza do działań NKWD? Można więc widzieć u polskiej prawicy powrót nacjonalizmu, choć oczywiście można też mówić o odżyciu postaw sarmackich i mesjanistycznych, no i odwiecznej, zawsze tak samo prymitywnej, narodowej megalomanii. Nie trzeba dodawać, że wszystko to nijak się ma do potrzeb Polski w XXI w.

Endeckie korzenie dzisiejszej polskiej prawicy widać najlepiej w jej postawie wobec samych Polaków. Zapożyczam się tu u prof. Andrzeja Walickiego, który już wiele lat temu zwracał uwagę, jak figura „pół-Polaka", ukuta w 1902 r. przez Romana Dmowskiego w krakowskim „Przeglądzie Wszechpolskim", rezonuje w obecnym dzieleniu polskiego społeczeństwa. W istocie, takie dzielenie, takie tworzenie barier i wykopywanie rowów wydaje się wręcz cechą konstytutywną naszej prawicy, cechą, bez której nie mogłaby ona istnieć. W wersji umiarkowanej jest ta właściwość ukryta w hasłach Polski liberalnej i Polski solidarnej, Polski „PRL-owskiej" i Polski „posierpniowej." W wersji katolickiej uzyskuje postać walki z „cywilizacją śmierci". W wersji radykalnej ucieleśnia się w wykrzykiwaniach o „ludziach gorszego sortu" i o „zdradzieckich mordach".

Polska prawica nie jest dla Polaków! Bo nie uznaje dobra wspólnego i usuwa na margines połowę narodu.

Henryk Dembiński, kolega Miłosza i Stanisława Stommy z przedwojennego Wilna, ukuł (na wzór pojęcia „dusza w naturalny sposób chrześcijańska") określenie *anima naturaliter endeciana* – „dusza w naturalny sposób endecka". Istotnie, taka właśnie wydaje się natura przeciętnego Polaka i to tłumaczyłoby sukcesy PiS – trwałe mimo tylu kompromitujących wpadek, mimo działań tak jaskrawo wymierzonych w polską rację stanu. Problem jednak leży w tym, że polska prawica jest… polską prawicą. Że wcale nie jest dla Polaków! Bo nie tworzy wizji możliwej do przyjęcia przez ogół społeczeństwa, nie uznaje dobra wspólnego, bo wyklucza, obraża, usuwa na margines połowę narodu. Ona istnieje nie dla Polski, lecz dla siebie. Czyli dokonuje drastycznego zubożenia polskości. To dlatego nie umie sformułować, a tym bardziej zrealizować, polskiej racji stanu.

Cywilizowana prawica? W Polsce jej nie ma – nigdy nie było i być nie mogło. Czy polska prawica ma prawo istnieć? To oczywiste – pytanie tylko, czy powinna rządzić. A ja? Czy wciąż mam się dziwić urazowi Turowicza, Miłosza, Stommy?

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 1bef8a9bc8

Prymas patriotą PRL

Kardynał Stefan Wyszyński nie był żadnym zaprzysięgłym wrogiem Polski po 1944/1945 r.

Rozmawia Paweł Dybicz

DR HAB. LECH MAŻEWSKI

– historyk prawa polskiego, politolog. Ostatnio opublikował „Ustrojowopolityczny taran. Polityka NSZZ »Solidarność« a przemiany ustrojowe w PRL w latach 1980-1982".

Napisał pan książkę „Prymas Stefan Kardynał Wyszyński wobec Polski po 1944/1945 r." niezgodną z polityką historyczną uprawianą nie tylko przez Instytut Pamięci Narodowej, ale i przez Kościół. Nie przedstawił pan prymasa Wyszyńskiego jako zaprzysięgłego wroga Polski Ludowej.

– Ta książka nie tylko jest niezgodna z polityką historyczną uprawianą przez IPN i większość czynników kościelnych, ale także jej tezy nie będą miały żadnego wsparcia wśród sił politycznych dominujących dziś w Polsce. Prymas Stefan Wyszyński, podobnie jak kard. August Hlond, jego poprzednik na stolicy arcybiskupiej w Gnieźnie i Warszawie, a tym samym prymas Polski, nie był żadnym zaprzysięgłym wrogiem Polski po 1944/1945 r. Obaj uznawali realia geopolityczne ukształtowane po zakończeniu II wojny światowej, a nawet oceniali je jako korzystne dla Polski, nie sprzeciwiali się przemianom społeczno-gospodarczym, w tym reformie rolnej i nacjonalizacji przemysłu, a później industrializacji na wielką skalę, stanowczo występowali jedynie przeciwko próbie narzucenia Polsce państwowego ateizmu. To ostatnie szczególnie dotyczyło prymasa Wyszyńskiego. Walka z państwowym ateizmem była jednym z celów w ramach Wielkiej Nowenny Milenium Chrztu Polski w latach 1957-1966 i samych uroczystości milenijnych w latach 1966-1967.

Pozostańmy na chwilę przy stosunku prymasa do reform społeczno-gospodarczych, które dokonały się w Polsce po II wojnie światowej.

– W 1965 r. kard. Wyszyński powiedział Januszowi Zabłockiemu, ówczesnemu posłowi Koła Poselskiego Znak, że wśród wielu rewindykacji wobec rządu „nie domagamy się zwrotu majątków kościelnych – ich strata stanowi dobrodziejstwo. Księża przestają być latyfundystami, są bliżej ludu". W ogólnopaństwowej perspektywie prymas mówił w taki sam sposób w trakcie spotkania z redaktorami „Tygodnika Powszechnego" już w październiku 1952 r.: „Cokolwiek przyniesie przyszłość, trzeba pamiętać, że cały szereg tzw. zdobyczy społecznych ma charakter stałych zdobyczy. Do nich zaliczam przejęcie na własność społeczną ciężkiego przemysłu i wielkiej własności rolnej. Kościół w Polsce nie będzie walczył o zwrot majątków rolnych, sam też nie upomni się o swoje folwarki". Dokładnie to samo stwierdził w rozmowie z Bolesławem Piaseckim, prezesem Stowarzyszenia PAX, odbytej 16 sierpnia 1953 r.: „»Przedwojenne« nie wróci. (...) Ja osobiście nie chcę odbierać majątków prymasowskich; nie przyjąłbym zwrotu majątków kościelnych. Jestem zdania, że przemysł ciężki musi pozostać w ręku państwa, pod kontrolą instytucji związków zawodowych. Podobnie kopalnie itp.".

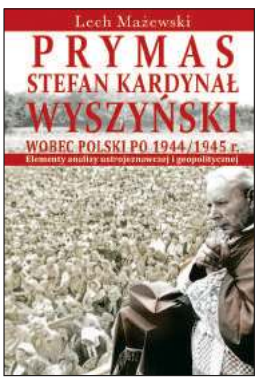

Lech Mażewski, „Prymas Stefan Kardynał Wyszyński wobec Polski po 1944/1945 r. Elementy analizy ustrojoznawczej i geopolitycznej", Oficyna Wydawnicza ASPRA-JR, tel.: 602 69 40 40.

Jak by pan lapidarnie określił stosunek prymasa Wyszyńskiego do PRL?

– Rozumiem, że określenia PRL nie używa pan w sensie konstytucyjnoprawnym. Chodzi panu o Polskę po 1944/1945 r.?

Tak.

– Prymas Wyszyński był patriotą tak rozumianej PRL, występując przeciwko niej z pozycji wewnątrzsystemowych. Przedmiotem jego kontestacji było głównie forsowanie przez władze państwowego ateizmu, a nie socjalistyczny model społeczno-gospodarczy, ograniczenia niepodległości państwa czy brak demokracji politycznej, aczkolwiek i tu miał wiele krytycznych uwag.

Czy nieco podobnego stanowiska nie zajmował wobec PRL prof. Andrzej Walicki?

– Ma pan rację, że Walicki określa się jako patriota PRL, a jednocześnie jako jej krytyk z pozycji wewnątrzsystemowych. Ale o co innego chodziło znakomitemu historykowi idei, a co innego przyświecało prymasowi, gdyż książę Kościoła z liberalizmem w jakiejkolwiek postaci nie miał nic wspólnego, a to z kolei cechuje znawcę rosyjskiej myśli politycznej.

Co prymas Wyszyński rozumiał przez pojęcie państwowy ateizm?

– Państwowy ateizm to próba narzucenia przez państwo ateizmu jako istotnego elementu oficjalnej ideologii, co musiało skutkować dyskryminacją ludzi wierzących i wysiłkami na rzecz ograniczenia działalności Kościoła jedynie do wykonywania kultu religijnego w świątyniach, a nie korzystania z wolności religijnej poprzez obecność w życiu publicznym.

Czy w działaniach kard. Wyszyńskiego nie raziły zbyt ofensywny katolicyzm i maryjna religijność, utożsamiana w wielu środowiskach z przejawami zacofania?

– Taki pogląd reprezentowały nie tylko władze i środowiska laickiej inteligencji, ale również ugrupowania

eprasa.pl 1bef8a9bc8

Bp Stefan Wyszyński, wtedy biskup lubelski, z prymasem kard. Augustem Hlondem w Puławach, 3 sierpnia 1948 r.

katolików świeckich. Nie chodzi mi tu o PAX Piaseckiego – po Październiku 1956 r. to już tylko rodzaj partyjno-państwowej dywersji wobec Kościoła i osobiście prymasa. Myślę o środowiskach inteligencji katolickiej skupionych wokół „Tygodnika Powszechnego" i „Znaku" w Krakowie czy „Więzi" i Klubu Inteligencji Katolickiej w Warszawie. W 1975 r. Stanisław Stomma, wieloletni lider Koła Poselskiego Znak, przyznał w długiej rozmowie z prymasem, którą określił mianem spowiedzi politycznej, że to przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski miał rację w sprawie obchodów Milenium Chrztu Polski, wraz z uwypuklaniem maryjności polskiego katolicyzmu, a więc odwoływaniem się do jego ludowego charakteru, a nie inteligenccy oponenci kardynała z Krakowa czy Warszawy. W ten sposób Kościół uzyskał oparcie w szerokich rzeszach społeczeństwa, dające mu siłę do dalszych działań w życiu publicznym, tym razem chodziło o wpływanie na kierunek polityki państwa.

Kiedy po wojnie władzę w Polsce objęli ludzie głównie komunistycznej proweniencji, w 1948 r. wbrew większości biskupów prymasem został hierarcha, który w publikacjach i wystąpieniach już przed wojną nie szczędził słów krytyki kapitalizmowi. Czy to mogło mieć wpływ na nominację jego, a nie arcybiskupa poznańskiego Walentego Dymka?

– Ówczesny biskup lubelski został świadomie wskazany przez umierającego prymasa Hlonda, co bez zbędnej zwłoki zaaprobował Pius XII. Stanowisko reszty biskupów nie miało tu nic do rzeczy, bo to nie ich sprawa, kto ma być prymasem. Na szczęście Kościół nie kieruje się regułami demokracji politycznej, pozostając instytucją o wyraźnie określonej hierarchicznej strukturze. Dlaczego Hlond postawił na Wyszyńskiego? Obu ich łączyła ostentacyjna wręcz maryjność. Niewątpliwie znaczenie miały też lewicowe poglądy społeczno-gospodarcze nowego prymasa Polski, widoczne już w latach 30. zeszłego stulecia. No i wreszcie kwestia wieku. Następca Hlonda był najmłodszym członkiem Episkopatu Polski, a zanosiło się na ciężkie czasy dla Kościoła, więc trzeba było kogoś nieuwięzionego w przedwojennych schematach myślowych. Wszystkie te trzy czynniki razem zadecydowały, że kolejnym arcybiskupem Gniezna i Warszawy został Wyszyński.

Kard. Wyszyński i kard. Hlond uznawali realia geopolityczne, a nawet oceniali je jako korzystne dla Polski.

Czy lewicowe poglądy społeczno-gospodarcze nowego prymasa były wówczas czymś wyjątkowym w polskim Kościele?

– Niedawno dowiedzieliśmy się, że w wykładach z zakresu społecznej nauki Kościoła, które Karol Wojtyła prowadził na początku lat 50. na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, inspiracja marksizmem była bardzo znacząca. Łatwo możemy o tym się przekonać, bo w 2018 r. wykłady te zostały opublikowane przez Wydawnictwo KUL w formie książki „Katolicka etyka społeczna".

Prymas Wyszyński od początku był krytykowany przez wielu hierarchów za podpisanie porozumienia z władzami 14 kwietnia 1950 r.

– Tak rzeczywiście było. Warto pamiętać, że owo porozumienie zawarto jedynie dzięki determinacji prymasa, wspieranego głównie przez sekretarza episkopatu bp. Zygmunta Choromańskiego i biskupa łódzkiego Michała Klepacza, a przy pewnych wahaniach ze strony metropolity krakowskiego kard. Adama Stefana Sapiehy. Również Pius XII i rzymscy kurialiści odnosili się bardzo niechętnie do tego porozumienia, uważając, że ustępstwa Kościoła były zbyt wielkie i że wkraczało ono w materię konkordatu zastrzeżoną dla Stolicy Apostolskiej.

Porozumienie to było wówczas korzystne zarówno dla Kościoła, jak i dla władzy, gwarantując np. nieprzeciwstawianie się duchownych powstawaniu spółdzielni produkcyjnych i potępienie zbrojnego podziemia.

– Wyszyńskiemu chodziło głównie o utrzymanie niezależności obsady urzędów kościelnych, nawet za cenę utraty dotychczasowej bazy materialnej; zdawał się tu na ofiarność wiernych. Przedstawiciele władzy uważali, że Kościół nie da sobie rady, więc nie trzeba stosować drastycznych rozwiązań prawnych na kształt tych z dekretu Rady Państwa z 9 lutego 1953 r., a przecież Franciszek Mazur, główny negocjator ze strony władz, miał ich zarys już przygotowany w trakcie negocjacji kwietniowego porozumienia. Sądził on, że Kościół będzie musiał zwrócić się do państwa o pomoc finansową i wtedy

eprasa.pl 1bef8a9bc8

zostanie skutecznie uzależniony. W ten sposób rozpoczęła się wielka polityka prymasa polegająca na kupowaniu czasu, aby doczekać śmierci Józefa Stalina i rozpoczęcia spodziewanego procesu detotalizacji systemu, co rzeczywiście się stało. Polityka ta uwieńczona została zwycięskim powrotem z Komańczy do Warszawy 28 października 1956 r.

Przedtem jednak 25 września 1953 r. prymas Wyszyński został internowany na podstawie uchwały Prezydium Rządu PRL, przy biernym zachowaniu pozostałych biskupów. Czy to nie oznaczało klęski jego dotychczasowej polityki?

– Okazało się, że wcale nie. Rozpoczynała się gra na dwóch fortepianach. Internowaniu Wyszyńskiego oraz aresztowaniu i uwięzieniu bp. Antoniego Baraniaka towarzyszyły wysiłki biskupów Klepacza i Choromańskiego, skutecznie starających się o utrzymanie niezależności Kościoła, na ile to wtedy było możliwe. Na *ad limina apostolorum* w maju i czerwcu 1957 r. Wyszyński zabrał do Rzymu całą trójkę hierarchów, broniąc bp. Klepacza przed zarzutami, że w latach 1953-1956 był zbyt uległy wobec władz.

W czasie tej wizyty sekretarzowi stanu kard. Domenicowi Tardiniemu prymas powiedział, że „w Polsce panuje »komunizm nacjonalistyczny«, który walczy o suwerenność Polski, broniąc jej przed Moskwą". Mało kto dziś wystawia taką ocenę rządzącym PRL.

– Jasno należy powiedzieć: tak pochlebną ocenę. Zwrócę uwagę, że także sami rządzący PRL nie mówili tego o sobie po 1989 r., nieudolnie starając się przejść na pozycje swoich demoliberalnych przeciwników. Skąd więc oczekiwanie, że dziś mielibyśmy w taki sposób się wypowiadać? Powiedzą to co światlejsi ludzie lewicy. A na prawicy może byłby do tego zdolny jedynie red. Jan Engelgard z „Myśli Polskiej".

W sprawie stosunku do komunizmu prymas w zapiskach „Pro memoria" wyraził jasne stanowisko: „Nawet gdy walczymy z obłędnym komunizmem, nie chcemy wojny z Narodem Rosyjskim", co wyraźnie pan podkreśla.

– Należy ten pogląd Wyszyńskiego eksponować, gdyż w polskim myśleniu o Rosji bolszewickiej zazwyczaj, wzorem Jana Kucharzewskiego, autora „Od białego do czerwonego caratu", utożsamia się Rosję i komunizm. Obecnie do wyjątków w świecie akademickim należą wspomniany już Andrzej Walicki czy Bronisław Łagowski, dla których Rosja i komunizm to nie byty tożsame.

Czyżby Wyszyński uważał, że nam, Polakom, bliżej do Rosjan niż do Zachodu?

– To dosyć skomplikowana sprawa. Rzeczywiście, kilkakrotnie w rozmowach z przywódcami PZPR/PRL w różnych okresach prymas wskazywał, że w powojennych realiach, mając do wyboru Niemcy i ZSRR, należy się oprzeć na wschodnim mocarstwie, robiąc to oczywiście ze względów nie ideologicznych, ale geopolitycznych. Niekiedy było to jednak formułowane w dość dziwacznych słowach o słowiańskiej bliskości Polaków i Rosjan – zamiast w jasnym języku *raison d'état*.

Na zakończenie konfliktu wokół „Orędzia biskupów polskich do ich niemieckich braci w Chrystusowym urzędzie pasterskim" z końca 1965 r. prymas sformułował w piśmie do Władysława Gomułki z 12 marca 1966 r. tezę, że Polska wcale nie jest częścią germańskiego czy romańskiego Zachodu, a raczej należy do łacińsko-rzymskiego Południa.

– To sprawa o kapitalnym znaczeniu dla określenia tożsamości i położenia Polski w ogóle. Wyszyńskiemu chodziło o to, że w sensie kulturowym i religijnym czerpiemy z łacińskiego Rzymu, natomiast w znaczeniu geopolitycznym możemy być zarówno częścią Zachodu, jak i Wschodu. W tym drugim przypadku tak było w okresie Królestwa Polskiego, utworzonego przez Aleksandra I w 1815 r., i żadna szczególna krzywda nas z tego tytułu nie spotkała.

Czy prymas Wyszyński rozumiał rolę Stalina w objęciu przez Polskę Ziem Zachodnich i Północnych?

– To też nie jest prosta sprawa. We wspomnianym liście do biskupów niemieckich mowa jest o tym, że decyzja o przyznaniu Polsce ziem poniemieckich po Odrę i Nysę Łużycką wynikała ze wspólnego stanowiska trzech głównych mocarstw koalicji antyhitlerowskiej z okresu II wojny światowej, a nie jedynie ZSRR. Z kolei przedtem w wielu wystąpieniach podkreślana była teza o powrocie Polski na ziemie piastowskie i dokonanym w ten sposób akcie sprawiedliwości historycznej, co dobrze współbrzmiało z ówczesnym stanowiskiem władz. Z pewnością Wyszyński zdawał sobie sprawę z roli, jaką w procesie przesunięcia Polski ze wschodniej do środkowej Europy odegrał Stalin, acz w szczegółach nie było mu to znane, a już z pewnością nie wiedział, że w ten sposób

Obchody Milenium Chrztu Polski w Gnieźnie, 1966 r.

PRZEŁOŻONA BEATYFIKACJA

28 maja minęła 39. rocznica śmierci kard. Stefana Wyszyńskiego. 7 czerwca miały się odbyć uroczystości jego beatyfikacji, jednak ze względu na epidemię przełożono je na późniejszy termin.

W 1965 r. Wyszyński powiedział Januszowi Zabłockiemu: „Nie domagamy się zwrotu majątków kościelnych – ich strata stanowi dobrodziejstwo. Księża przestają być latyfundystami".

eprasa.pl 1bef8a9bc8

radziecki dyktator był jedynie wykonawcą koncepcji Siergieja Sazonowa, ministra spraw zagranicznych Rosji z okresu I wojny światowej, tyle że w wariancie terytorialnie korzystniejszym dla Polski.

Naczelną zasadą działania Wyszyńskiego było szukanie porozumienia z władzą i wpływanie na jej decyzje, co miało miejsce choćby w czasie uchwalania noweli konstytucji PRL z 10 lutego 1976 r.

– To oczywiście prawda, ale po raz pierwszy z taką sytuacją mieliśmy do czynienia już w październiku 1956 r. Skuteczne wpływanie na politykę państwa, choćby w trakcie prac nad lutową nowelą konstytucji PRL, było możliwe jedynie dlatego, że Kościół występował z pozycji siły, co wynikało z oparcia w katolickich masach. Zupełnie nie byli w stanie tego zrozumieć działacze katoliccy ze Stanisławem Stommą na czele, którzy swoją pozycję w życiu publicznym zawdzięczali czynnikom partyjnym, a nie własnej sile. Dlatego ich znaczenie w ówczesnym życiu publicznym Polski mogło być jedynie marginalne – w przeciwieństwie do Kościoła i samego prymasa.

Do historii przeszło kazanie na Jasnej Górze z 26 sierpnia 1980 r., w którym prymas nawoływał do rozwagi, kierując te słowa do rządzących, ale i do strajkujących. Wiadomo, że ci drudzy niechętnie do nich się odnieśli. To był poważny sygnał, że nie jest już całkowitym władcą dusz?

– Prawdą jest, że strajkujący w sierpniu 1980 r. mogli oczekiwać od głowy polskiego Kościoła czegoś więcej, ale interes Polski nakazywał Wyszyńskiemu inne zachowanie. Potrzebowaliśmy zarówno realizacji postulatów strajkowych, jak i ustabilizowania sytuacji – na nowych już warunkach. To, czy prymas przestał być bezdyskusyjnym władcą dusz, wobec nakazu racji stanu nie było sprawą aż tak istotną. Poza tym także w ten sposób Kościół od samego początku pozycjonował się jako odrębny podmiot wobec rodzącego się dualizmu państwo-nowy ruch związkowy, sprawiając, że do 12/13 grudnia 1981 r. w polskim życiu publicznym istniał trójkąt: państwo-nowy ruch związkowy-Kościół.

Nie wolno nie docenić roli prymasa w zażegnaniu kryzysu bydgoskiego z marca 1981 r.

– W tym czasie nie tylko doszło do współpracy prymasa, prezesa Rady Ministrów gen. Wojciecha Jaruzelskiego i przewodniczącego NSZZ Solidarność Lecha Wałęsy w sprawie zażegnania narastającego kryzysu, ale, co ważniejsze, zakończyła się ona powodzeniem. Słowem, postąpiono w imię etyki odpowiedzialności za los Polaków i stan realnie istniejącego państwa, a nie jakichś rewolucyjnych, związkowych czy powstańczych fantazji. Brak współpracy ze strony któregoś z nich zniweczyłby starania pozostałych. Uniknięto strajku generalnego, w reakcji na to – proklamacji stanu wojennego, a gdyby wprowadzenie stanu nadzwyczajnego okazało się nieskuteczne, zapewne interwencji militarnej Związku Radzieckiego. Tak wyglądało zagrożenie dla Polski pod koniec marca 1981 r., choć byli tacy działacze czy politycy solidarnościowi, którzy nie chcieli tego przyjąć do wiadomości, względnie nie miało to dla nich znaczenia, w szczególności mam tu na myśli Jacka Kuronia czy Karola Modzelewskiego. Zresztą ich działania tak samo negatywnie oceniała trójka przywódców, którym udało się doprowadzić do tego, że Polska uniknęła katastrofy.

Czy jakąś rolę w zażegnaniu kryzysu bydgoskiego mógł odegrać Jan Paweł II?

– W „Pro memoria" pod datą 31 marca 1981 r. Wyszyński zapisał: „Strajk generalny »Solidarność« odwołała *sine termine*. Głosi się, że na decyzję miał wpływ Papież i... Prymas". Bardziej rozbudowaną wersję przebiegu tych wydarzeń sformułował Michał Atłas, kierownik Wydziału Administracyjnego KC PZPR, w rozmowie z jednym z przedstawicieli NRD w Polsce: „Papież dał do zrozumienia za pośrednictwem Ambasady Radzieckiej w Rzymie, że strajku generalnego nie będzie, jeśli państwa UW zrezygnują z interwencji w Polsce. W ciągu pół godziny Breżniew dał znać Papieżowi, iż nie dojdzie do interwencji, jeżeli strajk zostanie natychmiast odwołany. Papież poinformował o tym

Przedmiotem kontestacji prymasa było głównie forsowanie przez władze państwowego ateizmu, a nie socjalistyczny model społeczno-gospodarczy.

Spotkanie prymasa Stefana Wyszyńskiego z I sekretarzem KC PZPR Edwardem Gierkiem przed pierwszą pielgrzymką Jana Pawła II do Polski, 29 czerwca 1979 r.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE, NAC, WOJTEK ŁASKI/EAST NEWS

eprasa.pl 1bef8a9bc8

Prymasa Wyszyńskiego, który zażądał od Wałęsy wykonania polecenia Papieża. Wałęsa odwołał strajk bez porozumienia z prezydium »Solidarności«"*. Nie da się wykluczyć i takiej wersji wydarzeń, przy czym musiała być załatwiona sprawa NSZZ Rolników Indywidualnych Solidarność, co właśnie stało się 26 marca 1981 r. w trakcie rozmowy prymasa z premierem gen. Jaruzelskim. Nie wolno też pomijać roli Wałęsy, który już wcześniej, bo w trakcie posiedzenia KKP NSZZ Solidarność w Bydgoszczy w dniach 23-24 marca 1981 r., uratował Polskę przed ogłoszeniem natychmiastowego strajku generalnego.

Dla całej trójki przywódców w marcu 1981 r. interes Polski był najważniejszy.

– Absolutnie się z panem zgadzam. W trakcie tych wydarzeń zarówno Wałęsa, jak i gen. Jaruzelski złamali mandat otrzymany od kierowniczych gremiów czy to związkowych, czy partyjnych. Pierwszy nie mógł samodzielnie doprowadzić do odwołania strajku generalnego, drugi zaś nie miał prawa zgodzić się na powstanie chłopskiej Solidarności. Ale raz jeszcze powtórzę: dla obu interes Polski był ważniejszy niż stanowisko ich związkowych czy partyjnych mocodawców. Także Wyszyński przechodził do porządku dziennego nad emocjami strajkowymi, dominującymi wówczas w masach solidarnościowych, a przecież byli to w olbrzymiej większości przedstawiciele tak mu bliskiego katolickiego narodu.

Nie brakuje głosów, że prymas zmarł za wcześnie, bo gdyby żył, Polska nie zmierzałaby do stanu wojennego.

– Problem jest nierozstrzygalny. Można założyć, że pod koniec 1981 r. prymas Wyszyński w publicznym wystąpieniu zwróciłby się do władz NSZZ Solidarność o opamiętanie, a w szczególności do Wałęsy, żeby powstrzymał związkowych radykałów. Jaki to mogłoby odnieść skutek – nigdy się nie dowiemy. W każdym razie oczekiwalibyśmy od niego zachowania na wzór pamiętnej homilii z 26 sierpnia 1980 r., ale czy dwa razy wchodzi się do tej samej rzeki?

W marcu 1981 r. doszło do współpracy prymasa, premiera gen. Wojciecha Jaruzelskiego i przewodniczącego Solidarności Lecha Wałęsy w sprawie zażegnania narastającego kryzysu.

I wreszcie, na koniec, jak prymas Wyszyński oceniał polskie władze, przywódców, ich postępowanie?

– Może to zabrzmieć paradoksalnie, ale chyba najlepszą opinię miał na temat Bolesława Bieruta, widząc w nim głowę państwa polskiego, której bez względu na wszystko należy się szacunek. Niezbyt cenił Gomułkę, ale to przecież dzięki jego koncepcji polskiej drogi do socjalizmu, która w rzeczywistości okazała się polską drogą od socjalizmu, w ogóle możliwe było przeprowadzenie Wielkiej Nowenny Milenium Chrztu Polski. Poza tym temu I sekretarzowi KC PZPR Polska zawdzięcza traktat graniczny z RFN z 7 grudnia 1970 r., mimo że kilka miesięcy wcześniej RFN w umowie z ZSRR wyraźnie uznała zachodnią granicę Polski. Dla Gomułki to było mało – dla podkreślenia podmiotowości PRL chciał, aby RFN zrobiła to samo w odrębnym traktacie z Polską. Z przykrością stwierdzam, że jedynie z trudem Wyszyński był w stanie to docenić. Z Edwardem Gierkiem miał do czynienia dopiero pod koniec lat 70. Pozytywnie oceniał jego starania na rzecz modernizacji Polski, ale też dostrzegał, jak kruche były podstawy tych działań. O Stanisławie Kani sądził, że to jedynie sezonowy przywódca PZPR, i nie mylił się. I wreszcie przeciwko gen. Jaruzelskiemu nic osobiście nie miał, ale obawiał się, że wraz z jego awansem na stanowisko premiera dojdzie do militaryzacji polityki w PRL. Ta pewna niechęć do generalskiego munduru mogła wynikać z faktu, że prymas przed wojną związany był z chadecją, pozostającą w opozycji do rządzących piłsudczyków.

Dziś tych przywódców Polski stawia się pod pręgierzem, a gen. Jaruzelski stanął nawet przed sądem.

– Wspominałem już o spotkaniu prymasa z redaktorami „Tygodnika Powszechnego" w Krynicy jesienią 1952 r. Warto przypomnieć jeszcze jedną jego wypowiedź z tego spotkania: „Gdyby się miało tak zdarzyć, że przyjechałby gen. Anders na białym koniu, (to) obowiązkiem byłoby przeciwstawienie się wszelkim aktom zemsty i troska o ocalenie pozytywnego dorobku lat powojennych". Aż do śmierci kardynał nie zmienił stanowiska w tej sprawie, nie traktując liberalizmu gospodarczego jako alternatywy dla porządku społeczno-gospodarczego ustanowionego w Polsce po 1944/1945 r. Chociaż prymas był człowiekiem pamiętliwym, obca mu była jakakolwiek chęć zemsty. Toteż nie sądzę, by pochwalał to, co dziś w ramach polityki historycznej forsowanej nie tylko przez IPN robi się w stosunku do ludzi władzy PRL i ich dorobku.

Paweł Dybicz

* K. Grzybowska, M. Rybiński, „W obronie Polski czy w obronie komunizmu?", „Rzeczpospolita", 23 VI 1994.

eprasa.pl 1bef8a9bc8

Zlinczuj lekarza, nie zaszczep dziecka

W każdym roczniku niezaszczepionych jest ok. 5% dzieci. To groźne zjawisko kwitnie dzięki agresywnym ruchom antyszczepionkowym

Beata Igielska

Groźby zabicia członków rodziny, systematycznie uszkadzany samochód, podszywanie się pod pacjentów i pisanie na portalach lekarskich opinii „lekarz nieuk" – to sposób działania antyszczepionkowców, z którymi od trzech lat mierzy się młody pediatra z Tychów, Dawid Ciemięga. Postanowił walczyć z ich aktywnością w mediach społecznościowych, wraz ze znajomymi namierza i likwiduje ich strony, a te pączkują. Najpierw był tylko hejtowany, teraz mu grożą. Przed każdym wystąpieniem publicznym czy wykładem musi wynajmować ochronę. Antyszczepionkowcy na zamkniętych grupach facebookowych nawołują do linczu na lekarzach, chcieli pobić panią ordynator, szykowano dla niej szubienicę.

Kto ich opłaca?

– Szaleńców opętanych teoriami na temat 5G nazywamy w środowisku foliarzami, w pewnej części są to też ludzie chorzy psychicznie – mówi Ciemięga. I nie jest w tej opinii osamotniony. – Podejrzewam, że niektórzy specjaliści mogliby na ten temat wypowiedzieć się bardziej jednoznacznie – potwierdza prof. Andrzej Matyja, prezes Naczelnej Rady Lekarskiej.

Z perspektywy czasu Ciemięga nawet docenia starcia z Justyną Sochą, prezeską Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Wiedzy o Szczepieniach STOP NOP, czy guru antyszczepionkowców Jerzym Ziębą, nie przekraczali bowiem pewnych granic. Zięba przedstawia się jako „dyplomowany hipnoterapeuta kliniczny", przeciwnik szczepień, zwolennik alternatywnych metod leczenia, przekonujący, że witamina C leczy sepsę i nowotwory. Sprzedaje też drogie produkty, w tym „prawdziwą" witaminę C za 140 zł, gdy w aptece podobne opakowanie kosztuje niecałe 8 zł; wersja ekologiczna 20 zł. Kupić u niego można za parę tysięcy złotych urządzenia, które mają wykorzystywać tzw. pamięć wody i jej zdolność do przechowywania informacji. W ubiegłym roku policja zajęła magazyny firmy, a sam „lekarz" uciekł do USA.

– Skąd antyszczepionkowcy mają pieniądze na swoje działania, kto wynajmuje rzesze ludzi, żeby hejtować lekarzy? Czy tak trudno przeprowadzić śledztwo, wyłapać towarzystwo? Dlaczego w przypadkach głoszenia bzdur niezgodnych z nauką orzeka się znikomą szkodliwość społeczną czynu? – zastanawia się prof. Matyja.

– Działania Sochy i Zięby opierają się na manipulowaniu informacjami, ale nie posuwają się oni do skrajnego chamstwa i przemocy. Obecni antyszczepionkowcy posunęli się do gróźb zabójstwa i do czynnego nękania mojej rodziny – mówi Ciemięga. – Wygrałem z nimi kilka spraw, a wiele jest w toku. W sądzie nie są tacy odważni, muszą czasami dojechać na rozprawę 300 km, wynająć adwokata, a to boli finansowo.

Gdy znajomi lekarze pytają, jak pomóc, czy zaangażować się w tę walkę, Dawid Ciemięga odradza: – Wystarczy, że sam narażam siebie i rodzinę, nie chciałbym, aby inni musieli przez to przechodzić. A kiedy napisałem, że jeśli lekarz jest chory, nie zawsze może sobie pozwolić na L4, bo nie ma go kto zastąpić, były poseł Paweł Skutecki złożył na mnie donosy do prokuratury i na policję, że chodzę chory do pracy i narażam pacjentów. Zachęcał w internecie do składania masowych donosów na mnie.

Ciemięga zainspirowany filmem braci Sekielskich w kilka tygodni zebrał 100 tys. zł na film o szczepionkach. Justyna Socha i jej zwolennicy skrzykiwali się na FB i zgłaszali zbiórkę jako fałszywą. Robota nad filmem stoi, ale z powodu pandemii, a nie z braku pieniędzy czy zaangażowania.

„Głupia cipo, lepiej byś zrobiła, rozbierając się na wizji", „jaki koncern ciebie zasponsorował?", czytała po opublikowaniu na YouTubie filmiku

Dawid Ciemięga: antyszczepionkowcy posunęli się do gróźb zabójstwa i czynnego nękania mojej rodziny.

Niektórzy pochodzą ze środowisk żyjących z zasiłków społecznych i groźba konsekwencji finansowych za hejt jest dla nich dotkliwa. Ostatnio wylewali na mnie kubły pomyj, że narażam matkę wychowującą samotnie dwójkę dzieci na płacenie odszkodowania. A jak ta pani wyzywa mnie od zabójców w internecie, to jest OK? Innym razem Zięba złożył donos do prokuratury, izby lekarskiej i sanepidu, że jestem zagrożeniem dla pacjentów, bo mam kontakt z ptakami. Jestem również ekologiem i zajmuję się ornitologią oraz ochroną wielorybów. Policjanci śmiali się, ale musieli mnie wezwać na komendę. Przez ostatnie trzy lata różne działania przeciwko hejterom kosztowały mnie kilkanaście tysięcy złotych. Ale antyszczepionkowcy już wiedzą, że jestem skuteczny, zaczynają się bać pozwów.

na temat mitów, którymi najczęściej posługują się antyszczepionkowcy, Kasia Gandor, była modelka zajmująca się popularyzacją nauki. Justyna Socha zażądała sprostowania, że jej stowarzyszenie nie jest przeciwko szczepieniom, chciałoby natomiast, żeby były one nie obowiązkowe, lecz dobrowolne.

Przedstawiciele ruchu STOP NOP kandydowali w wyborach parlamentarnych z list komitetu Konfederacja Wolność i Niepodległość. Otrzymali 68 783 głosy, tj. 5,5% głosów Konfederacji. Sama Socha bez efektu ubiegała się o mandat posłanki, również z ramienia Konfederacji. Została asystentką społeczną Grzegorza Brauna. Janusz Korwin-Mikke z Konfederacji błysnął wypowiedzią: „Jeżeli państwo może nam dzieci szczepić, to jutro może nam dzieci zabić (…). Bydlę można zaszczepić bez pytania

FOT. PIOTR MOLĘCKI/EAST NEWS

eprasa.pl 1bef8a9bc8

go o zgodę, a człowieka nie. I dzieci należą do rodziców".

Guru bez prawa wykonywania zawodu lekarza

Lekarz Hubert Czerniak, kolejny guru antyszczepionkowców, który porównywał szczepionki do komór gazowych, został skazany przez Naczelny Sąd Lekarski na dwa lata zawieszenia prawa wykonywania zawodu. Naczelna Rada Lekarska nigdy nie zajęła tak zdecydowanego stanowiska.

– Najpierw Okręgowy Sąd Lekarski w Łodzi wymierzył Hubertowi Czerniakowi roczne zawieszenie prawa wykonywania zawodu. Ale tamtejszy rzecznik odpowiedzialności zawodowej złożył odwołanie, w którym dobrze wywiódł zastrzeżenia. Zakaz wykonywania zawodu został podtrzymany, a nawet przedłużony o rok – mówi Grzegorz Wrona, naczelny rzecznik odpowiedzialności zawodowej. – Dwóch obrońców Czerniaka już zapowiedziało kasację wyroku do Sądu Najwyższego. W tym czasie jednak nie będzie mógł wykonywać zawodu lekarza. Rozprawa toczyła się rekordowo długo, od godz. 13.30 do 20. Analizowaliśmy zarzut dotyczący konkretnego wystąpienia, w którym Czerniak mówił rzeczy niezgodne z wiedzą medyczną, co robi często w wykładach „Wiosna zdrowia". Tuż po rozprawie opublikował na YT obraźliwe wypowiedzi pod adresem samorządu lekarskiego. Obrona podnosiła wielokrotnie eksperckie przygotowanie Czerniaka. Otóż nie ma on ani tytułu naukowego, ani nie prowadzi działalności naukowej, nie ma też kilku specjalizacji. Posługuje się tytułem naturopaty. Jarosław Pinkas, były minister zdrowia, obecnie główny inspektor sanitarny, nazwał coś takiego szalbierstwem, a ja pod tym się podpisuję. Wyrok w tej sprawie jest ważny, bo dziś cały świat naukowy poszukuje szczepionki na koronawirusa.

Obrona Czerniaka powoływała się na artykuły Chrisa Exleya, brytyjskiego profesora chemii bionieorganicznej, który na Uniwersytecie Keele bada rolę metali w biologii i materiałoznawstwie. Nie jest on lekarzem, ale na badania mózgu osób z autyzmem zebrał od prywatnych darczyńców 22 tys. funtów, wsparła go również amerykańska organizacja Children's Medical Safety Research Institute, kwestionująca bezpieczeństwo szczepień. W 2017 r. Exley opublikował artykuł na temat glinu znalezionego w tkance mózgowej pięciu (!) autystycznych pacjentów. Władze uniwersytetu odcięły się od jego ustaleń.

Prof. Andrzej Matyja: – W takich sprawach jak Czerniaka ewidentnie nawalają polskie organy ścigania. Zgłosiłem do Prokuratury Rejonowej Warszawa-Mokotów, że człowiek od pogrzebów mówi, że branża umiera, bo ludzie z powodu pandemii przestali chodzić do lekarzy, a w związku z tym umierać. Pani prokurator odpowiedziała: „Zawiadamiający w ocenie prokuratora nie jest osobą nieporadną i posiada – jako prezes NRL – zaplecze, które umożliwia mu samodzielnie prowadzić sprawę. Wobec powyższego postanowiono odmówić wszczęcia dochodzenia w sprawie zniesławienia". Przez takie podejście od lat na lekarzy leje się hejt. Gdyby choć raz podjęto postępowanie wyjaśniające, już by się antyszczepionkowcy i tacy jak pan od pogrzebów przestraszyli. A tak ich wystąpienia podważają zaufanie do środowiska medycznego. Szczepionki to jeden z największych wynalazków medycznych. Czy nikt nie pamięta, jak w latach 60. na rogatkach Wrocławia milicja pilnowała granic miasta z powodu epidemii ospy prawdziwej? Przy wiejskich kapliczkach do dziś zachowały się cmentarze tych, którzy umarli na hiszpankę, tyfus, cholerę…

Prof. Andrzej Matyja: Szczepionki to jeden z największych wynalazków medycznych.

Pandemia mitów

Niebezpiecznymi przeciwnikami szczepień są celebryci. Edyta Górniak powiedziała ostatnio, że choćby miała umrzeć, nie zaszczepi na koronawirusa siebie ani syna. W „Pytaniu na śniadanie" błyszczy intelektem siedmiokrotny mistrz świata w windsurfingu Wojciech Brzozowski: „Lekarz leje wodę i pewnie mu za to płacą (…), albo kasjerki są superodporne, albo ktoś kogoś naciąga. Nie słuchajmy tego, co mówią państwo opłacani (...). W Los Angeles za dopisanie do diagnozy COVID-19 dostaje się 13 tys. dol.".

– Pani Górniak czy pan Brzozowski za swoje szkodliwe wypowiedzi powinni być ciągani po sądach, nie chodzi o ich ukaranie, lecz o dokuczenie. Są osobami publicznymi, powinni zdawać sobie sprawę z konsekwencji swoich słów – mówi prof. Matyja.

W klimacie absurdu dobrze się czują również antyszczepionkowcy.

Mit pierwszy: szczepionki powodują autyzm. Badania tego nie potwierdzają. Andrew Wakefield, który na łamach pisma „Lancet" z zespołem badaczy obwieścił te rewelacje w latach 90., brał pieniądze od osób, które chciały wytoczyć pozwy koncernom farmaceutycznym. Poza tym bezprawnie rekrutował dzieci do badań, robiąc im inwazyjną kolonoskopię bez zgód komisji etycznych, fałszował wyniki badań histopatologicznych. Został pozbawiony prawa do wykonywania zawodu, a „Lancet" unieważnił publikację. W 2014 r. przebadano 1,2 mln dzieci. Nie znaleziono związku między zaburzeniami ze spektrum autyzmu a szczepionkami, szczególnie cieszącą się złą sławą MMR zawierającą szczepy odry, świnki i różyczki.

Mit drugi: koncerny zarabiają na szczepionkach. To połowiczna prawda. Więcej mogłyby zarobić na lekach. W 2018 r. globalna wartość rynku szczepionek wyniosła 49 mld dol., cały przemysł farmaceutyczny zarobił 934 mld dol. Zysk ze sprzedaży szczepionek stanowi więc 5%. A gdybyśmy nie płacili za szczepienia, płacilibyśmy za leczenie chorób, którym zapobiegają.

Mit trzeci: NOP, niepożądane odczyny poszczepienne. 10% zaszczepionych na MMR rozwija odczyn w obrębie ukłucia, wstrząs anafilaktyczny powstaje od jednego do trzech razy na milion. Ponieważ jest większa świadomość rodziców, liczba NOP w Polsce wzrosła: w 2008 r. było 982, w 2015 – 2111.

Mit czwarty: szczepionki nie są odpowiednio badane. Nieprawda, przechodzą mnóstwo badań. Od momentu, gdy naukowiec wpadnie na pomysł szczepionki, do jej wypuszczenia na rynek mija średnio 20 lat. Najpierw są badania przedkliniczne na hodowanych komórkach, potem kliniczne, na ludziach, potem trwa proces rejestracji. Po wprowadzeniu

eprasa.pl 1bef8a9bc8

Protest antyszczepionkowców, Warszawa, 2 czerwca 2019 r.

preparatu na rynek są tzw. badania czwartej fazy, których celem jest wyłapanie niedoskonałości niemożliwych do stwierdzenia w laboratoriach.

Mit piąty: skoro sam jesteś zaszczepiony, dlaczego boisz się niezaszczepionych? Bo istnieje odporność populacyjna. Jeśli prawie wszyscy w społeczności są zaszczepieni, nie choruje także ten niezaszczepiony. Odporność populacyjna sprawdza się w przypadku osób, które z różnych względów nie mogą być zaszczepione, takich jak noworodki, osoby starsze czy po terapiach antynowotworowych.

Mit szósty: szczepienia wywołują alergie. Nieprawda. Dzieci, które przeszły krztusiec, wykazują większe ryzyko alergii niż te, które go nie przeszły.

Straszenie rodziców

Rodziców można też przerażać, wywieszając banery, że szczepienia wywołują cukrzycę, astmę i raka. Poskutkowało w województwie pomorskim – w grudniu 2017 r. było tam 2931 niezaszczepionych dzieci, a na koniec kwietnia ub.r. – 3997. Te liczby mogą być jednak większe, bo rodzice uzyskali zaświadczenia o przeciwwskazaniach do szczepień. Tymczasem lekarze alarmują, że oparte na kłamstwach twierdzenia i działania sprowadzą dawno zapomniane groźne choroby. Jeszcze kilka dekad temu zakaźnicy zmagali się z ospą prawdziwą, na którą śmiertelność sięgała 50%! Wyeliminowano ją dzięki szczepieniom. W latach 60. szalała choroba Heinego-Medina. Całe oddziały były wypełnione chorymi na błonicę czy polio, wielu nie udało się uratować. W latach 50. na odrę umierało w Polsce 500 dzieci. Niedawno przyszła do nas z Ukrainy, gdzie szczepień nie było. Coraz częściej u dzieci podejrzewany jest krztusiec.

Państwo polskie może co najwyżej wysłać wezwanie do szczepień, upomnienie oraz wnioski do wojewody o wszczęcie postępowania egzekucyjnego w celu przymuszenia rodziców do realizacji obowiązkowych szczepień. Nakłada on grzywnę 500 zł lub wyższą na każdego rodzica za każde nieszczepione dziecko oraz zobowiązuje do zapłaty 50 zł na pokrycie kosztów administracyjnych. Dla rodziców zdeterminowanych, by dzieci nie szczepić, takie kary są śmieszne. Ale np. do Stanów Zjednoczonych bez szczepienia MMR nie dostanie się wizy. Poza tym nie masz szczepień – nie studiujesz. W Polsce brakuje takich narzędzi.

Problemem w walce z prężnym ruchem są media społecznościowe, choć najwięksi gracze na rynku pod wpływem nacisków środowisk naukowych zaczynają blokować treści antyszczepionkowe. W Polsce jednak te ruchy nadal zarabiają na YT, na wyświetlanych reklamach. Wciąż wisi tam kopia filmu „Plaga 2. Choroby nakazane prawem". Opis: rtęć, mutacja, autyzm, depresja, schizofrenia, uszkodzenia mózgu, upośledzenie umysłowe, ADHD, nowotwory, żywe wirusy w szczepionkach. Odsłony idą w grube tysiące. Kanał Niezaleznatelewizja wyświetlił debatę „Choroby nakazane prawem" – obejrzano ją ponad 190 tys. razy. W USA natomiast YouTube kilkunastu największym kanałom antyszczepionkowym całkowicie wyłączył możliwość zarabiania. Pinterest ze swojej wyszukiwarki usunął hasło szczepionki. W języku angielskim. Po wpisaniu hasła po polsku możemy oglądać przerażające obrazki pokazujące rzekome skutki szczepień. Najciekawiej sprawa przedstawia się z Twitterem. Zdaniem badaczy przedstawiających swój dorobek w „American Journal of Public Health" najwięcej antyszczepionkowych kont było wcześniej powiązanych z rosyjską firmą Internet Research Agency, która usiłowała wpłynąć na wynik wyborów prezydenckich w USA.

Mimo wielu starań nigdzie na świecie nie udało się zatrzymać ruchów antyszczepionkowych.

Beata Igielska

Na zamkniętych grupach FB przeciwnicy szczepień nawołują do ataku na lekarzy, chcieli pobić panią ordynator.

eprasa.pl 1bef8a9bc8

Oszukani na e-zakupach

Zgubiony lub używany towar, lekceważenie klienta i opóźnianie zwrotu pieniędzy to realia handlu w sieci

Helena Leman

4 maja kupuję sandały w sklepie internetowym popularnej w Polsce firmy Regatta z odzieżą sportową i turystyczną. Płacę kartą. Dzień później otrzymuję mejlem potwierdzenie z numerem zamówienia, a dwa dni później fakturę. 6 maja dociera też do mnie informacja z firmy kurierskiej, że tego dnia dostarczona zostanie paczka i mam uzgodnić z kurierem jej odebranie. Jestem w podróży, wiadomość zauważam wieczorem. 7 maja dzwonię do kuriera, nic nie mówi, że przesyłkę gdzieś zostawił. Proszę więc, aby dał znać esemesem. Twierdzi, że nie może wysyłać wiadomości ani ich odbierać, bo ma zakaz zwierzchników. Jeszcze się nie denerwuję. Wiadomo, epidemia, wiele osób kupuje w sieci i kurierzy są przemęczeni – tłumaczę sobie. W piątek, 8 maja, gdy paczki wciąż nie ma, dzwonię znowu, udaje mi się uzgodnić odbiór, umawiamy się na godz. 16.30.

Kurier jednak nie przyjeżdża ani o tej godzinie, ani później, nie wysyła też wyjaśnienia. 11 maja, gdy znów do niego telefonuję, mówi, że mojej paczki nie ma i nie wie, kiedy będzie, może jutro – rzuca na odczepnego. Żadnego przepraszam. W następnych dniach już nie odbiera telefonów, nie odpowiada na wiadomości, nie mogę też się nagrać, skrzynka głosowa jest pełna. Postanawiam interweniować w sklepie internetowym.

Gra na zmęczenie klienta

Najpierw dzwonię na infolinię firmy, cieszę się, gdy słyszę komunikat, że moje połączenie jest pierwsze w kolejce. Niestety, nikt nie odbiera. Na stronie sklepu, w zakładce Obsługa Klienta, czytam, że zespół jest dostępny na czacie, mejlowo, przez formularz oraz na Facebooku. Obok dopisek na czerwono: „Dbając o naszych pracowników, linie telefoniczne są teraz niedostępne". Dziwne, w marcu i w kwietniu kupowałam rzeczy w innych sklepach internetowych, tam dodzwoniłam się od razu.

Wysyłam mejl i dwa formularze ze strony, z numerem zamówienia i informacją, że nie otrzymałam towaru. Gdy odpowiedzi nie dostaję, wchodzę na czat. Dołącza do mnie Natalia, pisze, że według śledzenia paczki została ona dostarczona 6 maja, a odbiór poświadczony jest moim nazwiskiem. Na próżno próbuję przekonać rozmówczynię, że przesyłki nie mam, a jej odbioru nie pokwitowałam. Nie wierzy. Przerywa czat i idzie się naradzić. Po powrocie serwuje mi formułkę jak z automatycznej sekretarki: „Jeśli nadal nie otrzymała pani paczki, prosimy o ponowny kontakt".

Jednak wobec mojego protestu w końcu obiecuje, że zbada sprawę w firmie kurierskiej i w ciągu 24 godzin przyśle mi odpowiedź mejlem.

Gdy odpowiedź nie nadchodzi, znowu wchodzę na czat. Tym razem czatuję z Weroniką, której znów od zera tłumaczę sprawę. Odpowiada standardowo: „W związku z dużą ilością zapytań oraz zamówień otrzymanie odpowiedzi od doradcy może potrwać do 48 godzin. Odpowiedź wyślemy pocztą elektroniczną. Bardzo prosimy o cierpliwość, będziemy w kontakcie aż do całkowitego wyjaśnienia sprawy". W firmie kurierskiej, gdzie też próbuję interweniować, słyszę tylko, że sprawa jest rozpatrywana. Gra na zmęczenie klienta trwa.

Skargi i błąd systemu

Na stronie z opiniami o sklepie na 15 zamieszczonych w tym roku ocen klientów osiem jest negatywnych.

22 kwietnia pisze Mariusz: „Zamówiłem trzy rzeczy. Co do dwóch wszystko jest OK. Jednak zamówiona kurtka była noszona, ma plamy, zabrudzenia przy rękawach, nie ma metek. Na dodatek śmierdzi tanimi perfumami. Wszystko wskazuje na to, że ktoś w niej chodził. Infolinia to oczywiście fikcja. Jestem rozczarowany".

„Zamówiłam kurtkę puchową prezentowaną na stronie jako 90% puch, 10% pierze – pisze 24 kwietnia Angela. – Po dostawie na etykiecie znalazłam opis, że kurtka zawiera 80% puchu. Reklamacja została uwzględniona z obietnicą naniesienia zmian na stronie. Mimo to produkt nadal jest prezentowany tam jako 90/10. Nie polecam sklepu za wprowadzanie kupujących w błąd".

> Sklep sprzedaje towar, którego nie posiada. Potem zero kontaktu. Zero informacji i zero przepraszam.

eprasa.pl 1bef8a9bc8

Innej klientce anulowano opłacone zamówienie, ale pieniędzy od razu nie zwrócono. Dodzwonić się nie mogła, a informacja mejlowa była po angielsku. Sklep w komentarzu pod postem tłumaczy, że nastąpił błąd systemu. Ofiarą takiego błędu padły też Grażyna i Renata, które otrzymały tylko część opłaconego towaru. Pieniądze im zwrócono, ale z poślizgiem.

„Sklep sprzedaje towar, którego nie posiada. Potem zero kontaktu. Zero informacji z jego strony o zaistniałej sytuacji i zero przepraszam", dodaje na stronie Angie, też ofiara błędu systemu.

„Zostałem oszukany przez tę firmę – pisze Jarek. – Parę razy próbowałem kupić ich produkt. Za każdym razem zamówienie było anulowane, a pieniądze, owszem, wracały, ale dopiero po kilku dniach. Jestem przekonany, że to działanie mające na celu obracanie nie swoimi środkami. Nikt nawet nie zadzwonił z przeprosinami. Najwyraźniej to stała praktyka tej firmy". Firma w komentarzu pod jego postem zapewnia, że nie prowadzi takich praktyk, a „zaistniała sytuacja miała miejsce w wyniku błędu systemu". Prosi też o kontakt, „żeby zrekompensować wynikłe niedogodności".

Piętnowanie e-oszustów

Nieuczciwe i fałszywe sklepy internetowe piętnuje od 2017 r. portal Legalniewsieci.pl założony przez Gabriela Gatnera, prawnika z Katowic specjalizującego się w prawie e-commerce. W jego tekście na stronie czytam, że każdego dnia przybywa od kilku do kilkunastu podejrzanych sklepów. W celu szybkiej wymiany informacji założyciele strony uruchomili na Facebooku grupę „Oszukani przez fałszywe e-sklepy", do której każdego tygodnia dołącza ok. 300 nowych członków. Grupa tropi nieuczciwe sklepy i wspiera się w dochodzeniu swoich praw przed organami sprawiedliwości. „Czy ktoś miał do czynienia ze sklepem Koctronic? – pyta na grupie internautka. – Zamówiłam towar i cisza… Niby dali mi numer śledzenia u siebie, ale wybija mi. Nie odbierają, a e-mail wraca z informacją, że taka strona nie istnieje. Jestem osobą niepełnosprawną i nie wiem, co robić". Anna szuka innych osób nabranych przez Koctronic, prosi o posty, które zamierza dołączyć do dowodów na policji. Łukasz apeluje do wszystkich oszukanych przez gatezio.com, by przesłali dokumenty w celu stworzenia dokumentacji grupowej i rozesłania jej na posterunki, na których zgłoszono sprawę indywidualnie.

W oszustwach internetowych chodzi nie tylko o to, aby wyłudzić pieniądze za produkt, ale również o wykradzenie danych klientów.

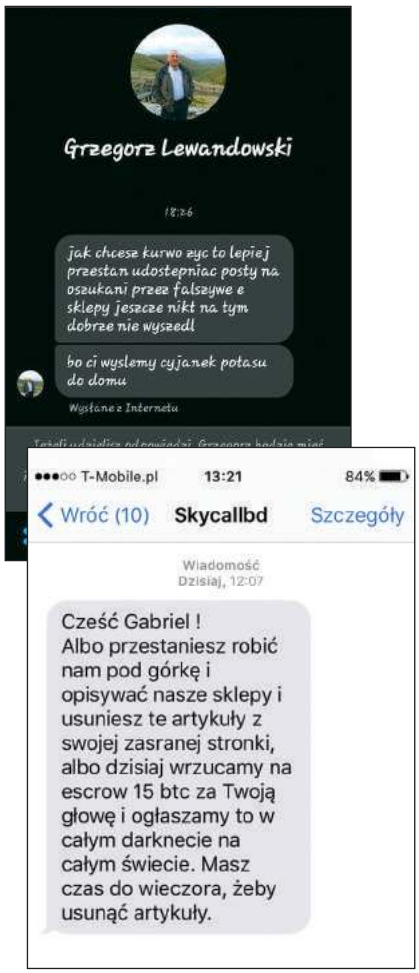

„Skimming to przestępstwo polegające na skopiowaniu karty płatniczej. Ponad 1,2 tys. sklepów jest zainfekowanych złośliwym oprogramowaniem wykradającym dane. Wśród tej grupy są też polskie strony. Oszustwo jest realizowane poprzez wykorzystanie sklepu bez jego wiedzy", czytam w artykule z 12 maja na Legalniewsieci.pl. Portal zamieszcza także komunikat CERT Polska z 21 maja o kolejnej kampanii phishingowej, nakłaniającej do otwarcia złośliwego pliku z fałszywą zaległą fakturą. – W tym przypadku może dojść nawet do kradzieży danych do logowania do bankowości elektronicznej – ostrzega Gabriel Gatner. – Wśród wszystkich dostępnych opcji zapłaty za towar najbezpieczniejszą formą jest właśnie płatność kartą płatniczą (kredytową) – dodaje. Karta ma *chargeback*, czyli obciążenie zwrotne. Jego celem jest ochrona konsumenta. Jeśli klient uważa, że zakupione towary lub usługi były niezgodne z umową, lub dostrzeże na wyciągu z karty transakcje, których nie rozpoznaje, może zażądać zwrotu środków w postaci chargebacku.

Dorota pisze na grupie, że została oszukana przez RoomDeco, złożyła reklamację dotyczącą transakcji w banku i pieniądze odzyskała.

Gabriel Gatner na przykładzie sklepu dansports.eu pokazuje, na co trzeba zwrócić uwagę przy zakupach w sieci: – Po pierwsze, na podejrzanie niskie ceny towarów oferowanych przez sklep. Po drugie, na sposób płatności – sklep udostępnia tylko jeden, płatność na konto bankowe w formie przedpłaty. Obecnie sklepy internetowe starają się wprowadzać więcej możliwości. Po trzecie, należy zwrócić uwagę na „kontakt", zawsze gdy są wątpliwości co do legalności sklepu, należy się z nim skontaktować. W tym przypadku po wybraniu numeru podanego na stronie jest tylko sygnał, a po analizie adresu mejlowego pojawia się informacja, że adres jest zły. Po czwarte, sprawdzić KRS – jak wynika z Krajowego Rejestru Sądowego, 6 maja 2020 r. doszło do zmian w zarządzie tej spółki. Połączenie powyższych cech z tą informacją daje podstawy do podważania wiarygodności sprzedawcy.

Groźby, groźby

Od pewnego czasu pojawiały się na grupie informacje o fałszywych sklepach „kalkach" umieszczonych na serwerach na Litwie, takich jak baloset.com, shopine4.com, porvitto.com, gatezio.com, malneo44.com. 21 maja osoba informująca o tego rodzaju fałszywkach, która wcześniej sama padła ofiarą fikcyjnego sklepu, otrzymała wiadomość na Facebooku: „Jak chcesz k… żyć, to lepiej przestań udostępniać posty na oszukani przez fałszywe e-sklepy, jeszcze nikt na tym

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 1bef8a9bc8

dobrze nie wyszedł, bo ci wyślemy cyjanek potasu do domu". Do postu dołączono zdjęcie, które, jak twierdzi Gabriel Gatner, zhakowano.

Założyciel portalu obawia się więc o bezpieczeństwo członków grupy, współpracowników i własne, bo to już druga taka groźba. – Pierwsza pojawiła się 12 grudnia 2017 r., gdy ruszył nasz portal – opowiada. – Pogróżkę wysłano do mnie z bramki esemesowej. Grożono mi, że jak nie usunę artykułów ze strony, to zostanie ogłoszona cena za moją głowę „w całym darknecie". Zgłosiłem sprawę na policji, lecz ta umorzyła postępowanie z uwagi na niewykrycie sprawcy przestępstwa. Teraz sytuacja się powtarza. Zawiadomiliśmy właściwe służby i czekamy.

Według Gabriela Gatnera liczba fałszywych sklepów od roku utrzymuje się na stałym poziomie. – Miesięcznie ostrzegamy o średnio 20-30 fałszywych sklepach internetowych. Natomiast na naszej liście jest też ponad 700 podejrzanych stron – część jest aktywna, a część już przestała działać. Problem z fałszywym sklepem jest taki, że liczy się czas reakcji – tylko szybka informacja pozwala uniknąć straty pieniędzy. Policja czy prokuratura mogą działać jedynie po fakcie, kiedy zgłaszają się do nich oszukane osoby. Co prawda, Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów od 17 stycznia 2020 r. dysponuje instrumentem prawnym w postaci rozporządzenia Parlamentu Europejskiego i Rady UE, które umożliwia blokadę strony internetowej, jeżeli istnieje ryzyko wyrządzenia szkód, naruszenia interesów konsumenta, jednak do dziś nie byłem świadkiem sytuacji, w której wykorzystałby swoje uprawnienia.

UOKiK na moje pytania o rozmiary tego procederu i skargi konsumentów na nierzetelne e-sklepy nie odpowiedział.

Miesięcznie pojawia się 20-30 fałszywych sklepów internetowych.

Mniej postępowań przez epidemię

Rzecznik prasowy Komendanta Głównego Policji, insp. Mariusz Ciarka, w odpowiedzi z 25 maja informuje, że od 1 lutego do 30 kwietnia 2020 r. wszczęto 42 158 postępowań za czyny z Kodeksu karnego z art. 286 (oszustwo) i 287 (wykorzystywanie danych informatycznych). Rok wcześniej takich postępowań wszczęto 45 272.

Widać więc spadek liczby wszczętych postępowań w czasie epidemii, jak podkreśla rzecznik, choć oczywiście problem nie zniknął. Przestępcy nieustannie modyfikują znane już metody oszustw i wymyślają nowe, coraz częściej podają się za policjantów prowadzących działania operacyjne. Rzecznik ostrzega też przed oszustami, którzy podszywając się pod osobę, której skradli tożsamość na koncie na portalu społecznościowym, proszą jej znajomych o podanie kodu Blik do płatności przez telefon. Oszuści tłumaczą, że właśnie stoją przy kasie w markecie, a ich karta straciła ważność.

11 i 12 maja kwidzyńska policja odebrała zgłoszenia od czterech osób oszukanych na Blika, łącznie straciły one 6 tys. zł. 25 maja gdańska policja zatrzymała młodego mężczyznę ze Szczecina, który wyłudzał w ten sposób pieniądze. Pod koniec kwietnia policja w Kartuzach zarejestrowała trzy przypadki oszustw. Pieniądze stracił mężczyzna, który kupił buty za 900 zł i towaru nie otrzymał, oraz kobieta, która nabyła telefon za 700 zł w sklepie internetowym. Zamówiony sprzęt do niej nie dotarł, a sklep zniknął z sieci. W przypadku trzeciej osoby doszło do wyłudzenia danych z karty płatniczej, straciła 300 zł.

W dobie popularności e-zakupów takie inicjatywy jak portal Legalniewsieci.pl z jego grupą na FB są na wagę złota, wychwytują sprawy na bieżąco, reagują szybko, edukują, wspierają, a piętnując nieuczciwe zachowania, cywilizują stosunki w sieciowym handlu.

Z e-zakupów rezygnować nie zamierzam, ale będę wybierać sklepy staranniej. Paczkę z butami po kilkunastu dniach od zakupu odnieśli mi ludzie, którzy znaleźli ją pod swoimi drzwiami. Na przesyłce źle zapisano adres, choć na fakturze był poprawny. Obiecanego wyjaśnienia ani od sklepu, ani od firmy kurierskiej do dziś nie otrzymałam.

Helena Leman

Marek Książek

W związku z epidemią koronawirusa w leśnictwie Uścianek koło Jedwabna wstrzymano wycinkę. Nie powinno więc tam być żywego ducha, nawet spacerowicza, bo wchodzenie do lasów było zakazane. I nagle w sobotę, 18 kwietnia, znaleziono przygniecione drzewem ciało Włodzimierza K. z małej wsi w gminie Wielbark, położonej kilkanaście kilometrów od miejsca zdarzenia. Jak mogło do tego dojść?

Według lokalnego tygodnika „Kurek Mazurski" 66-letni mieszkaniec tego przysiółka wybrał się rano do lasu, aby „pozyskać drewno na własne potrzeby". Minęło południe, a on nie wrócił na obiad, więc rodzina rozpoczęła poszukiwania. Włodzimierza K. znalazł szwagier. Na miejsce wypadku przyjechały straż pożarna, policja i zespół ratownictwa medycznego, mężczyzna jednak nie dawał oznak życia. Z ustaleń Prokuratury Rejonowej w Szczytnie wynikało, że był to nieszczęśliwy wypadek i że 66-latek działał we własnym zakresie, nie będąc pracownikiem ani nadleśnictwa Jedwabno, ani żadnego zakładu usług leśnych.

Dlaczego to ważne? Bo wcześniej Włodzimierz K. pracował tu przy wycince drzew razem z innymi robotnikami Zakładu Usług Leśnych Beata Skłodowska, Dariusz Kaczyński z pobliskiego Szczytna.

– Nie mam pojęcia, co on tam robił – mówi Zbigniew Roman, leśniczy z Uścianka. Potwierdza, że z powodu pandemii wszystkie roboty leśne zostały wstrzymane i w tym miejscu nie powinno być nikogo.

Sprawy nie wyjaśnił też prokurator Artur Bekulard ze Szczytna: „W toku postępowania nie ustalono, dlaczego zmarły dokonywał wycinki", napisał w odpowiedzi na nasze pytanie. Stwierdził tylko, że Włodzimierz K. był w przeszłości pracownikiem ZUL Szczytno, lecz wykonywał prace jako robotnik leśny, nie pilarz. Prokuratora nie zastanowiło, dlaczego K. miałby jechać kilkanaście kilometrów do sąsiedniej gminy, aby „pozyskać drewno na własne potrzeby". Bliżej przecież miał do lasów w okolicy Wielbarka, gdzie mieszkał.

Nowe światło na ten wypadek rzuciła córka zmarłego, która wyjaśniła,

eprasa.pl 1bef8a9bc8

Tajemniczy wypadek w lesie

Kolejny śmiertelny wypadek byłego pracownika Zakładu Usług Leśnych Szczytno

Praca pilarza jest bardzo odpowiedzialna i niebezpieczna. Wykonujący ją pracownicy powinni być bardzo dobrze przeszkoleni.

że był on bardzo sumiennym człowiekiem i pracownikiem, więc pojechał na zręb w leśnictwie Uścianek, aby usunąć pięć drzew pozostałych po przerwanej wycince. Gdy to robił, korona jednego ze świerków oparła się o drugi i żeby drzewo uwolnić, musiał je podpiłować – wtedy pień upadł na niego i śmiertelnie go ranił. Gdyby przyjąć tę wersję, zrozumiałe byłoby poszukiwanie 66-latka przez jego szwagra w tym właśnie miejscu. Bo inaczej skąd by wiedział, gdzie go szukać?

Ale taką teorię zdecydowanie odrzuca Dariusz Kaczyński, współwłaściciel ZUL Szczytno: „Wersja o przyjściu zmarłego w celu rzekomego zakończenia wycinki (wycięcia pięciu pozostałych drzew) jest w naszej ocenie nieprawdopodobna. Wycinkę w Leśnictwie Uścianek prowadziliśmy do 26 marca 2020 r. Została ona wstrzymana w związku z epidemią koronawirusa. Od 10 kwietnia 2020 r. obowiązywał zakaz wstępu do lasu. Do wypadku doszło po ośmiu dniach od wprowadzenia zakazu, a 24 dni po zakończeniu prowadzonej wcześniej wycinki. Trudno więc uznać, że obecność Włodzimierza K. (tu pełne nazwisko – przyp. aut.) w czasie i miejscu wypadku była związana z zakończeniem przerwanej wycinki".

Z odpowiedzi Kaczyńskiego dowiadujemy się jeszcze, że 66-latek formalnie nie był pracownikiem ZUL Szczytno, ale już emerytem, który doraźnie, na umowę-zlecenie, wykonywał na rzecz spółki różne prace leśne, w tym jako pilarz oraz przy sadzeniu drzew i pielęgnacji lasu.

Prokurator nie potrafi ustalić, co w lesie koło Jedwabna na Mazurach robił przygnieciony drzewem mężczyzna.

Po wstrzymaniu robót w leśnictwie z powodu pandemii umowy z nim nie przedłużono.

Właściciele ZUL ze Szczytna bronią się przed łączeniem tego zdarzenia z ich spółką m.in. dlatego, że nieco ponad trzy lata temu w podobnym wypadku zginął inny ich były pracownik, Edward Nadolny. Jak pisaliśmy w artykule „Śmierć bez odszkodowania" (PRZEGLĄD nr 25/2019), 56-letni pilarz pracował w ZUL Szczytno na pełnym etacie do sierpnia 2016 r. A że podobno nie mógł pogodzić pracy w lesie z prowadzeniem gospodarstwa rolnego oraz opieką nad chorą matką i niepełnosprawnymi synami, zarząd spółki zaproponował mu zarejestrowanie samodzielnej działalności gospodarczej. Nadolny założył więc jednoosobową spółkę, ale miał ubezpieczenie tylko w KRUS – i to od wypadku na roli, nie w lesie. Dlatego rodzina po jego śmierci nie dostała odszkodowania. Sprawą zajął się *pro bono* mecenas Lech Obara, uznając, że Nadolnego należy traktować jako pełnoprawnego pracownika. Czyli takiego, który powinien być przeszkolony w firmie i ubezpieczony tak samo jak każdy pracownik etatowy. A w razie wypadku ZUL, który wynajmował go do robót leśnych, powinien ponosić odpowiedzialność za doznane przez niego szkody.

Tymczasem wszystkie instytucje umyły ręce. Prokurator z Ostrołęki umorzył postępowanie, uznając zdarzenie z 10 lutego 2017 r. za nieszczęśliwy wypadek, do którego nikt się nie przyczynił. Mecenas Obara nie zgodził się z taką oceną i próbował doprowadzić do wznowienia dochodzenia. Przedstawił nawet ekspertyzę biegłego z zakresu BHP, który wskazał liczne braki w przygotowaniu pilarza do tak odpowiedzialnego i ryzykownego zajęcia jak ścinanie drzew. Gdyby wina pracodawcy została stwierdzona, ZUL płaciłby odszkodowanie.

Ale mimo pośrednictwa posłanki Iwony Arent z PiS prokurator generalny Zbigniew Ziobro nie zlecił wznowienia postępowania.

– To niezrozumiałe – komentuje Lech Obara. – Wykryte przez biegłego nieprawidłowości potwierdził nawet główny inspektor pracy. Dlatego jeszcze nie złożyliśmy broni.

Teraz zginął tragicznie kolejny były pracownik ZUL Szczytno. Jeśli to nie fatum, może przyczyn tych wypadków trzeba poszukać w szkoleniu i organizacji tamtejszych wyrębów? ■

FOT. PRZEMYSŁAW ZIEMACKI/EAST NEWS

eprasa.pl 1bef8a9bc8

Magiczna moc Orbána

Węgierski premier nie jest już w Europie tak odosobniony w poglądach jak na początku epoki swojej samodzielnej władzy

Bogdan Góralczyk

Jak wiadomo, premier Viktor Orbán nadchodzącym uchodźcom i migrantom, którzy w 2015 r. trafili także na Węgry (i przez kilka tygodni koczowali na budapesztańskim dworcu Keleti) postawił tamę, czyli ustawił zasieki i mury na granicach, stając tym samym w jaskrawej opozycji do Willkommen Politik, czyli polityki przyjmowania uchodźców zaproponowanej przez kanclerz Angelę Merkel.

Podejście to wyraźnie mu się opłaciło, tak na scenie wewnętrznej (o czym świadczą wyniki ostatnich wyborów parlamentarnych z 2018 r.), jak również europejskiej, gdzie zyskał, po prawej stronie politycznej palety, wielu ideowych i politycznych zwolenników. Węgierski premier nie jest już w wyznawanych poglądach w Europie i na brukselskich salonach tak odosobniony, jak był na początku epoki swojej samodzielnej władzy, gdy sam zaczął forsować swoje nieliberalne w duchu hasła i programy.

Gdy potęgi dyktują

Polityczny rezultat takiego podejścia i prowadzonej polityki okazał się na tyle efektywny, że rządzący niepodzielnie od 2010 roku Fidesz przeprowadził kampanię do wyborów parlamentarnych w 2018 r. w oparciu o zaledwie dwa hasła i założenia programowe: wskazywał tylko na rzekome niebezpieczeństwo związane z migracją oraz jakoby wspierający ją „plan Sorosa", którego założeń nikt do końca nie zdefiniował. To wystarczyło, by zdecydowanie wygrać.

Problem w tym, że taka polityka dzieli, jest oparta na walce, sporze, kontrowersjach i polaryzacji. W tym sensie sprzyja innym wielkim na obecnej scenie, jak USA, Chiny, Rosja, a nawet Turcja czy Indie, podważa natomiast spoistość projektu europejskiego i integracji, już i tak mocno nadwerężonej brexitem i innymi bolączkami od lat już odczuwanymi w ramach procesu integracji europejskiej. To jednak tematyka prowadząca nas dalej, na europejskie salony. My skupmy się na Węgrzech.

A na ich terenie jedna z ważnych lekcji płynących z traktatu Trianon (4 czerwca 1920 r.) brzmi: małe i średnie państwa, bez potencjału równowagi z mocarstwami, muszą być elastyczne i stale zważać na konfigurację sił pomiędzy największymi potęgami, które po każdym wielkim konflikcie czy zawirowaniu będą dyktować nowy porządek. Warto zawczasu przewidzieć, kto przy okazji kolejnego historycznego zwrotu będzie lub może być zwycięzcą. Rumunia dwukrotnie w początkowej fazie wielkich wojen znajdowała się po stronie państw centralnych, a jednak w obu przypadkach zmieniła front (w pierwszym dość szybko, w drugim niemal w ostatniej chwili, wcześniej jednak, w czerwcu 1940 r. udostępniając ZSRR bez oporu Besarabię, co też nie było bez znaczenia) – i wygrała.

System Orbána polega na prostym podziale na społeczeństwo i elity.

Węgrzy dwukrotnie trzymali się zawartych wcześniej sojuszy i ich ustaleń – i dwukrotnie sromotnie przegrali. Nie znaczy to wcale, że sojuszniczych umów dotrzymywać nie należy, bo na pewno jest to wskazane i pozytywnie wpływające na wizerunek państwa i jego dyplomacji. Tyle że mniejsi i słabsi, ci o niższym potencjale, powinni rekompensować te swoje naturalne niedomogi i słabości właśnie większą wyobraźnią, elastycznością i dalekowzrocznością. Albowiem bez nich łatwiej mogą być skazani na pożarcie przez wielkich i ich interesy.

Oczywiście, zarówno rozbiory Polski jak potem Trianon czy Jałta dowodzą, że – mówiąc potocznie – na układy nie ma rady, że są sytuacje, gdy dyktatowi wielkich nie można się już przeciwstawić, bo nowy układ sił tak to dyktuje. To oczywiście jest prawda. Dlatego jedynym skutecznym sposobem prowadzenia polityki ze strony państw małych i średnich jest, jak się wydaje, porządek w domu i zręczność w dyplomacji. Tylko one – i to mocno spojone razem – dają jakąś gwarancję, iż do powtórki dyktatu ze strony wielkich i mocarnych nie dojdzie.

Tym ostatnim trzeba jednak stale się uważnie przyglądać, ważyć ich intencje, racje i interesy oraz – w oparciu o własne, dobre rozeznanie oraz też interesy – zawczasu reagować i dopasowywać się do bezustannie zmieniającego się układu sił między mocarstwami (co jest szczególnie aktualne ostatnio, w kontekście fenomenu Trumpa na Zachodzie oraz wschodzących rynków w skali globu).

Gdy dyktuje Orbán

Czy Viktor Orbán, polityk niewątpliwie charyzmatyczny i skuteczny, spełnia te warunki? Jak w przypadku każdej wyrazistej osobowości i równie wyrazistej polityki, zdania na jego temat są mocno podzielone. Niektórzy, nie tylko na Węgrzech, widzą w nim dalekowzrocznego męża stanu. W Polsce ma nawet swoich

eprasa.pl 1bef8a9bc8

rzeczników, z biografem, a raczej hagiografem Igorem Janke na czele. Ma też u nas swoich zagorzałych fanów, skupionych wokół środowiska „Gazety Polskiej", którzy przez lata na Węgry jeździli i tam Orbána wspierali, chociaż o Węgrzech niemal nic nie wiedzieli i poza samym Orbánem nie byli w stanie wymienić innego nazwiska, nawet regenta Miklósa Horthyego (rządził w latach 1920-1944) czy Jánosa Kádára (1956-1988). Fani to mają do siebie, że bezgranicznie i bezkrytycznie kochają, częściej zresztą wyidealizowany obraz niż polityka z krwi i kości, z jego wadami i przywarami. Przypadek odbioru Viktora Orbána w polskim dyskursie politycznym i medialnym w pełni to potwierdza.

Jednakże inni, głównie liberałowie czy socjaliści, w kraju i za granicą, postrzegają tego polityka zupełnie inaczej. Widzą w nim przede wszystkim zręcznego populistę i demagoga, a przy tym taktycznego lawiranta, z zimną kalkulacją wykorzystującego do swych celów społeczne lęki i fobie (przykłady to migranci czy kosmopolityczny George Soros), bardzo chętnie przy tym grającego na nacjonalistycznych nutach. Jedna z tych melodii – jakże mocno brzmiąca w węgierskich uszach, a jakże niepokojąco u ich sąsiadów – to oczywiście Trianon, dla Węgrów trauma, dla innych powód do troski lub niepokoju.

Patrząc nieco głębiej i wychodząc poza codzienny medialny szum oraz zwykłe etykietowanie w tę czy inną stronę, można dojść do istotnego wniosku: Viktor Orbán jako jakże skuteczny jak dotąd polityk (czy mąż stanu, to może ocenić dopiero historia) posiada jedną, zasadniczą przywarę czy skazę – równie mocno jak władzę, co dla polityka nie jest naganne, kocha pieniądze, co już naganne jest. Można prowadzić nawet zręczną politykę na zewnątrz, mniej lub bardziej udanie układać się z silnymi (Putin, Xi Jinping, Erdoğan czy Nazarbajew, a nawet Trump). Od wewnątrz natomiast można kraj skorumpować i podważyć w nim wiarę w uczciwe reguły gry, w tym zasady państwa prawa, w wymiar sprawiedliwości i szacunek dla instytucji.

Tak się dzieje w przypadku Węgier po 2010 r., gdy wszystko podporządkowuje się wszechmocnej egzekutywie (i osobiście Orbánowi), podważając tym samym system równowagi i kontroli władz. System Orbána nadmiernie centralizuje i monopolizuje – władzę, kapitały i wpływy – w jednych rękach. Reakcja na kryzys koronawirusa w 2020 r. i dalsza koncentracja władzy oraz możliwość rządzenia dekretami była w tym sensie zarówno zrozumiała, jak wynikająca z dotychczasowej logiki sprawowania władzy, czyli bezustannej kumulacji oraz koncentracji władzy (i pieniądza)

Tymczasem, owszem, światli autokraci też się w historii zdarzali, jednakże warto w tym kontekście przypomnieć słowa naszego wybitnego znawcy myśli politycznej, Jana Baszkiewicza: „Władza charyzmatyczna musi nieustannie potwierdzać swą moc nowymi triumfami. Gdy zaczyna się pasmo klęsk – system traci swą magiczną siłę".

Gdy dyktuje wiara w magiczną moc

W chwili, gdy pisane są te słowa, System Orbána, jak go od dawna definiuję, ciągle jeszcze święci triumfy. Na czym polega? Jaka jest jego istota? Co go wyróżnia? Sam Orbán na samym początku swoich niepodzielnych po 2010 r. rządów nazwał nowy porządek Systemem Narodowej Współpracy (Nemzeti Együttmüködés Rendszer), co w zestawieniu z głęboką polaryzacją polityczną i społeczną w kraju było określeniem wyjętym prosto ze słownika George'a Orwella.

Potem, było to w lipcu 2014, przed seklerską młodzieżą (czyli węgierskimi góralami na terenie Rumunii) w Tusnádfürdö (Băle Tuşnad), Viktor Orbán osobiście zdefiniował swoje rządy jako „nieliberalną demokrację", czyli gruntowne, ideowe i aksjologiczne przeciwstawienie się liberalnym zasadom i tzw. wartościom kopenhaskim narzuconym nowym członkom w UE, mówiącym o liberalnej demokracji i wolnym rynku oraz zasadom państwa prawa i wolności obywatelskich i mediów. Wtedy mówca nie powiedział tego wprost, ale praktyka pokazuje, że istotą i sednem jego Systemu jest daleko idąca centralizacja i monopolizacja władzy w jednych rękach – egzekutywy i samego premiera.

Niektórzy porównują te rządy do czasów długoletniego (1920-1931) premiera Istvána Bethlena. Jest w tym ziarno prawdy w tym sensie, że od 2010 r. mamy na Węgrzech jedną rządzącą partię i grono małych, rozproszonych partii opozycyjnych, niestanowiących – jak za Bethlena – dla obozu rządzącego większej alternatywy ideowej, programowej czy osobowej. Rzeczywiście, po 2010 r. w parlamencie i w państwie wrócił model forsowany niegdyś przez premiera Istvána Bethlena. Viktor Orbán powrócił do tej koncepcji tuż przed przejęciem niepodzielnych rządów w państwie w głośnym przemówieniu z 5 września 2009 r. w miejscowości Kötcsei nad Balatonem, mówiąc, że zamierza wprowadzić do systemu rządzenia „centralną siłę" (*centrális erőtér*), która administrowałaby w pełni państwem oraz nadawała mu oblicze i strategię. Naturalnie tą siłą ma być Partia Obywatelska, czyli Fidesz.

Podobieństw jest wiele, ale są one nieco naciągane. Albowiem, jak to ładnie zdefiniował znakomity analityk węgierskiej sceny politycznej Péter Tölgyessy, Fidesz to taka partia, gdzie jeden mówi, a reszta stoi i klaszcze. Porównanie z Bethlenem nie jest trafione również w tym sensie, że tamten premier miał jednak nad sobą regenta o silnych konstytucyjnych prerogatywach, a Viktor Orbán nie ma nad sobą nikogo, głowa państwa też jest nikim innym, jak jego pomazańcem, co jakże dobitnie pokazał przypadek byłego sportowca, szablisty i olimpijczyka Pála Schmitta, odsuniętego ze stanowiska z racji udowodnionego plagiatu.

Jeśli się wnikliwie przyjrzeć, to w wymiarze funkcjonalnym System Orbána polega na prostym podziale na społeczeństwo i elity. System jest demokratyczny, bo stawia na powszechne wybory, a w nich – jak wiadomo – decyduje kartka wyborcza, czyli lud. Natomiast elity, z samej definicji wąskie, jak już wiemy, można według interpretacji i kalkulacji

Viktor Orbán ma zasadniczą skazę – równie mocno jak władzę, co dla polityka nie jest naganne, kocha pieniądze, co już naganne jest.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 1bef8a9bc8

węgierskiego premiera albo kupić, albo przestraszyć, albo zignorować.

Tym, którzy trzymają z partią i władzą, daje się stanowiska, etaty, talony, apanaże, nagrody i wsparcie, natomiast tym, którzy są przeciw władzy, grozi się utratą posady lub przywilejów albo skazuje na samotność i samodzielny byt – bez państwowego wsparcia, miejsca na reklamy, wygrywania przetargów, możliwości kariery itp. To są ramy, wewnątrz których każdy sam wybiera swój los. Trzykrotne już wyraźne zwycięstwo Orbána dowodzi, iż na ogół wiadomo, jak Węgrzy wybrali.

Jak trwała jest więc ta „nieliberalna demokracja"? Głęboka polaryzacja ideowa i polityczna, potwierdzona raz jeszcze w wyborach samorządowych jesienią 2019 r. (gdy znów odezwał się stary podział na *úrbanusok* i *népiesek*, czyli mieszczuchów oraz prowincję), czy wręcz endemiczna dla tego systemu korupcja sprawiają, że niepewność istnieje. Mamy do czynienia z trwałymi pęknięciami na tej budowli, przede wszystkim wynikającymi z rozmontowania niezawisłego wymiaru sprawiedliwości oraz wyraźnie odczuwalnego w wielu warstwach lęku egzystencjalnego (fakt opuszczenia Węgier po 2010 r. przez ponad pół miliona młodych i wykształconych ludzi też nie jest bez znaczenia). Jednakże największe zagrożenia dla Systemu tkwią w trudnej do ukrycia korupcji oraz nieprzejrzystym zarządzaniu publicznymi czy państwowymi pieniędzmi (co potwierdzają fenomeny rodzinnej wsi premiera Felcsút z Akademia Piłkarską i wystawnym stadionem czy powiązanych z premierem klanów robiących duże pieniądze, Mészarosów i Tiborczów). To one każą otwarcie stawiać nad tym projektem duży znak zapytania.

Viktor Orbán twierdzi, że buduje silne państwo, które on jednak rozumie i buduje na powszechnie znanej, klasycznej zasadzie: państwo to ja. Najwyraźniej nie pamięta, a pewnie nawet nie zna, bo to nazwisko teraz nie jest w modzie, znanej formuły Karola Marksa; „Póki istnieje państwo, nie ma wolności, kiedy będzie wolność, nie będzie państwa". Cała filozofia rządzenia zdaje się zmierzać do umiejętnego balansowania pomiędzy tymi dwoma skrajnościami. Krytykowani przez Orbána liberałowie, choć sam wśród nich zaczynał swoją karierę, zbyt daleko poszli w kierunku wolności.

Teraz jednak odnosi się nieodparte wrażenie, że pod jego antyliberalnymi czy nieliberalnymi rządami wahadło niebezpiecznie wychyla się w drugim kierunku, ku omnipotentnemu państwu, a złotego środka i równowagi jak nie było, tak nie ma. Taka ocena nie wróży najlepiej na przyszłość. Viktor Orbán dla wielu – jeszcze – ma wprost magiczną moc, ale co będzie, gdy ją utraci?

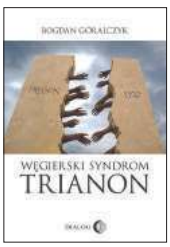

Fragment książki Bogdana Góralczyka *Węgierski syndrom: Trianon*, wydanej na stulecie (4 czerwca 1920 r.) tragicznego dla Węgier traktatu, Wydawnictwo Naukowe Dialog, Warszawa 2020

eprasa.pl 1bef8a9bc8

Oko w oko

Tomasz Jastrun

Róże i groby

Coraz bardziej lubię kwiaty i nasz ogród. Kiedyś kwiaty wydawały mi się zbyt piękne, uciekałem od nich, traciłem oddech, dławiła mnie ich uroda, szczególnie róż. Przypomina mi się zabawny wiersz Tuwima „Róża".

Przypatrując się jej kształtom,
Barwie, płatkom, pączkom, listkom,
Nawet cierniom – myślę: gwałtu!
Jakież to prześliczne wszystko!

Jakież to bez skazy wszystko!
Jaka w niej perfekcja sroga,
Różo, różo, formalistko!
Różo, różo, bój się Boga!

Pandemia spowodowała, że ci, którzy mają choćby skrawek ziemi, rzucili się sadzić rośliny. I oblężone są sklepy ogrodnicze. Bo życie w izolacji zrobiło się monotonne i szare, a kwiaty są kolorowe. Rośliny sadzi się też na przekór nicości, która nam zagraża. Dlatego młodzi nie interesują się za bardzo roślinami, przychodzi to z wiekiem, pielęgnować ogród najbardziej lubią starsi, chociaż wiedzą, że przeżyją ich drzewa i krzewy, które sadzą.

•

Znowu na cmentarz, po raz drugi jadę na pogrzeb Haliny Szpilmanowej, tydzień temu, gapa, pojechałem pomyłkowo. Świecka uroczystość, trochę muzyki i wspomnienia; ciepło i serdecznie wspominali zmarłą sędziwy Marian Turski i znany prawnik prof. Jerzy Stępień. I młoda wnuczka. Syn zmarłej odkażał za każdym razem starannie mównicę. Prawie wszyscy wspominający robili aluzje do obecnej sytuacji politycznej Polski. Tak nam to wszystkim zalazło za skórę, tak dopiekło, tak martwimy się o przyszłość. Grób pianisty, gdzie spocznie jego żona, tuż obok domu pogrzebowego. Tu objawił się znajomy duchowny, więc jednak była krótka modlitwa. Połączenie tej świeckości z odrobinką religii dało ładną uroczystość. Ksiądz zakonnik w białym habicie, piękny fizycznie i duchowo, nakruszył szczyptę ziemi na urnę z prochami. To nakruszenie dało metafizykę. I zawsze piękne słowa „z prochu powstałeś i w proch się obrócisz".

Był S., mój przyjaciel z dzieciństwa, wydawał mi się o wiele starszy od swojego ojca, gdy ten zdawał mi się już bardzo stary. A to przecież mój rówieśnik. Mam wiele żalów do S., głównie politycznych, choćby za to, że pojechał na urodziny Radia Maryja, obłęd, ale zawsze gdy go widzę, jakaś wielka serdeczność płynie z podziemnego jeziora wspólnego dzieciństwa.

•

A Radia Maryja przypadkiem słucham przez chwilę. I jak zwykle wpadam w stupor. Mówi ks. prof. Dariusz Oko, ostro atakuje prymasa Wojciecha Polaka, sugerując, że ten najpewniej zapisał się do sekty Michnika, „Więzi" i „Tygodnika Powszechnego". Twierdzi, że kler się burzy, gdyż prymas nakazał, aby przy kościołach wieszać plakaty zachęcające, by molestowani przez duchownych zgłaszali takie przypadki, podano numer telefonu. Ksiądz profesor używał różnych obelg, mówił o mafii gejowskiej, a też co chwila powtarzał jako straszną obelgę: „zwolennicy antykoncepcji". Dla tych ciemniaków każda forma antykoncepcji to grzech śmiertelny. Lud boży powinien się mnożyć po bożemu, kopulować najlepiej bez przyjemności, jedynie rozrodczo i od święta. Tylko z dziećmi można, z dziećmi to co innego, jeśli to robi duchowny.

W Polsce nie ma jeszcze totalitaryzmu, ale jest stan przedtotalitarny.

•

Dudzie spada poparcie. Boję się mieć nadzieję. Zbyt wiele od tego zależy. Gdyby przegrał, byłoby to odwrócenie nurtu rzeki, która biegnie do czarnego morza. W Polsce nie ma oczywiście jeszcze totalitaryzmu, ale jest stan przedtotalitarny, zawał nie musi nastąpić, ale może. Przejęcie przez PiS Sądu Najwyższego to kolejny akt rozmontowywania demokracji. Bo sędziowie to kasta i trzeba ich spacyfikować.

•

Wybory, zaraza, krach ekonomiczny, a mnie nagle się przypomina. Po czterech latach od utworzenia podkomisji smoleńskiej zajmującej się wyjaśnianiem okoliczności katastrofy samolotu Tu-154M Antoni Macierewicz nadal twierdzi, że do tragicznego wydarzenia doprowadziły dwa wybuchy w maszynie. Jego zdaniem podkomisja była potrzebna, a jej prace niezwykle przydatne. No i co z nim zrobić? Duda nie lepszy, mówi, że po latach nie wiadomo, co właściwie się stało. Za to dobrze wiadomo, co się stało z Dudą. To całe tworzenie mitu smoleńskiego, tuczenie go kłamstwami, ogłupianie nim narodu, kreowanie obłędnej fikcji, to bodaj największe głupstwo w historii tego kraju, w którym głupstw nie brakowało, a niektóre przyczyniały się do utraty niepodległości.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

eprasa.pl 1bef8a9bc8

Dalia Mikulska

Syryjska Norymberga

Dwóch funkcjonariuszy reżimu Asada stanęło przed niemieckim sądem za torturowanie ofiar

Z położonej nad Renem Koblencji do Norymbergi jest niespełna 350 km autostradą A3. Ale nie tylko ona łączy te dwa miasta. Podobnie jak 75 lat temu w Norymberdze, tak teraz w Koblencji rozpoczął się pod koniec kwietnia proces w sprawie zbrodni wojennych. Nie chodzi jednak o zbrodnie nazistów z II wojny światowej, oskarżonymi są agenci syryjskiego wywiadu.

To pierwszy od początku dziewięcioletniego konfliktu proces, w którym funkcjonariusze reżimu Baszara al-Asada odpowiedzą przed sądem za zbrodnie wojenne i zbrodnie przeciwko ludzkości. Dziwić może fakt, że odbywa się on tu, a nie w Hadze, przed Międzynarodowym Trybunałem Karnym powołanym do sądzenia tego rodzaju zbrodni. Syria jednak nie jest stroną statutu rzymskiego, na mocy którego powstał Trybunał, i jego jurysdykcja w sprawach dotyczących tego kraju jest ograniczona do sytuacji, gdy zwróci się o to Rada Bezpieczeństwa ONZ. Na to jednak trudno liczyć, gdyż potrzebna byłaby zgoda wszystkich jej stałych członków, a więc również głównego sojusznika Syrii – Rosji.

Skoro osądzenie przed MTK sprawców zbrodni dokonanych w Syrii nie jest możliwe, Niemcy postanowiły wziąć sprawy w swoje ręce. Ściganie czynów, do których doszło poza ich granicami, umożliwia im oparta na międzynarodowym prawie zwyczajowym zasada uniwersalnej jurysdykcji. W myśl tej zasady sprawcy m.in. zbrodni wojennych i zbrodni przeciwko ludzkości uznawani są za wrogów ludzkości i jako tacy powinni być sądzeni przez państwo, na terenie którego przebywają – bez względu na to, gdzie dokonano tych zbrodni ani kto był ich ofiarą. Ta sama zasada przed laty pozwoliła Izraelczykom sądzić Adolfa Eichmanna, a Belgom i Kanadyjczykom – członków bojówek Hutu oskarżonych o udział w rwandyjskiej rzezi.

Wojenne historie

Zanim setkom tysięcy Syryjczyków, którzy w ciągu ostatnich pięciu lat przyjechali do Niemiec, przyznano status uchodźcy, każdy z nich musiał złożyć zeznania przed funkcjonariuszami niemieckich służb imigracyjnych. Pytani o powód ucieczki i o to, dlaczego twierdzą, że w ich kraju grozi im prześladowanie, mówili o bombach beczkowych zrzucanych na obiekty cywilne, czających się w oknach snajperach i innych rzeczach, o których wiedza jest przekleństwem tych, którzy przetrwali wojnę.

Pojawiły się też historie z zatłoczonych więzień i aresztów zarządzanych przez syryjski wywiad. W tym przez 57-letniego Anwara Raslana, który szefował jednostce wywiadu numer 251 w Damaszku (znanej także pod nazwą al-Chatib od ulicy, przy której się znajduje), i jego podwładnego, 43-letniego Ijada al-Ghariba. To właśnie oni zasiedli na ławie oskarżonych w Wyższym Sądzie Okręgowym w Koblencji.

– Przed rewolucją przedstawiciele reżimu torturowali po to, by wydobyć informacje, dziś torturują, żeby zabić – powiedział francuskiej dziennikarce Garance Le Caisne „Cezar". „Cezar" to pseudonim syryjskiego fotografa, który niedługo przed wybuchem rewolucji został zatrudniony w żandarmerii wojskowej. Jego zadaniem początkowo było dokumentowanie wypadków, w których brali udział żołnierze. Gdy jednak kraj ogarnęły antyrządowe protesty, a wojsko przystąpiło do ich tłumienia i masowych aresztowań, zadaniem „Cezara" stało się fotografowanie ciał martwych demonstrantów i aresztowanych. Ich ciała były tak zmasakrowane, że nawet gdy robił zdjęcie swojemu martwemu przyjacielowi, nie od razu zdał sobie sprawę, że fotografował kogoś bliskiego.

W myśl zasady uniwersalnej jurysdykcji sprawcy zbrodni wojennych i zbrodni przeciwko ludzkości powinni być sądzeni przez państwo, na którego terenie przebywają.

Niemiecka Prokuratura Federalna na podstawie zeznań syryjskich świadków i ocalałych zarzuca Raslanowi, że pod jego nadzorem dochodziło do systematycznych i brutalnych tortur, w tym gwałtów i nadużyć seksualnych. Ofiarą tortur miało paść przynajmniej 4 tys. osób, a dla co najmniej 58 zakończyły się one śmiercią. Zarzuty, które usłyszał Raslan, obejmują okres między kwietniem 2011 r. a wrześniem 2012 r. Al-Gharib miał z kolei we wrześniu i październiku 2011 r. pomagać w torturach, w efekcie których zmarło co najmniej 30 osób. Zarzucane Syryjczykom czyny, zdaniem niemieckiej prokuratury, stanowią zbrodnie przeciwko ludzkości, a nie jedynie naruszenia praw człowieka, a więc uzasadniają zastosowanie zasady uniwersalnej jurysdykcji.

Za namową przyjaciela „Cezar" przez kolejne dwa lata wykonywał pracę fotografa wojskowego, ukradkiem zapisując zdjęcia na nośniku USB, który następnie wynosił schowany w ubraniu. W końcu, korzystając z pomocy opozycyjnej Narodowej Rady Syryjskiej, udało mu się z tymi dowodami wyjechać z Syrii i złożyć zeznania.

Amnesty International szacuje, że w latach 2011-2015 w syryjskich więzieniach i aresztach zabito 17 723 osoby. Prawdopodobnie jednak rzeczywista liczba jest wyższa – zaznaczają autorzy raportu Amnesty International „To łamie człowieka. Tortury, choroby i śmierć w syryjskich więzieniach".

Przyjęte w akcie oskarżenia ramy czasowe nie wynikają bynajmniej z faktu, że w jednostce al-Chatib stosowano tortury tylko w tym czasie. Po prostu obaj oskarżeni dość szyb-

eprasa.pl 1bef8a9bc8

Ijad Al-Gharib przed sądem w Koblencji. Proces może potrwać około dwóch lat.

ko zdecydowali się opuścić Syrię, nie spodziewając się, że poza jej granicami mogą zostać pociągnięci do odpowiedzialności. Zarządzana przez Raslana jednostka po jego ucieczce nie przestała istnieć. Centrum Dokumentacji Naruszeń zebrało zeznania osób, które były tam przetrzymywane również po 2012 r.

I nie tylko tam. Jednostka al-Chatib, na której czele stał oskarżony, podlega Generalnemu Dyrektoriatowi Bezpieczeństwa, jednej z czterech agencji syryjskiego wywiadu – pozostałe to Dyrektoriat Bezpieczeństwa Politycznego, Wywiadu Wojskowego i Wywiadu Sił Powietrznych. Każda z nich dysponuje własną siecią aresztów, w których podobnie jak w jednostce zarządzanej przez Raslana tortury są na porządku dziennym.

Byli więźniowie polityczni z Syrii zgodnie opisują katalog tortur. Firas (imię zmienione), aresztowany po wybuchu arabskiej wiosny za nagrywanie telefonem demonstracji i udostępnianie tych nagrań w sieci, opowiadał mi o tym, jak funkcjonariusze aresztu jednostki Wywiadu Sił Powietrznych podwieszali go do sufitu za nadgarstki (w więziennym slangu mówi się o tym „duch"), a następnie bili do nieprzytomności. Ahmad pamięta, jak w ten sposób traktowano jego współwięźniów. Jego samego bito wciśniętego w oponę. Mahmud (imię zmienione), którego aresztowano na początku lat 80., ponieważ odmówił donoszenia tajnym służbom, spędził część 10-letniej odsiadki w izolacji, w maleńkiej celi. Za ścianą przebywał inny więzień, ale za rozmowę z nim groziła chłosta. Kiedy więc strażników nie było w pobliżu, więźniowie porozumiewali się, pukając w ścianę – każdej literze odpowiadała liczba uderzeń zgodna z jej miejscem w alfabecie. Mahmud był więc szczęśliwy, gdy z powodu złych warunków zachorował na gruźlicę i przeniesiono go do więzienia w Sajdnai. Co prawda, w raporcie Amnesty International miejsce to określone zostało mianem ludzkiej rzeźni, jednak Mahmud dzięki przeniesieniu mógł wreszcie zamienić słowo z drugim człowiekiem i nie bolały go od tego palce.

Podobny katalog tortur znalazł się w akcie oskarżenia Raslana. Zbrodnie, którymi zajmuje się sąd w Koblencji, stanowią więc ledwie wierzchołek góry lodowej.

Spisek przy herbacie

Aparat bezpieczeństwa prezydenta Asada posłał za kraty tysiące dziennikarzy, opozycjonistów, działaczy społecznych, a także zwykłych ludzi. Ahmad, który jako 20-latek bez wyroku trafił do więzienia za drobne przewinienie, zapewnia, że jego przypadek był zupełnie zwyczajny. Razem z nim w celi siedział mężczyzna z okolic Hims, niedaleko granicy z Libanem. Był analfabetą. Zanim go aresztowano, pracował w fabryce, ale utrzymywał się głównie z tego, że szmuglował paliwo do Libanu. Gdy więc po niego przyszli, był pewny, że chodzi o przemyt. Oficerowie, którzy go przesłuchiwali, pytali jednak o islamistyczne ugrupowania zbrojne, sugerując, że uczestniczył w spisku mającym na celu obalenie prezydenta.

– On nawet nie rozumiał pytań, nie miał pojęcia ani o religii, ani o polityce – twierdzi Ahmad.

Mężczyzna pochodził z plemienia słynącego z gościnności. Nie mógł więc zachować się inaczej, gdy niedaleko swojego namiotu na obrzeżach Hims zobaczył przybyszy. Podróżnych należy ugościć, więc zaprosił ich do siebie. Usiedli na podłodze, popijając słodką herbatę z maleńkich filiżanek. Nie wtrącał się, gdy w jego towarzystwie omawiali jakieś sprawy. Być może tamtego dnia w okolicy Hims istotnie zawiązał się spisek mający na celu obalenie prezydenta, ale on przysięgał, że nie rozumiał nic z tego, co mówili mężczyźni. W więzieniu spędził 10 lat.

Niemiecka prokuratura zarzuca Raslanowi, że pod jego nadzorem doszło do torturowania przynajmniej 4 tys. osób, a co najmniej 58 poniosło na skutek tortur śmierć.

– W Sajdnai spotkałem takich jak on, ale także bojowników, którzy jechali walczyć do Iraku czy Afganistanu – opowiada Ahmad. – Myślę, że znacząca większość więźniów Asada to nie byli żadni opozycjoniści. Choć z drugiej strony nie mam pojęcia, czy historie, które opowiadali więźniowie, były prawdziwe. Większość mówiła, że siedzi za fałszerstwo lub oszustwa finansowe. Tylko ci, którzy się nie bali, mówili otwarcie, że walczyli przeciwko Baszarowi al-Asadowi. Ale oni wiedzieli, że zostaną tam na zawsze. Nawet w więzieniu większość kłamała, bo w Syrii lepiej być

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 1bef8a9bc8

fałszerzem niż opozycjonistą. Nie wiedzieliśmy, kto może być donosicielem. Za szpiegowanie współosadzonych można było dostać dodatkowy koc albo książkę.

Osłabianie narodowego ducha

Syryjski prawnik Anwar al-Bunni na długo przed rozpoczęciem arabskiej wiosny starał się zwrócić uwagę świata na sytuację syryjskich więźniów. Pod koniec lat 70. jego dwaj bracia, Akram i Yousef, za działalność polityczną trafili za kraty; spędzili za nimi następne 20 i 15 lat. Do aresztu trafili też jego siostra i szwagier.

On sam zajmował się walką o prawa człowieka. Reprezentował przed sądem osoby prześladowane za przekonania i działalność pokojową, apelował o wolność prasy i zaprzestanie tortur. Więźniów sumienia bronił *pro bono*, zarobkowo zaś zajmował się zwykłymi sprawami karnymi. W 2006 r., gdy Europejska Komisja Praw Człowieka ufundowała centrum szkoleń dla syryjskich aktywistów działających na rzecz poszanowania praw człowieka, Al-Bunni został jego dyrektorem. Na to jednak nie było zgody ze strony władz jego państwa.

Pewnego wieczoru przejeżdżające obok niego auto zatrzymało się, a kilku mężczyzn wciągnęło go do środka. Zasłonięto mu oczy i zawieziono do aresztu jednostki numer 285, w której wówczas pełnił służbę Anwar Raslan.

– To Raslan stał na czele bandy, która mnie porwała – mówi Al-Bunni o swoim aresztowaniu. Syryjczycy o podobnych doświadczeniach bardzo często używają słowa porwanie, bo aresztowanie związane jest z jakimś porządkiem prawnym, a rodzime organy ścigania częściej kojarzą im się z bezprawiem.

Al-Bunniego oskarżono o szerzenie szkodliwych dla państwa informacji, które mogą osłabić ducha narodowego, i skazano na pięć lat więzienia. W ten sposób prawnik apelujący o poszanowanie praw uwięzionych sam znalazł się w więzieniu w Adrze niedaleko Damaszku. Gdy tam przebywał, Niemieckie Stowarzyszenie Sędziów przyznało mu nagrodę w uznaniu jego pracy na rzecz praw człowieka.

Nadzieja na sprawiedliwość

Gdy spotkali się po raz pierwszy, Raslan był dla Al-Bunniego głównie głosem. Jego twarz zobaczył dopiero następnego dnia przed sądem karnym w Damaszku, do którego Raslan dostarczył go z aresztu. Kolejny raz zobaczył go w 2014 r. w centrum dla uchodźców w Berlinie. Nie od razu go poznał. Gdy dotarło do niego, że w tym samym miejscu co on mieszka jeden z jego oprawców, był w szoku. Ostatni raz Al-Bunni zobaczył go jako Anwara R., siedzącego na ławie oskarżonych sądu w Koblencji. I to spotkanie wzbudziło w nim nadzieję na sprawiedliwość.

Al-Bunni stoi dziś na czele Syryjskiego Centrum Studiów i Badań Prawnych z siedzibą w Berlinie, organizacji domagającej się pociągnięcia do odpowiedzialności sprawców zbrodni, do których dochodzi w Syrii. To on pomógł niemieckiej prokuraturze zidentyfikować świadków i ofiary. Ludzie ci zeznają dziś przed niemieckimi organami ścigania. Wielu z nich Al-Bunni reprezentował przed laty, kiedy to oni byli oskarżonymi.

– Ten proces to dopiero początek – mówi. – Chcemy wysłać wiadomość zbrodniarzom, którzy nadal są w Syrii: nie jesteście bezkarni. Przygotowujemy materiał dowodowy, który posłuży w przyszłych sprawach o zbrodnie dokonane nie tylko przez osoby wykonujące rozkazy Asada, ale także przez członków opozycji.

Al-Gharib miał we wrześniu i październiku 2011 r. pomagać w torturach, w efekcie których zmarło co najmniej 30 osób.

W trakcie swojej mowy obrończej, wygłoszonej podczas ostatniej sesji sądowej, Raslan nie tyle zaprzeczył stawianym mu zarzutom, ile zapewnił – podobnie jak wcześniej prezydent Baszar al-Asad – że w syryjskich aresztach w ogóle nie dochodzi do tortur. Tysiące zdjęć, które „Cezarowi" udało się wywieźć z Syrii, podważają jednak wiarygodność tych słów. Na podstawie tych zdjęć niemiecki Federalny Trybunał Sprawiedliwości wystawił nakaz aresztowania Dżamila Hassana, który do lipca 2019 r. stał na czele syryjskiego Wywiadu Sił Powietrznych. Podobny proces może się odbyć w Szwecji, która również uznaje zasadę uniwersalnej jurysdykcji. Organizacja Al-Bunniego pomogła byłym więźniom złożyć tam skargę przeciwko 25 oficerom syryjskich służb, których oskarżają o tortury w czterech różnych jednostkach.

Dokumentacja dokonywanych w Syrii zbrodni skrupulatnie przygotowana przez „Cezara" i innych pracowników departamentu fotografii kryminalnej może świadczyć o poczuciu bezkarności funkcjonariuszy reżimu Baszara al-Asada. Toczący się w Niemczech proces ma szansę dowieść, że nie mieli racji. Nie stanie się to szybko. Według przewidywań proces może potrwać około dwóch lat. Wynika to z dużej liczby zarzutów. Każde przestępstwo będzie pojedynczo udowadniane, a w wypadku jednego z oskarżonych chodzi o torturowanie 4 tys. osób.

Dalia Mikulska

eprasa.pl 1bef8a9bc8

Lewomyślniej Roman Kurkiewicz

Co nam po tym Tarabuku

Roberto Calasso, wybitny włoski eseista, redaktor i wydawca (Adelphi), wyznawał teorię, że wydawnictwo (takie przynajmniej, które on sam tworzył i któremu dyrektorował przez dekady) jest tak naprawdę jedną wielką księgą, którą tworzą wszystkie wydane tam tytuły. Każda z tysięcy wydanych książek była jakby kartą tej jednej, niemożliwej do napisania przez pojedynczą osobę księgi.

Mówimy głównie o literaturze, poezji, ale też filozofii, mitach, starożytności. W tej autorskiej propozycji wydawniczej Calasso budował własny gmach ludzkiej kultury, której niejednoznaczność, wielogłosowość i różnojęzyczność uważał za ważną – godną polecenia i przetrwania. Co niezwykłe, Calasso sam pisywał do tysięcy wydawanych przez siebie tomów tzw. blurby, czyli krótkie, maksymalnie kilkuzdaniowe noty polecająco-informacyjne. Wydał je nawet kiedyś zebrane, taka osobista historia literatury świata. Cechowały ją przenikliwa lapidarność, precyzja i nieusuwalny zachwyt.

Wspominam włoskiego wydawcę, kiedy chcę zatrzymać się przy fenomenie warszawskiej kameralnej księgarni Tarabuk, powstałej przed 15 laty na Powiślu, zadomowionej tam, ale potem przeganianej z miejsca na miejsce, z perypetiami niemal cervantesowskimi, która wylądowała ostatnio na obrzeżach dawnej kawiarni Nowy Świat. W tym samym miejscu, które Warszawie przywróciła na kilka lat Krytyka Polityczna, tworząc tam niezwykłe centrum Nowy Wspaniały Świat, wyrzucone później decyzjami urzędniczymi pod wyimaginowanym pretekstem. Historia Tarabuka jest inna, ale i on został rażony odłamkami procesów gentryfikacyjnych, niezałatwionych, rozchwianych reguł i losów warszawskich nieruchomości i walki o ich posiadanie.

Wchodząc setki razy do Tarabuka, czy na Powiślu, czy w innych jego odsłonach peregrynacyjnych, nie miałem poczucia, że wchodzę do miejsca sprzedaży książek. Zawsze towarzyszyło mi najgłębsze przekonanie, że zanurzam się w karty Calassowskiej księgi nienapisanej, niemożliwej do napisania, sprzecznej ze sobą, nieuzgadnialnej, gdzie wymieszane jest wysokie z nieakceptowalnym, arcydzieła z grafomanią, filozofia najwyższej próby z dociekaniami denialistów wszelkiej maści. Ale też czułem, że ta księgarnioksięga ma inny charakter, to nie karta po karcie, strona za stroną, arkusz po arkuszu. Jedyną zasadą porządkującą tę podróż i jej jedynym strażnikiem był chaos, niezmordowanie zdystansowany i ironiczny, unoszący się nieco nad powierzchnią ziemi, oddany poszukiwaniom tego, co jest i czego nigdy nie będzie – księgarz bezgraniczny – Jakub Bułat.

> Tarabuk miał swój odmienny rytm od początku, rytm inny niż miasto, reguły, procedury wokół.

W tych odmętach znajdowałem spokój, w tym chaosie – ład, w tym nieogarnięciu – bunt, w tym rozwibrowaniu – zasadę. Odnalezienie poszukiwanej książki było tam często niemożliwe, jeśli nie skorzystało się z pomocy księgarza. Teoretycznie istniały działy, porządkujące podpisy, ale dla niewtajemniczonych użytkowników tworzyły raczej nieodgadniony labirynt, pojęciowy rebus, niepokonywalny gąszcz tropów. Nie był to jednak wypadek przy pracy, brak kompetencji – to był zamysł i plan, to było zorganizowane szaleństwo, to było wpisane w przyjemność bycia w tym niezwykłym miejscu, które, zdarzało się, pełniło funkcję sprzedażową, ale przede wszystkim było przestrzenią spotkań, rozmowy, nieśpiesznością wcieloną. Zanim powstały teorie spowolnienia, *slow* wszystko, Tarabuk miał już swój odmienny rytm, od początku, inny niż miasto, reguły, procedury wokół. Można było w tym się nie odnaleźć, zagubić, zdziwić. Tarabuk jest enklawą, agorą wyrysowaną kredą na podłodze pośród książek nowości, ale też obok książek dawno wypadłych z obiegu, takich sprzed lat, takich, które musiały ustąpić miejsca tym nie lepszym, bardziej wartym uwagi, tylko nowszym, akuratnym, świeżym jak bułeczki, chociaż bułeczkami nie są, a bycie księgarzem, księgarką nie jest tym samym co sprzedawanie innych „produktów".

Tak więc stoi Tarabuk (choć musi wciąż uciekać przed opresją zasad, umów i dąsów zarządzających przestrzenią miasta) swoim oporem, odmiennością, charakterem, niekonsumpcyjnością. Ale potrafił też nakarmić i napoić, nawet gdy kogoś nie było na to stać. Tarabuk był podróżą w czasie, nawet jeśli akurat nie było tej najbardziej potrzebnej książki, bo dawał szansę na spotkanie innej, której gdziekolwiek indziej już byśmy nie spotkali. I wciąż trwa, pandemicznie, debatująco i dialogicznie.

Tarabuk jako instytucja był nie do wymyślenia, a jednak powstał. Jest wygnańcem z tego świata. I dlatego jestem w nim nieodmiennie zakochany. Jest ziszczoną utopią, oferuje marzenia

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 1bef8a9bc8

Ciemna strona szwajcarskiego złota

Szwajcaria może być jednym z nabywców nielegalnie wydobywanego surowca

Wydobycie złota prowadzi do ogromnego zniszczenia środowiska naturalnego. Ślady po nielegalnej kopalni w El Torito w stanie Carabobo w Wenezueli.

Katarzyna Mierzejewska

Podczas tegorocznego Światowego Forum Ekonomicznego Juan Guaidó, lider opozycji wenezuelskiej i przewodniczący Zgromadzenia Narodowego, zaapelował do zebranych w Davos decydentów politycznych o powstrzymanie nielegalnego wydobycia złota w Amazonii. Późniejsze dziennikarskie śledztwo wykazało, że jednym z jego nabywców może być Szwajcaria, a do szwajcarskich banków prawdopodobnie spływają podejrzane fundusze związane z wenezuelskim złotem.

W lutym organizacja Human Rights Watch alarmowała, że w wenezuelskim stanie Bolívar makabrycznych zbrodni na miejscowej ludności dokonują zbrojne grupy, zwane syndykatami, które kontrolują nielegalne kopalnie złota. Pytani przez HRW świadkowie twierdzili, że syndykaty wprowadzają brutalne zasady: „Jeśli kradniesz lub mieszasz złoto z innym produktem, to *pran* (lider syndykatu) cię pobije lub zabije". Niektórzy widzieli, jak członkowie syndykatów odcinają lub przestrzeliwują ręce oskarżonym o kradzież. Kilku innych powiedziało, że wie o przypadkach pocięcia ofiar na kawałki piłą łańcuchową, siekierą lub maczetą.

Członkowie syndykatów obcinają lub przestrzeliwują ręce oskarżonym o kradzież.

Zdaniem HRW rząd Wenezueli wie o działaniach zbrojnych grup, a niekiedy nawet z bandytami współpracuje, aby utrzymać ścisłą kontrolę nad przynoszącymi zyski kopalniami złota. Dochody z jego nielegalnej sprzedaży miałyby pozwolić rządowi Nicolása Madura podreperować finanse na czas spadku cen ropy na światowych rynkach i nasilających się sankcji gospodarczych nałożonych na ten kraj. Czy Szwajcaria jest jednym z partnerów tych transakcji? Na razie w tej sprawie nie zostało wszczęte żadne oficjalne śledztwo, ale jak zapewnia Biuro Prokuratora Generalnego w Szwajcarii, kontakty handlowe z Wenezuelą są analizowane ze szczególną uwagą. Tymczasem wenezuelska opozycja twierdzi, że w 2019 r. samolot z nielegalnym złotem wylądował w Zurychu. Ładunek nie został sprawdzony, ponieważ lot miał status dyplomatycznego.

Długa historia zależności

Historia udziału Szwajcarii w przynoszącym duże zyski handlu złotem sięga czasów II wojny światowej. Mark Pieth, szwajcarski profesor prawa karnego i ekspert antykorupcyjny, w książce „Brudne sekrety handlu złotem" pisze o skupowaniu ogromnych ilości złota zarówno od aliantów, jak i od państw Osi (Szwajcaria pozyskała większość nazistowskiego złota i stała się *de facto* bankierem i pośrednikiem finansowym III Rzeszy). Pieth zauważa również, że handel złotem był kluczowy dla przetrwania reżimu apartheidu w Republice Południowej Afryki. Prawie 80% złota importowanego z RPA w latach 80. zostało ponownie stopione i opatrzone szwajcarską pieczęcią jakości przez rafinerie utworzone przez szwajcarskie banki komercyjne.

Także dzisiaj Szwajcaria odgrywa kluczową rolę w handlu kruszcem. Przechodzi przez nią 70% światowego złota. To biznes o wartości 70-90 mld franków rocznie, odpowiadający za średnio 25% krajowego eksportu i 30% importu. W niewielkim alpejskim kraju operują też najważniejsze w skali globalnej rafinerie, które przetwarzają ok. 70% światowych zasobów surowca.

eprasa.pl 1bef8a9bc8

Jako główny gracz na rynku Szwajcaria coraz częściej jest wywoływana do tablicy także w sprawie nielegalnego wydobycia złota. To do jej władz tak naprawdę zwracał się Juan Guaidó w Davos. Ich reakcja, skrupulatność i przyjęcie zaostrzonych regulacji mogą się przyczynić do większej transparentności całego przemysłu.

Krwawe złoto

Kilkunastogodzinna praca w szkodliwych oparach, złe warunki higieniczne, brak godziwej pensji, zatrudnianie dzieci, bezprawne zagarnianie ziemi pod wydobycie, pozbywanie się z cennych terenów ludności tubylczej – to pokłosie systemowego problemu, jakim jest przymykanie oka na nielegalne pozyskiwanie surowców. Oprócz tego niekontrolowane wydobycie złota powoduje szkody w środowisku, głównie ze względu na zanieczyszczenie gleby i powietrza metalami ciężkimi. Biznes ten często idzie też w parze z praniem brudnych pieniędzy, powiązaniami z przestępczością zorganizowaną i uwikłaniem w lokalne konflikty.

Juan Guaidó nie jest pierwszym, który nawołuje do podjęcia kroków przeciwko dalszemu rozrostowi czarnego rynku złota. W listopadzie 2019 r. przedstawiciele rdzennej ludności Brazylii sformułowali ostry apel do Szwajcarii, aby ta wycofała się z planowanej umowy o wolnym handlu między EFTA (Szwajcaria, Norwegia, Islandia, Liechtenstein) a Mercosurem (Argentyna, Brazylia, Paragwaj, Urugwaj), gdyż jej podpisanie „będzie równoznaczne z ludobójstwem". W Amazonii podpala się lasy i wysiedla, a nawet zabija ludzi, aby zrobić miejsce dla produkcji złota, soi i oleju palmowego. „Nikt, komu zależy na środowisku, nie podpisze tej umowy", mówiła w Bernie Sônia Guajajara, przedstawicielka organizacji zrzeszającej rdzenną ludność. Jej zdaniem celem umowy jest zysk dużych firm, a z dobrem miejscowej ludności czy przyrody nikt się nie liczy. Szwajcaria stała się głównym adresatem apelu, ponieważ złoto pozyskane nielegalnie lub w sposób co najmniej nieetyczny trafia do tamtejszych rafinerii. Sytuację utrudnia niechęć brazylijskiego prezydenta Jaira Bolsonara do ekologii, rdzennych mieszkańców i przejrzystości łańcucha dostaw. Nie wydaje się jednak, by wezwania organizacji reprezentującej interesy rdzennych plemion coś dały. Ratyfikacja przez Szwajcarię umowy handlowej EFTA-Mercosur zaplanowana jest do końca 2020 r.

Nielegalne kopalnie niszczą Matkę Boga

Prowincja Madre de Dios, położona w parnym, nizinnym lesie deszczowym Peru na granicy z Boliwią i Brazylią, jest jednym z miejsc o największej na świecie bioróżnorodności. I właśnie tam w ostatniej dekadzie wybuchła prawdziwa gorączka złota. Powodem były zawrotny wzrost cen tego surowca na rynkach światowych, trudna sytuacja ekonomiczna, migracja zarobkowa do bogatego w zasoby naturalne regionu (w ostatnich 20 latach do Madre de Dios przeniosło się 30 tys. osób) oraz brak nadzoru urzędników, który sprawiał, że górnicy rzadko postępowali zgodnie z wymagającymi dużych kosztów przepisami środowiskowymi. Utorowało to drogę do rozrostu nielegalnego górnictwa, prostytucji i wykorzystywania dzieci do pracy. Od 1985 r. w regionie Madre de Dios wykarczowano prawie 1000 km kw. lasów deszczowych (ponad dwie trzecie zniszczono w latach 2009-2017). Codzienność to wycinka drzew, zabijanie zwierząt i spuszczanie do rzek czy jezior nawet 185 ton rtęci rocznie. Zatrucie rtęcią stanowi ogromny problem wśród ludności tubylczej, zwłaszcza dzieci. Powoduje wymioty, duszności, odwodnienie, a bez udzielenia szybkiej pomocy może prowadzić do śmierci.

Przez wiele lat złoto wydobywane przez drobnych górników w Andach trafiało do szwajcarskich rafinerii na przetopienie. Później kruszec można było znaleźć w błyskotkach i gadżetach takich marek jak Tiffany czy Apple. Ten model biznesowy był częścią planu peruwiańskiego rządu na zintegrowanie pojedynczych poszukiwaczy złota z gospodarką. Jednym z partnerów handlowych była szwajcarska rafineria Metalor, prawdziwy gigant na rynku światowym. Jednak na początku 2018 r. Metalor przestał importować złoto. Peruwiańscy prokuratorzy zaczęli podejrzewać, że główny dostawca i partner Szwajcarów, Minerales del Sur, był wykorzystywany przez przestępców do wprowadzania nielegalnego złota na rynek światowy. Koncern stanowczo zaprzeczył tym doniesieniom, jednak ostatecznie postanowił zrezygnować z robienia interesów nie tylko z Peruwiańczykami,

Przez Szwajcarię przechodzi 70% światowego złota.

FOT. FORUM, AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 1bef8a9bc8

ale i z wszelkimi górnikami rzemieślniczymi działającymi w Ameryce Południowej. Krytycy tej decyzji mówią o unikaniu problemu zamiast podjęcia próby jego rozwiązania. Mark Pieth twierdzi, że jeśli inne rafinerie pójdą tym śladem, będzie to miało katastrofalne skutki dla 100 mln ludzi pracujących w górnictwie.

Niejasny łańcuch dostaw

W opublikowanym pod koniec 2018 r. raporcie władze szwajcarskie przyznały, że nie można wykluczyć, iż złoto wyprodukowane z naruszeniem praw człowieka trafiało do ich kraju w celu dalszej obróbki. Instytucje odpowiedzialne za nadzór nad rynkiem złota znają bowiem jedynie ostatni kraj, z którego surowiec przybył do Szwajcarii, a nie kraj pochodzenia.

Zdaniem ekspertów międzynarodowe firmy przetapiające złoto w Szwajcarii wiedzą, skąd ono pochodzi, nie chcą jedynie tego ujawniać. Marc Ummel z organizacji pomocowej SWISSAID wezwał rząd, aby ten wymagał od Federalnej Administracji Celnej ustalenia realnego pochodzenia towarów, a nie tylko odnotowywania ostatniego kraju w łańcuchu eksportu do Szwajcarii.

Ze wspomnianego raportu z 2018 r. wynika, że co prawda zalecane jest stosowanie rozwiązań mających na celu pogodzenie produkcji z uwarunkowaniami społecznymi i środowiskowymi, ale obowiązku ich przestrzegania nie ma. Rząd federalny popiera standardy opracowane przez OBWE, ale ich nie egzekwuje, jedynie zachęca korporacje do ich wdrażania.

By trochę podreperować swój wizerunek, Szwajcaria zapoczątkowała w 2013 r. Inicjatywę dla Lepszego Złota (Better Gold Initiative), pierwotnie stworzoną z myślą o Peru. Chodzi o pozyskiwanie złota z małych kopalń i wspieranie drobnych górników w Ameryce Południowej (głównie w Boliwii, Kolumbii i Peru). W ten sposób w latach 2013-2017 w Peru wyprodukowano 2,5 tony złota, co jednak stanowi zaledwie margines rocznej światowej produkcji.

Od lat słychać głosy, że Szwajcaria powinna przywiązywać większą wagę do tego, skąd importuje złoto, i ucinać podejrzane kontakty biznesowe. Przykłady niszczenia Amazonii, wykorzystywania dzieci w kopalniach i brutalnego traktowania rdzennej ludności są mocno powiązane z faktem, że na surowiec, nieważne w jakich warunkach wydobyty, zawsze znajduje się bogaty kupiec. Z uwagi na swoją rolę w handlu kruszcem Szwajcaria nie może udawać, że nadużycia i przestępstwa, do których dochodzi przy produkcji, jej nie dotyczą.

Katarzyna Mierzejewska

W Amazonii podpala się lasy i wysiedla, a nawet zabija ludzi, aby zrobić miejsce dla produkcji złota, soi i oleju palmowego.

eprasa.pl 1bef8a9bc8

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Pojutrze płakałem

Mdli mnie już od nadmiaru toksycznej polskości, od narodu, który zatruwa myślą, mową, uczynkiem i zaniedbaniem każdą porę roku, w każdym stanie, zwyczajnym czy wyjątkowym. Nie jestem w stanie tego znieść; polskość jest jak wino pomieszane z piwem, kiedy kac wyprzedza upojenie.

Jan Hartman, mój ulubiony *nestbeschmutzer* polskiej felietonistyki, niedawno wnikliwie zdiagnozował genezę narodzin narodu w bystrym, prowokacyjnie zatytułowanym tekście „Polacy nie kochają wolności". Pisze w nim m.in., że „naród polski został stworzony na podłożu romantycznej mitomanii i fanatyzmu religijnego. Był to naród negatywny, tworzony i konsolidowany przeciwko czemuś: przeciwko Rosji i prawosławiu, przeciwko Niemcom i protestantyzmowi, przeciwko ideom liberalnym i postępowi".

Umęczony wpatrywaniem się w zastygłe słupki poparcia dla obozu władzy dawno już przestałem liczyć na to, że przyjdzie moment, gdy naród się obudzi i władzę dojnej zmiany osądzi właściwie – Hartman tę niewiarę z ust mi wyjął i z właściwym sobie szwungiem rozpisał. „Dla Polaków wolność to przede wszystkim byt państwowy niezależny od ościennych mocarstw. Wolna Polska to Polska rządzona przez Polaków. I tyle. Nawet jeśli rządzona jest przez stojącego ponad prawem dyktatora, bez respektu dla praw i swobód obywatelskich, to nadal jest wolna". Bezrozumne uwielbienie wodza „jest kultem, jaki naród żywi dla samego siebie. Jest wyłącznie ekscesem narodowej pychy i resentymentu, nie mając w sobie nic z dojrzałego rozeznania i etycznej powagi". Wszyscy możemy więc wołać, że gore, bo oto kaczyści odbili także Sąd Najwyższy, ale choćby i sąd ostateczny wrogo przejęli, naród się nie przejmie tym przejęciem. Dopóki Polak Polakowi los gotuje, a kiełbasy do tego nie szczędzi, syty lud nie drgnie, choćby to był los marny. Może i marny, ale samoswój, suwerenny, w ojczystym języku tłumaczony; a nie masz ci lepszych tłumaczy z polskiego na polski niźli kaczystowscy funkcjonariusze medialni – bezbłędnie wytłumaczą, kogo winić za licho należy (samorządy, opozycję, LGBT).

Ostatnio np. skutecznie tłumaczą, że z tą pedofilią w Kościele to jest przesada i niesprawiedliwość, bo jeśli wśród tysięcy prawych i sprawiedliwych znajduje się jedna czarna owca, to nie ma co robić afery, a przecież są środowiska w znacznie większym stopniu zatrute, takie jak, brrr, artyści. Od razu mi się przypomniało, jak w tzw. erze Fryzjera, u szczytu korupcji w polskiej piłce, kiedy co drugi mecz był ustawiony, w przeddzień wykrycia procederu przez prokuraturę ówczesny prezes PZPN tłumaczył, „że pośród 10 tys. sędziów znalazła się jedna czarna owca". Lecz cóż to, pan Listkiewicz nagle i teraz o sobie przypomniał, twitterowym coming outem po linii pisowskiej propagandy – mówi, że w dzieciństwie był molestowany zarówno przez księdza, jak i przez aktora i nie czyniło mu to różnicy.

Tragiczna to symetria i trudno ją podważać, jednak to nie nad aktorami pedofilami rozpostarto parasol ochronny w postaci prokuratorskich okólników, cwanych interpretacji prawa kanonicznego czy po prostu wewnątrzkościelnych grup wsparcia i wyciszenia, które pozwalają oprawcom w sutannach peregrynować po parafiach, zamiast po spacerniaku. Kiedy kapłan jako plenipotent Boga zadaje gwałt, robi to w boskim imieniu, dziecko religijne ma prawo wobec takiego dysonansu mniemać, że sam Bóg wkłada swoje spocone łapska do jego majtek, sam Pan Jezus bawi się ptakiem na jego oczach, sam Duch Święty wkłada swój eteryczny język do małoletnich ust. Dzieciom zindoktrynowanym katolicko od kołyski religia tworzy fundament tożsamości – kiedy dobrego Boga zastępuje zły demiurg w ciele katabasa, tracą wiarę i nierzadko rozum. A potem, jako wydrążeni, poharatani, neurotyczni dorośli – jak bohaterowie „Zabawy w chowanego" braci Sekielskich – słyszą od swoich dawnych katów: „To nie byłem ja, to był szatan". Cóż, właściwie to należałoby chronić księży przed dziećmi, skoro one są narzędziem w rękach szatana kusiciela.

Dopóki Polak Polakowi los gotuje, a kiełbasy do tego nie szczędzi, syty lud nie drgnie, choćby to był los marny.

Oto więc w czasie zarazy trwa plemienne obrzucanie się błotem, a już po pas tkwimy w politycznych ekskrementach. Teraz to jest szarpanina, czyi pedofile są straszniejsi, nasi czy wasi. Ten kraj dojrzewa jak czyrak do wojny domowej, wystarczy lekko docisnąć i pęknie. Przyprawia mnie o płacz, zgrzytanie zębami i ciężki oddech. Abym zaś nie oszalał, emigruję w tacierzyństwo. Jest mój małolatek celem i drogą zarazem, za co się bezwiednie wywdzięcza nieustającymi inspiracjami. Już w polszczyźnie się zadomowił, ale wciąż jeszcze popełnia wspaniałe lapsusy, zwłaszcza kiedy próbuje używać określeń czasu. U dziecka to zrozumiałe, bo żyje w wiecznym Teraz, w dodatku przeszłość od przyszłości różni się ledwie jedną głoską. Stąd np. taka perełka zawarta w jego wspomnieniu: „pojutrze płakałem". I mnie to się rozpościera w całą tę polską beznadzieję, wczorajszą, dzisiejszą i tę, która nadchodzi. Płaczę nad Polską, płaczę ponad czasem; czasem tylko przez płacz piszę.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 1bef8a9bc8

Lekcje i wyzwania pandemicznej edukacji w Polsce

Tam, gdzie MEN obiecało pomoc i mogła ona być skuteczna, uczniów i nauczycieli po prostu oszukano

Małgorzata Żuber-Zielicz

Już od ponad dwóch miesięcy polskie placówki oświatowe są zamknięte, a edukacja odbywa się zdalnie. Tak prawdopodobnie będzie do wakacji. Przejście szkół i nauczycieli oraz uczniów z rodzicami do zdalnego nauczania odbyło się znienacka, *de facto* w ciągu jednego weekendu, na podstawie medialnych wypowiedzi ministra i bez żadnego przygotowania. Mimo że minister w mediach głosił co innego niż podpisane przez niego później dokumenty (jak się okazało, miał to być stan permanentny!), jakoś udało się wszystkim praktycznie placówkom to zdalne nauczanie wdrożyć. Niektórzy skłonni są uznawać ten fakt za wielki skok i jednocześnie impuls w kierunku unowocześnienia polskiej edukacji. Nic bardziej błędnego. Co prawda, zostało do tej zdalnej edukacji wykorzystane nowoczesne medium w postaci internetu (przede wszystkim!), ale…

Ile komputerów w rodzinie

Minister sformatował swoimi wystąpieniami medialnymi, na zasadzie efektu demonstracji, zdalne nauczanie jako lekcje wideokonferencje online w czasie rzeczywistym. A więc uczniowie przed komputerami z kamerkami i mikrofonami – po drugiej stronie nauczyciel przed tandetną kamerką laptopa do rozmów na Skypie, sprawdzający listę, dyktujący temat, „realizujący podstawę programową", zadający prace domowe oraz wystawiający oceny. Czyli przeniesienie najbardziej schematycznej i stereotypowej szkoły ze świata realnego do wirtualnego w skali 1:1. Tyle że w świecie realnym nawet taka szkoła ma dla ucznia jeszcze komponentę społeczną, której tu zabrakło. Co ważniejsze jednak – taki model zakłada, że uczeń na samych lekcjach będzie spędzał sześć-siedem godzin dziennie przed monitorem, niezależnie od odrabiania prac, nie mówiąc o surfowaniu w sieci itd. dla własnej przyjemności. 10 godzin przed komputerem dzień w dzień nie tylko dzieciom, ale i dorosłym nie może wyjść na zdrowie. Była jednak spora grupa rodziców, którym taka wirtualna szkoła odpowiadała i którzy wręcz się jej domagali. To głównie ci, dla których najważniejsza jest opiekuńcza funkcja szkoły – chcieli więc, by również szkoła wirtualna pozwoliła im przez kilka godzin dziennie nie zajmować się własnymi pociechami, którym potrafili zapewnić komputery do indywidualnego użytku. Zdalna edukacja wyeksponowała zresztą kilka grup rodziców o sprzecznych, z różnych powodów, interesach.

Taka forma zdalnego nauczania, abstrahując od jej szkodliwości dla zdrowia i wątpliwej efektywności, nie była dla bardzo wielu uczniów (a i nauczycieli) dostępna. Wymagała bowiem posiadania przez każdego ucznia i nauczyciela sprzętu z kamerką i mikrofonem. Tymczasem nie każdy laptop ma kamerę i mikrofon, a co tu mówić o komputerach stacjonarnych, głównie dostępnych w szkołach. Nawet w dość zamożnych domach nie każde dziecko ma komputer czy laptop na wyłączność. Znany mi profesor (i właściciel prywatnej uczelni!) z piątką uczniów w domu ratował się komputerami uczelnianymi, no ale nie każdy tak może. Na dodatek taka lekcja wideokonferencja to jak oglądanie filmu online – wymaga gigantycznego transferu danych, co sporo kosztuje, a szkołę publiczną mamy ponoć bezpłatną. Nie wszyscy, zwłaszcza na wsi, mają też odpowiednie podłączenie do internetu.

Stosowne rozporządzenie było już bardziej realistyczne od medialnych prezentacji ministra Piontkowskiego – pozwalało korzystać z różnorodnych form zdalnej edukacji: przesyłania (w obie strony) materiałów i linków drogą mejlową, zadawanie prac i ich odsyłanie itp. Co prawda, tu też pojawił się problem – nie w każdym domu jest drukarka, nie mówiąc o skanerze. Nie wiadomo, co sprawiło, że dopiero ponad dwa tygodnie po zamknięciu szkół MEN zorientowało się, że istnieje znakomite medium edukacyjne, o dużo większym od internetu zasięgu, w postaci telewizji. Znacznie na dodatek wygodniejsze dla rodziców. Tym bardziej że w związku z zakazem imprez sportowych wolne były odpowiednie kanały. Niestety, ministerialni i telewizyjni urzędnicy starą biurokratyczną metodą zepchnęli zadanie w dół – na kuratoria i regionalne ośrodki TVP. Każde kuratorium i odpowiadający mu regionalny ośrodek telewizyjny otrzymały po jednej klasie szkoły podstawowej (Warszawa np. otrzymała klasę VI), dla której miały przygotować lekcje. TVP o dziwo miała przy tym samograj w postaci archiwum z tysiącami godzin profesjonalnie nagranych lekcji, filmów lekturowych i innych, programów popularnonaukowych, filmów do nauki języków itd. Nic z tego nie zostało wykorzystane – odtwarzano na chybcika najbardziej schematyczną i stereotypową szkołę z nauczycielem wyposażonym w tablicę, biurko i niewiele więcej, który „realizował podstawę". Najwięcej gaf, z których śmiała się cała Polska, popełniono przy realizowaniu lekcji w mieście ministra edukacji,

10 godzin przed komputerem dzień w dzień nikomu nie wyjdzie na zdrowie.

eprasa.pl 1bef8a9bc8

MEN dopiero dwa tygodnie po zamknięciu szkół zorientowało się, że istnieje medium edukacyjne o dużo większym od zasięgu od internetu, czyli telewizja.

Białymstoku, gdzie do akcji rzucono ponoć aktywistki nauczycielskiej Solidarności. Robiły w tym czasie karierę w sieci lekcje Telewizyjnego Technikum Rolniczego sprzed praktycznie pół wieku – dzięki profesjonalnemu wykonaniu mimo przepaści technologicznej zdecydowanie górowały nad współczesną tandetą i amatorszczyzną TVP. Po zmasowanej krytyce telewizyjne lekcje nieco się poprawiły, doszła też konkurencja z TVN, ale początkowy niesmak pozostał.

Nikt nie myśli o uczniu

Obie preferowane przez MEN formy zdalnej edukacji, czyli wideokonferencje i lekcje w TVP, połączyło jedno – brak jakiegokolwiek myślenia o uczniu i jego całościowym rozwoju. Dla oświatowej biurokracji najważniejsze (właściwie jedyne liczące się nawet w tak skrajnej sytuacji!) były kwestie czysto biurokratyczne – formalna „realizacja podstawy programowej" oraz jej dokumentowanie, oceny i frekwencja. Przede wszystkim jednak osławione dokumentowanie, dokumentowanie, dokumentowanie… Niestety, nie zostały wykorzystane (ba – często zostały wręcz zablokowane!) te dodatkowe możliwości, jakie daje edukacja na odległość. W internecie są nieprawdopodobne zasoby materiałów: filmów, symulacji, lekcji, wykładów, pokazów, książek. Wystarczy, że nauczyciel dobierze odpowiedni zestaw, i uczeń może się uczyć w nieszablonowy, interesujący sposób, w swoim tempie, wracając do pewnych rzeczy tyle razy, ile trzeba. Na dodatek można ćwiczyć niezwykle istotną umiejętność samodzielnego uczenia się – wysoko cenioną w rekrutacji przez czołowe uczelnie (niestety świata, nie Polski!).

Lekcje online i lekcje w TVP połączyło jedno – brak myślenia o uczniu i jego całościowym rozwoju.

Zamiast tego uwaga uczniów i nauczycieli była skupiona na osławionym dokumentowaniu, że „realizują podstawę programową". Rodziło to również tragikomiczne sytuacje. Oto nauczyciel WF w (prywatnej) podstawówce syna znajomych zażyczył sobie przesłania filmiku dokumentującego zrobienie 10 pompek. Ponieważ chłopak był w stanie zrobić tylko jedną, nagrał ją i zmontował filmik będący 10-krotnym powtórzeniem tej jednej sceny. Oczywiście byli twórczy nauczyciele partyzanci, którzy, jak zwykle wbrew systemowi i biurokracji, znakomicie sobie poradzili, z pożytkiem dla uczniów. Chwała im za to! To jednak wyjątki.

Jeśli więc można mówić o jakichś pozytywach pandemicznej lekcji zdalnej edukacji, jest to przede wszystkim wyeksponowanie do karykaturalnej postaci wszystkich absurdów, do jakich niekontrolowana biurokracja oświatowa doprowadziła polską szkołę. Szkołę, która dziś skupia się nie na uczniu i jego rozwoju, ale na czysto formalnej, biurokratycznej dokumentacji i równie biurokratycznej oraz formalnej kontroli. Blokuje to twórcze pomysły nauczycieli, pozbawia ich pozytywnej motywacji do pracy.

Przy okazji wyszło na jaw, jak wielu uczniów nadopiekuńczość rodziców oraz różne kampanie przeciw pracom domowym całkowicie oduczyły samodzielnej nauki. Niektórzy twierdzą, że to skutek przeładowanej podstawy programowej. Owszem, wprowadzony przez minister Katarzynę Hall i prof. Konarzewskiego biurokratyczny sposób jej zapisu i egzekwowania stanowi ogromny kłopot, ale przede wszystkim dla nauczyciela. Jako specjalistka od nauk ścisłych i przyrodniczych wiem jednak z pewnością, że zakres (!) programu tych przedmiotów, uchodzących dość powszechnie za najtrudniejsze do opanowania i najbardziej pracochłonne, jest zarówno w podstawówce, jak i w liceum zdecydowanie mniejszy, niż był w pokoleniu rodziców czy dziadków dzisiejszych uczniów. Wtedy zaś nie było zwyczaju odrabiania lekcji za dzieci przez rodziców. Dziś uczeń klasy matematyczno-fizycznej w liceum kończy np. całą swoją edukację matematyczną na tym, co kiedyś przerabiano… w dwóch pierwszych klasach mat.-fiz. czteroletniego liceum. Problem tkwi więc bardziej w braku umiejętności koncentracji (ach, te multimedia!) i odpowiednich postaw niż w nadmiarze materiału.

Nauczyciele zostali sami

Pisząc o uczniach pandemicznej szkoły, nie sposób nie wspomnieć o nauczycielach. Dla nich sytuacja była nowa i zaskakująca, na dodatek chwilowo czyniła bezużytecznymi wiele zdobytych umiejętności i doświadczeń. Musieli się przestawić w błyskawicznym tempie, a to oni mieli być w stosunku do uczniów i rodziców tymi kompetentnymi. W tej sytuacji mogli oczekiwać zachęty, zrozumienia, pomocy i wsparcia

FOT. ADAM BURAKOWSKI/REPORTER

eprasa.pl 1bef8a9bc8

zarówno ze strony rządowej, jak i od samorządowej administracji oświatowej. Nic takiego nie nastąpiło i zostali sami. Minister z premierem ciągle co innego mówili na konferencjach prasowych (nierzadko nauczycieli obrażając), informując w ostatniej chwili o ich wspólnych ustaleniach, a co innego mówiły wyprodukowane przez resort dokumenty. Ministerialni i kuratoryjni urzędnicy udowadniali swoją niezbędność, zasypując szkoły ankietami i wymogami dokumentacyjnymi. Znaczna część poleceń w ogóle nie brała pod uwagę realnych możliwości szkoły i nauczyciela – czyniąc „sprytnie" dyrektora odpowiedzialnym za wszystko, nakazywała mu i nakazuje realizację niemożliwego. Często dyrektorzy otrzymywali po godz. 22 ankiety, które należało odesłać wypełnione do południa dnia następnego. Za to minister, również na konferencjach prasowych, lubił i lubi się pochwalić przejściem na zdalną edukację jako sukcesem… swoim i swoich urzędników. Nawet tam, gdzie MEN wprost obiecało pomoc i mogła ona być bardzo efektywna, uczniów i nauczycieli po prostu oszukano. Ogłoszono mianowicie, szalenie przydatne w przygotowaniach maturzystów i ósmoklasistów, egzaminy próbne. Pomocą miało być ich profesjonalne przygotowanie przez CKE. Niestety, okazało się, że są to praktycznie już znane większości zdających stare arkusze z terminów „awaryjnych" i poprawkowych (czerwiec i sierpień), w których zmieniono daty i tytuły na pierwszych stronach. Nie było ich wprawdzie na oficjalnej stronie CKE, ale na stronie Arkusze.pl znajdowały się od dawna. Tymczasem prawie wszystkie efekty treningowe próbnego egzaminu osiąga się, pracując na arkuszu do tej pory nieznanym.

Również organy samorządowe nauczycieli nie rozpieszczały. Po pierwsze, zwielokrotniły swoje apetyty sprawozdawcze, za którymi rzadko szła pomoc. Po drugie, ich reakcja była szalenie chaotyczna. W stolicy Biuro Edukacji najpierw (i bardzo dobrze!) przekazało szkołom poradnik o zdalnym nauczaniu, tyle że jedynym wspomnianym w nim (i to tylko jako przykład!) narzędziem pracy zdalnej była platforma Zoom. Szkoły i nauczyciele wdrażali więc samodzielnie i bez pomocy co kto mógł i co mu pasowało. Przyzwyczajali i przyuczali też uczniów oraz rodziców, zdobywając – o co trudno w czasach pandemii – pisemne zgody tych drugich na zarejestrowanie pociech w różnych narzędziach internetowych itp.. Po sześciu tygodniach dowiedzieli się 24 kwietnia br. z triumfalnej konferencji prasowej prezydenta Warszawy Rafała Trzaskowskiego oraz jego odpowiedzialnej za edukację zastępczyni, że… miasto od dwóch lat (!), a więc jeszcze od poprzedniej kadencji, pracowało nad wyborem narzędzi informatycznych dla stołecznych szkół. No i właśnie czeka nas lada chwila podpisanie umowy z firmą Microsoft na wdrożenie we wszystkich stołecznych placówkach oświatowych do końca roku 2020 pakietu Office 365. Co oznaczało, że ci wszyscy, również uczniowie i ich rodzice, którzy, z braku stosownej informacji w odpowiednim terminie, zainwestowali ogromną ilość czasu i wysiłku w opanowanie innych narzędzi zdalnej pracy, obudzili się z ręką w nocniku. Wszystko będą musieli zacząć od początku…

Zmiany wprowadzone pod pretekstem pandemii mogą pozostać jako jej największy negatywny skutek.

Pomysł na oszczędzanie

Wreszcie, co należy odnotować ze smutkiem i obawą, zarówno MEN, jak i samorządy, korzystając z pandemii, podjęły próby wprowadzenia daleko idących oszczędności, ograniczania praw pracowniczych nauczycieli oraz narzucania im jako obowiązków rzeczy, które do tej pory były albo dodatkowo wynagradzane, albo realizowane dobrowolnie przez niektórych. Tak jest np. z konsultacjami dla maturzystów. Tak było z zablokowaną przez lewicowych posłów próbą pozbawienia nauczycieli w jednej z tarcz antykryzysowych praw urlopowych. Rykoszetem obrywają przy okazji ich podopieczni – straszeni obniżeniem zarobków przy niedostatecznym „dokumentowaniu" własnej pracy nauczyciele zabezpieczają się odpowiednio obfitymi, czasem wręcz kuriozalnymi, pracami wykonanymi przez uczniów.

Samorządowcy za to, posługując się efektem spowodowanego pandemią odroczenia części wpływów podatkowych w ostatnich dwóch miesiącach, próbują takie straty ekstrapolować na cały rok. Stanowi to argument na rzecz cięcia do kości akurat wydatków edukacyjnych, które jako znacząca pozycja w budżecie stanowią łatwy łup. Warszawa np. oszacowała przewidywany spadek dochodów na aż 2 mld zł (czyli ponad 10%) z 19-miliardowego budżetu. To tak, jakby miasto miało nie osiągnąć ani złotówki wpływów przez grubo ponad miesiąc. Zamiast redukować czy przesuwać w czasie inwestycje w niektóre mury, poszukać źródeł zwiększenia wpływów, przeprowadzić redukcję różnych pseudoprestiżowych wydatków, postanowiło *gros* oszczędności znaleźć w pozycji największej, czyli edukacji, bo to najprostsze rozwiązanie. Tyle że oszczędzanie na edukacji, szczególnie w tym momencie, to oszczędzanie na własnych dzieciach. Zresztą jeszcze przed pandemią, od początku nowej kadencji, takie cięcia, często zaskakujące, się zaczęły. Wprowadzono np. opłaty dla uczestników imprez typu „Lato/Zima w mieście".

MEN i samorządowcy mają też wspólny niestety pomysł na oszczędności i brak nauczycieli. To większe klasy i wyższe pensum. Z tym że, jak już pisałam na łamach PRZEGLĄDU (nr 25/2019), ta recepta w bogatych wielkich miastach to droga do likwidacji w nich, szczególnie w stolicy, publicznej oświaty. Skoro już dziś brakuje tam nauczycieli, zwłaszcza pewnych specjalności, to tym bardziej ich nie będzie po pogorszeniu warunków pracy (klasy jeszcze większe od obecnych 36-osobowych molochów) i płacy (wyższe pensum to niższa stawka godzinowa) – mają dokąd odejść. Inaczej będzie w „mateczniku PiS", Polsce gminno-powiatowej. Przy czym zmiany wprowadzone pod pretekstem pandemii niekoniecznie muszą zniknąć wraz z nią – mogą pozostać jako jej największy na dłuższą metę negatywny skutek.

Małgorzata Żuber-Zielicz jest przewodniczącą Komisji Edukacji Rady m.st. Warszawy z lat 2006-2018, byłym wieloletnim nauczycielem i wicedyrektorem LO im. Mikołaja Kopernika, dyrektorem LO im. Stefana Batorego w Warszawie, nauczycielką fizyki

eprasa.pl 1bef8a9bc8

Rozmawia Tomasz Miłkowski

Teatr bez dramatu nie miałby sensu

Jeżeli przyjdzie widownia, będziemy na nią czekać

TADEUSZ SŁOBODZIANEK
– dyrektor naczelny i artystyczny Teatru Dramatycznego m.st. Warszawy

Teatr Dramatyczny m.st. Warszawy, jak nazwa wskazuje, kultywuje wystawianie dramatów. Nadal pan wierzy w dramat?

– Wierzę. Dlaczego coś miałoby się zmienić? Układanie dramatów to moje podstawowe zajęcie. Bez dramatu teatr od 2,5 tys. lat nie miałby sensu. To dramat w różnych epokach nadawał teatrowi formę, a nie odwrotnie. Teraz też, choć forma jest inna, bo zmienia się postrzeganie świata. Ale bez konstrukcji nie powstała żadna dekonstrukcja, może najwyżej powstać destrukcja.

Połączenie Dramatycznego, Teatru na Woli i Sceny Przodownik wywołało rozmaite reakcje. Mówiono o powstaniu koncernu. A pan dał przepis: trzeba wystawiać na małej scenie na 100 widzów sztuki kameralne, na średniej obliczone na 200-300 osób, na dużej sztuki na 500 osób. Repertuar dostosowany do skali widowni. Sprawdziło się?

– Do tej pory tak. Mamy różnorodny repertuar, od mainstreamowej klasyki i musicalu do spektakli nieomal interwencyjnych, ale nasi widzowie akceptują taki rozstrzał, kochają aktorów w rozmaitych rolach i często ktoś, kto był na „Hamlecie", ogląda także „Naszą klasę" i zachwyca się „Miłością od ostatniego wejrzenia".

Skoro teatr dysponuje wieloma scenami, to może chodzi tam różna publiczność? Czy sceny adresują premiery do innej widowni?

– Tak, abstrahując od tematyki, mamy przedstawienia na dużej scenie, które wyróżniają się rozmachem i teatralnością stylu, muzycznością i poczuciem rytmu, nieukrywające, że teatr to teatr, i wchodzące w interakcję z widownią, ale również kameralne przedstawienia psychologiczne, bazujące na wrażliwości i osobowości aktorów, które gramy na małych scenach. Kluczem są aktorzy, którzy osiągają mistrzostwo w rozmaitych formach, bawią i uczą, sami przy tym rozwijając się i dobrze bawiąc.

Kim zatem jest idealny widz Teatru Dramatycznego?

– Widownia, poza wiernymi widzami, którzy cenią w teatrze dobrą literaturę, rozumną reżyserię i ekscytujące aktorstwo, doceniają brak tez ideologicznych, estetycznych czy moralnych, z roku na rok młodnieje i utożsamia się z zespołem aktorskim, w którym zaczyna dominować młode pokolenie.

Scena Przodownik, wcześniej nazwana przez pana Laboratorium Dramatu, była wylęgarnią talentów dramaturgicznych. Czy Dramatyczny zabiega o debiuty autorów?

– Trzymamy rękę na pulsie. Laboratorium Dramatu intensywnie działa. Dramaturgia współczesna jest wciąż silnie obecna w naszych działaniach warsztatowych i repertuarowych. Mam nadzieję, że po pandemii, podczas której wszyscy mamy nowe przemyślenia, nastanie czas na ich twórcze przetworzenie i że podzielimy się nimi z widownią.

Za pańskiej dyrekcji Dramatyczny wrócił do roli organizatora Warszawskich Spotkań Teatralnych. To splendor czy przypomnienie, że w nazwie jest Warszawa?

– Splendor i przypomnienie, że to festiwal dla widowni warszawskiej. Staramy się sumiennie wywiązywać z tego zadania. Pokazujemy w Warszawie wszystko, co w Polsce najlepsze w danym sezonie.

Dramatyczny odziedziczył po Teatrze na Woli międzynarodowy festiwal mimu. Wygląda on jednak na dziecko niechciane i niedożywione.

– Teatr Dramatyczny, podobnie jak Teatr na Woli, nie był podmiotem organizacyjnym festiwalu mimu, wspieraliśmy go głównie logistycznie. Podmiotem festiwalu jest Centrum Pantomimy, które w osobie Bartka Ostapczuka stara się pokazywać to, co w światowej pantomimie jest najwartościowsze. A co jest? To pytanie do Pana Boga, nie sądzi pan?

Czy kształt programowy teatru da się utrzymać, jeśli Dramatyczny utraci Scenę na Woli? Pandemia oddaliła tę perspektywę, ale zamiary ratusza zostały ujawnione – Teatr na Woli ma się stać siedzibą Teatru Żydowskiego.

– Proszę o następne pytanie.

Doświadczenie kwarantanny odciśnie piętno na teatrach?

– Chciałbym być prorokiem, ale nie potrafię wróżyć z fusów. Kwarantanna dotyczy widzów, a nie teatru. Teatr w historii przeżył różne kwarantanny, o ile widzowie je przeżyli. Jesteśmy przygotowani na różne scenariusze. Wierzę jednak, że teatr z dużą widownią, pełen światła, muzyki i gwaru, z publicznością spragnioną śmiechu, łez i myśli, nigdy nie stanie się niepotrzebny. Jeżeli przyjdzie widownia, będziemy na nią czekać. ■

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 1bef8a9bc8

Bohaterowie rozstawiają mnie po kątach

Czego można się nauczyć od dzieci z autyzmem

PIOTR STASIK
– reżyser, scenarzysta, autor zdjęć i montażysta filmów dokumentalnych

Rozmawia Mateusz Demski

W twoim nowym filmie „Odmienne stany świadomości" oglądamy codzienność dzieci z autyzmem. Dlaczego akurat temu tematowi poświęciłeś kilka lat pracy?

– Pierwszym impulsem była lektura książki „Urodziłem się pewnego błękitnego dnia" Daniela Tammeta. To sawant, u którego zdiagnozowano zespół Aspergera. Posługuje się on 11 językami. Potrafił wyrecytować z pamięci 22 514 cyfr liczby pi po przecinku, co zajęło mu pięć godzin i dziewięć minut. Najbardziej jednak poruszył mnie opis tego, w jaki sposób ten człowiek potrafi liczyć w pamięci. Widzi kształty, kolory, a nawet faktury liczb, które następnie łączy w całe, dające się opisać krajobrazy i tak w jego głowie powstaje wynik matematycznego działania. Jak to możliwe, że osoba, której mózg zbudowany jest tak jak u innych, potrafi myśleć w taki sposób? Czy to kwestia specjalnej budowy układu nerwowego? I czy my, ludzie neurotypowi, możemy się otworzyć na tego typu sposób myślenia i postrzegania świata?

I jak próbowałeś sobie na te pytania odpowiedzieć?

– Przez ponad dwa lata spotykałem się z osobami z autyzmem z całej Polski. Czytałem mnóstwo książek i zgłębiałem temat. Okazało się, że wielu genialnych ludzi świata nauki czy sztuki miało zaburzenia autystyczne. Być może rozwój ludzkości i wiele wynalazków to w ogromnej mierze zasługa osób, których mózg był autystyczny. I może każdy z nas potrzebuje cząstki autyzmu, żeby poszybować wyżej. Ale w pewnym momencie definicje, teorie, statystyki i badania naukowe okazały się niekompletne.

Niech zgadnę, trudno opisać osoby ze zdiagnozowanym spektrum autyzmu.

– Oczywiście, naukowcom nie udało się dotąd odkryć, skąd autyzm się bierze i na czym dokładnie polega. Wiemy tylko, że w jakimś stopniu jest dziedziczny i że stoi za nim inna budowa oraz praca mózgu. Poza tym spektrum zaburzeń i cech autystycznych ma bardzo zróżnicowany charakter. Czasem pośród autystów możesz spotkać drugiego Einsteina – taki obraz rozpowszechnił m.in. film „Rain Man" z Dustinem Hoffmanem. Utrwala on jednocześnie stereotypy, że każdy autysta jest jednostką nieprzeciętnie utalentowaną. Tymczasem tak samo rzadko geniusza spotyka się wśród autystów, jak i wśród osób neurotypowych. Autyzm często współwystępuje z upośledzeniami. Takie osoby mają wówczas problemy z najprostszymi, codziennymi czynnościami. Są też tacy, z którymi nie ma praktycznie żadnego kontaktu, którzy nie reagują na nic. Nie da się do autystów przyłożyć jednej miary, nie da się zauważyć prostych prawidłowości. Każdy jest po prostu inny.

Zapewne przekonałeś się o tym w trakcie niemal trzyletniej podróży po kraju i podczas wizyt w ośrodkach terapeutyczno-edukacyjnych dla dzieci i młodzieży. Dlaczego obserwacje zawęziłeś do niepełnoletnich autystów?

– Początkowo myślałem o bohaterach w różnym wieku. Pomysł ewoluował jednak z kilku powodów. Problem z dotarciem do dorosłych osób z autyzmem w Polsce polega m.in. na tym, że albo w ogóle nie zostały prawidłowo zdiagnozowane we wczesnym dzieciństwie, albo spotkały się z nieakceptacją i nabrały poczucia, że nie są traktowane jako pełnoprawni członkowie społeczeństwa. To powoduje, że często są w sposób skrajny wyizolowane z otoczenia, następnie popadają w depresję, a nawet odbierają sobie życie, co jest wśród nich jedną z najczęstszych przyczyn przedwczesnej śmierci. Dla mnie i współtwórczyni filmu, Doroty Wardęszkiewicz, najważniejsze było jednak to, że autyzm u dzieci – jak wiele innych kwestii i zjawisk – objawia się w czystszej formie.

Na pytanie, co jest najważniejsze w życiu, dziewczynka z autyzmem odpowiada: żeby być sobą, przestać udawać.

Piotr Stasik – autor głośnych, nagradzanych na międzynarodowych festiwalach dokumentów, m.in. „7 x Moskwa" (2005), „Koniec lata" (2010), „Dziennik z podróży" (2013), „Opera o Polsce" (2017), a także filmowych portretów Agnieszki Holland, Wojciecha Marczewskiego i Andrzeja Wajdy. W 2016 r. otrzymał nominację do Europejskiej Nagrody Filmowej za dokument „21 x Nowy Jork".

eprasa.pl 1bef8a9bc8

Ale jednocześnie kontakt z dzieckiem wymaga chyba większej cierpliwości, uwagi i czułości. Dziecko łatwiej skrzywdzić niż dorosłego.

– Tak, dlatego zależało mi na unikaniu wszelkich ekstremów, sytuacji granicznych. Zrezygnowałem np. z filmowania przypadków samodestrukcji i nieobliczalnych wybuchów autoagresji. Kilkakrotnie spotkałem dzieci, które wpadały w szał, okaleczały siebie i innych, ponieważ nie mogły wytrzymać nadmiaru bodźców. Ich opiekunowie wytłumaczyli mi, że to kwestia nadwrażliwości. Że dla niektórych autystów zwykły dźwięk może być zbyt głośny, zwykłe światło zbyt jasne, a zwykłe ubrania zbyt szorstkie, co może powodować trudny do wytrzymania ból. Prowadzi to do wycieńczenia psychicznego nie tylko dzieci, ale i rodziców. Nie chciałem epatować cudzym cierpieniem. Szukałem raczej momentów, gdy te dzieci mogą być sobą. Do tego doszły zwykłe, nieskrępowane rozmowy przed kamerą. Ja występuję w nich tylko jako nudny przedstawiciel społeczeństwa. To bohaterowie rozstawiają mnie po kątach.

Zadajesz im proste pytania: czym się interesujesz, co lubisz robić? Gdzie się widzisz za kilkanaście lat? A niektóre odpowiedzi przybierają naprawdę zaskakujący ton. Na pytanie, co jest najważniejsze w życiu, dziewczynka odpowiada: żeby być sobą, przestać w końcu udawać. Inny chłopak mówi do kamery, że chce zostać fizykiem kwantowym. Te dzieci charakteryzuje niezwykła dojrzałość i ciekawość świata.

– I tego od samego początku się spodziewałem. Nasz świat w porównaniu ze światem małych autystów okazywał się o wiele uboższy, przepełniony schematycznym myśleniem i stereotypami. Dzieci, które poznałem, cechowały się twórczym i intelektualnym fermentem, zaskakującym poczuciem humoru. Wiele miało ogromną wiedzę albo przejawiało ciekawe umiejętności – czytały o astronomii, fascynowała je fizyka kwantowa, improwizowały na instrumentach własne utwory. Po spotkaniach z nimi pomyślałem, że artyści, których powszechnie uznajemy za ludzi poszukujących, przekraczających granice, wydają się banalni i ograniczeni. I że moglibyśmy od autystów wiele się nauczyć, gdybyśmy potrafili na nich się otworzyć.

Ty taką lekcję odebrałeś?

– Rozmowy i obcowanie z osobami z autyzmem pozwoliły mi wejść w rejony, do których nie miałem wstępu, i otworzyły na inne rodzaje myślenia. Zauważyłem, że pewien rodzaj izolacji, za którym idzie wyciszenie i odcięcie się od zbyt głośnego świata, pozwolił autystom uchronić się przed ograniczeniami społecznymi, którym my ulegamy na co dzień. A co za tym idzie, wyzwoliły ich potencjał intelektualny. Na ludziach ciążą schematy działań, które czasem ułatwiają i przyśpieszają podejmowanie decyzji, ale też często nas ograniczają. Do tego jesteśmy atakowani przez tysiące sygnałów, pędzimy, nie potrafimy się zatrzymać w natłoku obowiązków. Kontakt z osobą autystyczną pozwala zmienić perspektywę. To takie warsztaty z odkrywania nowego siebie.

W filmie pada nawet zdanie: kiedy ktoś nauczy się dostrzegać charakterystyczne objawy autyzmu, dojdzie do wniosku, że wcale nie są one rzadkie w społeczeństwie.

– Powinniśmy wykazać coś więcej niż tylko zrozumienie. Większość z nas albo izoluje, albo próbuje przystosować osoby autystyczne do naszego życia. Tymczasem efektem ubocznym takich działań często jest zagłuszenie tego, co w autyzmie najcenniejsze. Może powinniśmy zrobić coś odwrotnego – nie próbować na siłę zmieniać osób z autyzmem, za to zmienić nastawienie, tak by dostosować nasze życie do nich. Podążać za nimi. Może wtedy czegoś się nauczymy, odnajdziemy kontakt z autystami, a jednocześnie wyciągniemy wnioski, takie jak ten z przytoczonych przez ciebie słów Steve'a Silbermana. W książce „Neuroplemiona. Dziedzictwo autyzmu i przyszłość neuroróżnorodności" pisze on o kumulacji osób autystycznych w środowisku mieszkańców Doliny Krzemowej, ale i o tym, że autyzm może się ujawniać wszędzie. Dzisiejsza diagnostyka każe sądzić, że prawdopodobnie wielu z nas jest autystami, a przynajmniej nosi w sobie część zaburzeń ze spektrum autyzmu.

Można powiedzieć, że po tym filmie sam obudziłeś w sobie autystę?

– Nawet zrobiłem sobie test, bo byłem przekonany, że sam jestem autystą. Wynik wyszedł negatywny, ale podejrzewam, że jakiś kawałątek autyzmu we mnie jest. Zresztą jak w każdym z nas. ■

Kumulację osób autystycznych mamy w Dolinie Krzemowej.

Premiera „Odmiennych stanów świadomości" odbędzie się w ramach 60. Krakowskiego Festiwalu Filmowego, który trwa do 7 czerwca. Film będzie można obejrzeć online 2, 4 i 6 czerwca (www.krakowfilmfestival.pl).

FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 1bef8a9bc8

ZAGRABIĆ I WYCISNĄĆ

We wstępniaku z 22. numeru tygodnika PRZEGLĄD red. Jerzy Domański słusznie zauważa, że społeczeństwo ma „bardziej dla siebie dokuczliwe problemy niż stan mediów” czy sądów. Skąd się wzięły jednak te problemy? Sam felieton jest pisany z perspektywy pięcioletnich rządów PiS, tylko skąd się wzięły te rządy? Dlaczego zwykli ludzie mają gdzieś stan mediów i sądów?

MÓJ PRZEGLĄD
Jerzy Domański
Zagrabić i wycisnąć

Od zmiany systemu mamy do czynienia z antyspołecznymi rządami, niezależnie od tego, z której strony sceny politycznej są partie będące u władzy. Liberałowie (począwszy od Andrzeja Olechowskiego, na Donaldzie Tusku kończąc) mówią o obniżaniu podatku, po czym, przejmując władzę, podnoszą najbardziej uderzający w szarego człowieka podatek, czyli VAT.

A lewica? Czy w Polsce od zmiany systemu jest w głównym nurcie jakaś lewica? Była nią kiedyś Unia Pracy, ale stopiła się z SdRP czy SLD i przestała nią być. A sam SLD (SdPR)? Lewica? No bez przesady. Te neoliberalne kościółkowe przydupasy miały 40-procentowe i rosnące w latach 90. poparcie społeczne, które na własne życzenie straciły.

Owszem, oni przecież zawsze ładnie się wypowiadali (prof. Joanna Senyszyn i mec. Ryszard Kalisz brylowali w mediach), zauważali problemy, ale... po czynach ich poznacie! Posłowie SLD/SdRP nawet jako opozycja wstrzymywali się od głosu, a nie byli przeciw, gdy kilka czy kilkanaście lat temu w Sejmie była głosowana jakaś ustawa ważna z lewicowego punktu widzenia. Unia Pracy na tym przegrała i straciła poparcie. A dziś?

Ucieszyłem się pięć lat temu z powstania i zdobycia pewnego poparcia przez partię Razem. Głosowałem wówczas na nią w wyborach do Sejmu, w wyborach do Parlamentu Europejskiego, ale w ostatnich do polskiego parlamentu już nie. Dla mnie przegrała, bo związała się właśnie z SLD. Dlaczego?

Owszem, fajnie słucha się pana Czarzastego, kiedy skutecznie wypunktowuje wady PiS (swoją drogą, czasem dobrą diagnozę ma Korwin-Mikke, choć złe lekarstwo na nią), ale – znowu – po czynach ich poznacie. A SLD rządził dwa razy i zdążyłem tych ludzi poznać! Nie tylko ja, bo i całe społeczeństwo. Dlatego roztrwonili wysokie poparcie.

Jest jeszcze Wiosna, ale to cwaniaczki, które uciekły z tonącego okrętu, jakim był SLD, i założyły nową partię (coś jak PO powstała z Unii Wolności).

PiS rządzi dlatego, że rządzili pseudolewica i neoliberałowie mający gdzieś polskie społeczeństwo i jego problemy, więc proszę się nie dziwić, że społeczeństwo ma gdzieś problemy sądów i mediów, gdyż w końcu ktoś zwykłe ludzkie problemy zauważył (i ludzie mają chyba niestety gdzieś, że 500+ dostają także bogaci). Mam lewicowe poglądy i jest mi po prostu smutno, że nie mam na kogo głosować.

Piotr Robecki

JAKOŚ MUSIMY TO PRZETRWAĆ

Autor tekstu „Jakoś musimy to przetrwać” (PRZEGLĄD nr 22) pisze, że górnicy stoją przed wyborem: albo zdrowie, albo praca. Z tym wyborem to bez przesady, bo wyjdzie, że górnicy tracą pracę i nie mają co jeść. Górnicy to oczko w głowie każdej władzy. Zawsze narzekają – podobnie jak co roku górale na brak turystów lub że pogoda nie taka. O przedsiębiorców, którzy są dojną krową, jakoś nikt się nie martwi, a te tarcze to takie dawanie, żeby nie dawać. Tak komplikuje się i utrudnia procedury, że wcześniej firmy padną, niż dostaną wsparcie. Testy zrobiono górnikom przed protestami w Warszawie, żeby nie przyjechali w ramach poparcia. Tak się stało, stwierdzono zachorowania, górnicy przeprosili i nie przyjechali ze wsparciem protestu przedsiębiorców. Przedsiębiorców policja może pałować i traktować gazem, z górnikami byłby problem i różne reperkusje. Bo górników trzeba szanować, a prywaciarzy nie. Mają płacić podatki i nie dyskutować, a jak się nie podoba lub plajtują, to znaczy, że się nie nadają do tego.

Jakoś musimy to przetrwać

Zygmunt Białka

NIEWIARYGODNE ZAPEWNIENIA DUDY

Jednym z haseł w wystąpieniu prezydenta Dudy wygłoszonym w związku z wyborami było zapewnienie, że jego formacja polityczna nigdy nie odbierała i nie odbierze w przyszłości tego, co już dała. Takie konkretne postawienie sprawy zrobiło wrażenie, tylko że w moim wypadku zabrzmiało ono niewiarygodnie. Jestem emerytowanym funkcjonariuszem milicji i później policji z 40-letnim stażem. Przekształcałem rzeszowski oddział ZOMO w oddział prewencji i dowodziłem nim do 2006 r., gdy przeszedłem na emeryturę. Już po transformacji byłem wielokrotnie wyróżniany i nagradzany za dokonania służbowe. Po uchwaleniu tzw. ustawy dezubekizacyjnej zostałem niesłusznie pozbawiony przez ministra spraw wewnętrznych znacznej części emerytury. Nigdy w formacjach objętych tą ustawą nie służyłem, odwołałem się zatem i po dłuższym rozpatrywaniu wiceminister Jarosław Zieliński przywrócił mi pełnię praw emerytalnych. Nastąpiła zmiana na stanowisku ministra spraw wewnętrznych. W „Rzeczpospolitej” ukazała się nieprawdziwa publikacja, że jako dowódca rzeszowskiego oddziału ZOMO dowodziłem czymś w pacyfikacji kopalni Wujek. Reakcja ministra Kamińskiego była natychmiastowa, ze złośliwym komentarzem, że ten, kto strzelał do górników, nie może jeść szynki z masełkiem. Prawomocną już decyzję wiceministra Zielińskiego minister najpierw zamroził, a później odwołał. Wszystko na podstawie kłamliwej publikacji. Wyjaśniam, że podczas pacyfikacji w kopalni Wujek do nikogo nie strzelałem i nikim nie dowodziłem. Wystarczy poczytać raport komisji Rokity i kilka innych źródeł książkowych. W dodatku wówczas przebywałem na zwolnieniu lekarskim, gdyż uległem poważnej kontuzji dłoni. W jaki sposób mógłbym strzelać? Z tego wynika, że formacja pana Dudy wpierw dała, a później całkowicie bezzasadnie odebrała należne mi świadczenia emerytalne. Podjąłem stosowne kroki prawne wobec ministra Mariusza Kamińskiego i dziennika „Rzeczpospolita”.

Bronisław Buniowski

eprasa.pl 1bef8a9bc8

MIĘDZY OKŁADKAMI

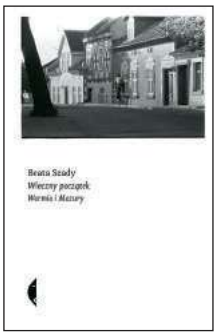

Beata Szady
Wieczny początek. Warmia i Mazury
Czarne, Wołowiec 2020

Nazywane są cudem natury. Dziś przyciągają rzesze turystów, ale kilka dekad temu były miejscem, które opuszczało się z niczym lub do którego przyjeżdżało się z pustymi rękami. Opowieść Beaty Szady pozwala spojrzeć na Warmię i Mazury z zupełnie nieturystycznej strony. Reportaże, z których składa się książka, to przenikliwe studium tożsamości, historia relacji polsko-niemieckich i traktat o małej ojczyźnie. Szady oddaje głos tym, którzy „wiecznie musieli zaczynać od początku", pokazuje nieoczywistość tych pięknych ziem, podważa bezpieczne definicje. Bo przecież można mówić po polsku i czuć się Niemcem. Można być katolikiem i walczyć o protestanckie dziedzictwo regionu. „Wieczny początek" to świetna lekcja intymnej, ludzkiej historii pojedynczych osób, których losy pozmieniała machina wojenna.

Rafał Pikuła

KURTYNA W GÓRĘ

CHÓRALNA MANIFA

To bardzo mocny spektakl-koncert z udziałem kilkudziesięciu kobiet. Wykonują one utwór chóralny, który ma korzenie w średniowiecznej modlitwie maryjnej, o tym jak Matka Boska wyrażała radość przy Zwiastowaniu. W wykonaniu Chóru Kobiet uroczysta pieśń zmienia się w manifest, żywiołowy protest przeciwko zakłamaniu i przemocy, jaką Kościół nakłada na kobiety. Rytmiczne skandowanie tekstów, nie tylko biblijnych, zmienia się w ostry krzyk, pełne gniewu ruchy i gesty, autorka tego utworu bowiem zdaje sobie sprawę, że granice tolerancji i spokoju w sprawach kobiet zostały brutalnie przekroczone. Możemy podziwiać perfekcyjne przygotowanie głosowe, muzyczne i ruchowe śpiewaczek-performerek pod kierownictwem Marty Górnickiej, ale to energia protestu zdaje się decydować o sile tego wielokrotnie nagradzanego dzieła.

Bronisław Tumiłowicz

„Magnificat", Chór Kobiet, reżyseria Marta Górnicka, premiera rejestracji filmowej spektaklu na platformie TheTheatreTimes.com 24 maja 2020

KULTURALNE DZIECI

JABŁKO I SZCZYPIOR
reż. George Gendi, prod. USA, Cartoon Network, codziennie o godz. 14.45 i 17.30

W „Jabłku i Szczypiorze" pojawiają się aktualne tematy gentryfikacji, wegetarianizmu czy ekologii, ale podane są w zupełnie innym tonie niż w mediach. Zamiast mówienia, komu na promocji takich wartości zależy, dostajemy historyjki, dzięki którym dzieciaki mają okazję przekonać się, jak są zespolone z planetą i jak na nią oddziałują. Jeśli coś tu się promuje, to zdrowy tryb życia i namysł nad tym, co nas otacza. Jabłko i Szczypior muszą się odnaleźć w miejskiej rzeczywistości, a także zdefiniować siebie i swoją rolę w świecie, oswoić strach przed obcymi i przekonać się, że wspólnymi siłami można więcej. Dodatkową wartością jest temat fake newsów: naiwni bohaterowie muszą wyposażyć się w narzędzia, które umożliwią im weryfikację komunikatów, którymi bombarduje ich miejska dżungla. Walory edukacyjne nie zamieniają jednak produkcji w dydaktyczną lekcję. Atrakcyjność scenariusza i radość z przygód bohaterów są tu wartościami nadrzędnymi.

Artur Zaborski

SPONGEBOB KANCIASTOPORTY
prod. USA, Nickelodeon Polska, odcinki specjalne 6 i 7 czerwca, godz. 19.35

Postaci SpongeBoba nikomu przedstawiać nie trzeba. Gąbkokształtny bohater od ponad 20 lat ujmuje młodych widzów nieposkromioną radością z odkrywania świata. I tym, że cały czas ładuje się w kłopoty. W specjalnych odcinkach z okazji Dnia Dziecka oglądamy nowych druhów, którym próbuje naprawić życie. Zwłaszcza odcinek o małym klaunie, którego SpongeBob spotyka w cyrku, oddaje ducha animacji. Bohater na siłę próbuje uszczęśliwić klauna, znajdując mu coraz to nowe miejsca pracy – co oczywiście kończy się katastrofą – a dzieciaki dostają piękny morał, że innych trzeba zaakceptować takimi, jakimi są, a nie formatować pod własne standardy. To dzisiaj przesłanie bezcenne. Choć przez dwie dekady zmieniła się technologia, prostota animacji, której twórcą był Stephen Hillenburg, nie trąci myszką. Wyrazista, pełna kolorów i odjechanych stworków produkcja jest dowodem, że niczym nieskrępowana wyobraźnia nie poddaje się korozji.

Artur Zaborski

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 1bef8a9bc8

Przez nos do mózgu

Naukowcy z Bydgoszczy jako pierwsi na świecie wskazali, jak nowy koronawirus może uszkadzać zmysł węchu

Rozmawia Małgorzata Szczepańska-Piszcz

Jak się okazało, objawami zachorowania na COVID-19 są nie tylko wysoka gorączka, duszności i kaszel. Niekiedy dołączają do nich utrata węchu i smaku. Jak często?

– Na zaburzenia oddechowe, które prowadzą czasem do ciężkiego zapalenia płuc, zwrócono uwagę w pierwszej kolejności. Były oczywiste. Ale szybko, już po miesiącu czy dwóch od wybuchu pandemii, zorientowano się, że są też inne objawy. Po pierwsze, skórne, np. dziwne, ospopodobne wysypki. Po drugie, pokarmowe, np. biegunki czy zaparcia. I po trzecie, właśnie neurologiczne – m.in. utrata węchu i smaku. Na tych ostatnich skupiono się bardziej, bo o ile skórne i pokarmowe ustępują – jak się wydaje – bez powikłań, o tyle neurologiczne mogą prowadzić do skutków bardzo poważnych, długookresowych. Ostrożnie szacuje się, że utrata węchu i smaku dotyczy od jednej trzeciej do dwóch trzecich zachorowań na COVID-19. Niektórzy twierdzą, że może wystąpić nawet u 90% pacjentów.

Na jakim etapie choroby występują objawy neurologiczne?

– Zaburzenia smaku i węchu – bardzo szybko. Przypuszcza się, że można je uznać za jeden z biomarkerów wczesnego wykrywania choroby. Warto wspomnieć, że w kwietniu WHO oficjalnie uznała utratę węchu i smaku za jeden z istotnych symptomów zakażenia nowym koronawirusem. Ale są również inne, nieco późniejsze objawy, np. zaburzenia świadomości, depresje, nawet delirium. Lekarze już wskazują, że wśród pacjentów z COVID-19, szczególnie u tych młodszych, częściej dochodzi do udaru mózgu.

Utrata węchu i smaku jest całkowita czy częściowa?

– Ludzie reagują dwojako. Anosmia, czyli całkowita utrata, jest rzadsza i dotyczy ok. 20-30% chorych, a hiposmia, częściowa utrata, występuje dwa razy częściej.

Dochodzi do blokowania czy uszkodzenia węchu i smaku?

– Dobre pytanie. Bo to w istocie pytanie o mechanizm wnikania wirusa SARS-CoV-2 do układu węchowego. Wiemy od lat, że niektóre szczepy wirusa grypy także upośledzają węch, ale nikt dotąd tego dokładnie nie badał. Dlatego nie wiemy, jaka jest przyczyna upośledzenia. Przyjmuje się roboczo, że w grypie tracimy węch tylko na skutek dużych ilości wydzielin, które mechanicznie blokują drogi oddechowe. Natomiast przy zakażeniu nowym koronawirusem w wielu przypadkach o blokowaniu fizycznym nie ma mowy, ale zaburzenia węchu występują. Stało się to dla mnie jasne już w styczniu, gdy sprawdzałem relacje pacjentów z Chin, Korei i Włoch. Dziś, gdy udało się nam poznać prawdopodobny mechanizm, wiemy, że dochodzi do uszkodzenia konkretnych komórek układu węchowego.

Jaki jest ten mechanizm?

– Nie mogliśmy pracować z infekcyjnym wirusem, bo wymagałoby to dostępu do laboratorium mającego najwyższe i kosztowne zabezpieczenia. A UMK, mimo statusu uczelni badawczej, takim laboratorium nie dysponuje. Nawet gdy trzeba kupić odczynniki za parę tysięcy złotych, to też jest problem. Dlatego przyjęliśmy odmienną strategię. Na podstawie danych naszych i innych, dostępnych w publicznych bazach, przeprowadziliśmy analizy pod kątem receptorów wirusa SARS-CoV-2 koniecznych do wniknięcia do ludzkich komórek. Wielu lekarzy podejrzewało, że koronawirus przenika do neuronów węchowych, ale my szybko postawiliśmy na komórki nieneuronalne i okazało się, że wirus rzeczywiście może łatwo przeniknąć do komórek podporowych, które są istotną częścią nabłonka węchowego.

DR HAB. RAFAŁ BUTOWT
– neurobiolog, profesor UMK z Katedry Biologii i Biochemii Medycznej Collegium Medicum w Bydgoszczy

Skąd nazwa? Te komórki coś podpierają?

– Metabolicznie podpierają czy raczej – moglibyśmy powiedzieć – wspierają neurony węchowe. Neurony węchowe bez komórek podporowych nie są w stanie prawidłowo odbierać zapachów. Można je również porównać do wątroby, która oczyszcza nasz organizm. A to dlatego, że m.in. oczyszczają wdychane powietrze z toksycznych substancji, które mogłyby uszkodzić neurony.

Wasza praca była tylko teoretyczna?

– Nie, druga część była typowo eksperymentalna. Badaliśmy myszy, które na poziomie genów i białek mają układ węchowy bardzo podobny do człowieka. Na pierwszym etapie wskazaliśmy, że najprawdopodobniej komórki nieneuronalne odpowiadają za wiązanie i namnażanie wirusa w układzie węchowym, co zawarliśmy w pierwszej pracy opublikowanej na początku kwietnia br. na łamach amerykańskiego „ACS Chemical Neuroscience". A w drugiej, wydrukowanej miesiąc później na łamach tego samego pisma, wskazaliśmy, że to komórki podporowe są infekowane przez wirusa SARS-CoV-2.

Przed wami zatem potwierdzenie eksperymentu na ludziach.

– My nie mamy takich możliwości, ale inni idą dalej naszym tropem. Wiem, że takie badania prowadzone są obecnie m.in. na amerykańskim

eprasa.pl 1bef8a9bc8

Harvardzie i w Szwajcarii. Ale mamy satysfakcję, że przez moment byliśmy w pierwszym rzędzie badaczy pracujących nad różnymi aspektami COVID-19, jako pierwsi na świecie wskazaliśmy, jak nowy koronawirus może uszkadzać u człowieka zmysł węchu. Niestety, dalej nie jesteśmy w stanie w żaden sposób dotrzymać kroku konkurencyjnym grupom badawczym. Z przyczyn organizacyjnych i finansowych. Pod ostatnią amerykańską pracą na ten temat podpisało się ok. 30 osób z Harvardu – bogatej, świetnie wyposażonej uczelni. Jak ma z nimi konkurować nasz trzyosobowy zespół, który na dotychczasowe badania nie dostał wsparcia finansowego?

To w jaki sposób przeprowadziliście część eksperymentalną?

– Finansowałem ją w dużej części z własnej kieszeni. Wydałem kilkanaście tysięcy m.in. na niektóre potrzebne odczynniki, mogę pokazać rachunki. Ale też korzystałem z własnego sprzętu, tzn. aparatów do namnażania materiału genetycznego, do produkcji wody molekularnej, do elektroforezy. Przyniosłem poza tym blok do podgrzewania próbek, wagę, pipety. Bo nie było pieniędzy, żeby kupić taki sprzęt z funduszy uczelni. Z drugiej strony prowadzenie tych badań nie byłoby możliwe, gdyby nie finansowanie z Narodowego Centrum Zdrowia uzyskane w latach 2014-2018, gdyż materiał, odczynniki oraz wyniki z tamtego projektu niezmiernie pomogły w badaniach, o których mówimy.

Może nie staraliście się aktywnie o pieniądze?

– Pisaliśmy wnioski o środki, gdzie się dało. Na razie bez rezultatu. Narodowe Centrum Nauki w czasie pandemii stworzyło szybką ścieżkę dostępu do funduszy na badania nad COVID-19. Aplikowaliśmy, ale bez powodzenia. NCN uznało badania za niewarte finansowania, argumentując, że są trudne do wykonania i zbyt skomplikowane. Trzeba jednak przyznać, że konkurencja w tym konkursie była mordercza. Spłynęło prawie 300 wniosków, a sfinansowano jedynie19.

Z UMK, który również rozdysponowywał znaczne fundusze na prace związane z pandemią, nie przyznano nam ani złotówki. Choć było to po publikacji dwóch prac na ten temat. A w konkursie złożono jedynie 14 wniosków. Dopiero po kolejnym odwołaniu, wspartym doniesieniami medialnymi na temat naszych prac i braku finansowania, uczelnia zdecydowała się przyznać nam 100 tys. zł. Niestety, wcześniej, 31 marca, kierownik katedry zwolnił mnie z funkcji kierownika zakładu genetyki molekularnej komórki, czym w zasadzie zatrzymał realizowany przeze mnie program badań.

Czy są inne prawdopodobne hipotezy, jak koronawirus SARS-CoV-2 może upośledzać węch?

– Wskazane przez nas uszkadzanie komórek podporowych jest hipotezą wiodącą. Ale nie można do końca wykluczyć innych dróg, takich jak uszkodzenie wyższych ośrodków węchowych w mózgu (gdyby wirus dotarł tam inną drogą), np. w korze mózgowej. Teoretycznie możliwa jest też nadmierna reakcja układu immunologicznego na infekcję wirusową, gdyż może ona doprowadzić do uszkodzenia niektórych narządów na zasadzie reakcji autoimmunologicznej, czyli gdy organizm niszczy własne komórki lub tkanki. Ale wtedy najbardziej zagrożeni SARS-CoV-2 byliby ludzie z najsprawniejszym układem autoimmunologicznym, czyli młodzi i w wieku średnim, a jak wiemy, COVID-19 jest najgroźniejszy dla osób starszych. Cieszy nas, że dotychczasowe prace z innych ośrodków potwierdzają naszą hipotezę badawczą.

Czy to upośledzenie węchu zawsze jest odwracalne?

– Najczęściej tak, ale nie zawsze. Pomimo że komórki podporowe regenerują się i zazwyczaj węch wraca po trzech-czterech tygodniach, niektórzy pacjenci skarżą się, że po wyzdrowieniu bodźce węchowe odbierają dużo słabiej. A zdarza się, że nie czują smaków i zapachów przez dwa-trzy miesiące. Czy na zawsze? Czas pokaże. To są tematy na nowe, pasjonujące badania. Ta skala zaburzeń węchu i przede wszystkim przedłużające się uszkodzenie zmysłu powonienia wskazywałyby na jakąś penetrację mózgu przez wirusa, czyli może dochodzić do powolnej infekcji mózgu. Możemy mieć także do czynienia z jakąś uśpioną formą wirusa, która powoli penetruje do mózgu i jest przechowywana w niektórych jego komórkach. Ten aspekt biologii SARS-CoV-2 wymaga intensywnych badań, gdyż uśpienie dotyczy najczęściej wirusów, których materiałem genetycznym jest DNA (np. wirus ludzkiej opryszczki, HSV), a ludzkie koronawirusy mają inny nośnik genetyczny – RNA.

Czyli skutki COVID-19 możemy odczuć po wielu latach?

– Możemy za rok czy kilka lat zaobserwować skokowy wzrost chorób psychicznych. Ale równie dobrze na konsekwencje możemy czekać znacznie dłużej. Wielu badaczy uważa, że wirusy grypy, opryszczki i inne wpływają na rozwój chorób neurodegeneracyjnych. Do dzisiaj nie wiemy, dlaczego w XX i XXI w. mamy tak wiele przypadków choroby Alzheimera i Parkinsona. Czy na pewno to wynik wydłużenia i zmiany stylu życia? Czy tylko dlatego, że tych chorób wcześniej nie diagnozowano?

Szacuje się, że utrata węchu i smaku dotyczy od jednej trzeciej do dwóch trzecich zachorowań na COVID-19. Niektórzy twierdzą, że może wystąpić u 90% pacjentów.

Wiele wskazuje, że infekcje wirusowe mają duży wpływ na skalę zachorowalności. Amerykanie zauważyli, że w latach 40. i 50. XX w., czyli 20-30 lat po pandemii hiszpanki, która miała miejsce w latach 1919-1920, nastąpił skokowy wzrost zachorowalności na chorobę Parkinsona. Z 1% do 2,5-3%. Po czym ta fala obniżyła się do poziomu obserwowanego obecnie. A przecież ani styl, ani długość życia Amerykanów w tym czasie zasadniczo się nie zmieniły. Dlatego powinniśmy intensywnie badać powiązania wirusa SARS-CoV-2 z układem nerwowym, szczególnie z mózgiem, gdyż negatywne skutki możemy odczuć znacznie później. Bez tej wiedzy trudno myśleć o planowaniu strategii terapeutycznych.

Czas pandemii uświadomił nam, że można żyć bez cotygodniowej dawki piłki nożnej czy skoków narciarskich, ale świat nie jest w stanie funkcjonować bez dalszych badań naukowych. Od tego po prostu zależy nasze bezpieczeństwo, gdyż jest niemal pewne, że w przyszłości będziemy mieli do czynienia z kolejnymi wirusowymi pandemiami. ■

FOT. MAŁGORZATA SZCZEPAŃSKA-PISZCZ

eprasa.pl 1bef8a9bc8

Mateusz Mazzini

Pożegnanie z wielkim biurem

Otwarte przestrzenie biurowe, pielgrzymki i spontaniczne podróże samolotem mogą przejść do historii z powodu koronawirusa

Przez wiele lat były symbolem postępu, nowatorskich rozwiązań w biznesie. Oznaczały bogactwo zasobów – materialnych i ludzkich. Imitowały pejzaż z amerykańskich filmów, zwiastując zmiany na rynku pracy. Wspólne przestrzenie biurowe, bo o nich mowa, w ostatnim ćwierćwieczu stały się synonimem miejsca pracy dla milionów osób na całym świecie. Wszyscy mieli siedzieć razem. Przekaz był prosty: burzymy ściany, niwelujemy różnice, wspólnie pracujemy na dobro firmy.

Ów *open space* stał się podstawą wielu rozwijających się gospodarek. Taki model zagospodarowania przestrzeni wykorzystują centra usług wspólnych, czyli zaplecza wielkich korporacji. Księgowi, informatycy, tłumacze, telemarketerzy – armie pracowników skumulowane w szklanych biurowcach – przestrzeni do pracy nie mieli nigdy za wiele, ale mogli się pocieszać, że chociaż sąsiad nie miał lepiej.

Z chwilą wybuchu pandemii korporacyjne miasteczka zamieniły się w miasta duchów. Globalne korporacje często szybciej niż lokalni pracodawcy wysyłały swoich ludzi do pracy zdalnej, bojąc się przyniesienia przez któregoś z nich wirusa do kilkudziesięcio- czy nawet kilkusetosobowej przestrzeni. Od prawie trzech miesięcy ludzie ci w zdecydowanej większości pracują z domów – i udowadniają, że to możliwe, a stwierdzenia o pozytywnym wpływie setek kolegów i koleżanek na kreatywność czy budowaniu wspólnych wartości firmy można włożyć między bajki. Czy oznacza to, że pandemia zabiła *open space*?

12 maja zarząd Twittera wydał oświadczenie, w którym zezwolił pracownikom na pracę z domu „na zawsze". W tekście opublikowanym na wewnętrznym blogu i rozesłanym do wszystkich zatrudnionych w spółce czytamy, że „o ile decyzja o ponownym otwarciu biur będzie należeć do nas [kierownictwa firmy], o tyle decyzja o powrocie do nich – do naszych pracowników". Autorka listu, kierująca działem HR Jennifer Christie, dodaje w nim, że do końca 2020 r. Twitter nie zamierza organizować w realu żadnych wydarzeń dla pracowników, a do września zawieszone pozostają niemal wszystkie podróże służbowe. Komentując tę decyzję, prezes Twittera Jack Dorsey stwierdził, że firma od dawna przygotowywała się do „wdrożenia zdecentralizowanego trybu pracy", a pandemia tylko to przyśpieszyła. Wysłanie wszystkich pracowników do domu 11 marca okazało się testem, który spółka zdała. Nie ma więc powodu wracać do starych rozwiązań.

7 na 10 osób boi się wrócić do swojego miejsca pracy z powodu koronawirusa.

Biorąc pod uwagę fakt, że firma zatrudnia ponad 5,1 tys. osób w 35 krajach, zezwolenie na bezterminową pracę zdalną może oznaczać wyludnienie się biur Twittera od Australii po Wielką Brytanię. Tak duże przestrzenie nie będą mu już potrzebne, więc przypuszczalnie niektóre biura zostaną przeniesione do mniejszych lokali, a inne zlikwidowane w całości. W jego ślady mogą pójść pozostali giganci technologiczni. Podobne kroki odnośnie do pracy zdalnej zapowiedziały już Google, Facebook i Microsoft. Spodziewać się ich można też po setkach tysięcy mniejszych firm informatycznych na całym świecie. Pandemia okazała się w tym sektorze gospodarki wielkim demaskatorem. Do pisania kolejnych linijek kodu czy wdrażania nowych produktów nie są potrzebne ani setki identycznych biurek, ani owocowe wtorki, ani wspólny stół do piłkarzyków.

Korporacje z Doliny Krzemowej uzasadniają swoją decyzję, przynajmniej deklaratywnie, chęcią dania pracownikom wyboru. Wiele innych podmiotów nie wróci jednak do dawnego funkcjonowania nie ze względu na nową filozofię czy

eprasa.pl 1bef8a9bc8

chęć ograniczenia kosztów stałych, ale z dużo bardziej prozaicznego powodu – przez nowe procedury bezpieczeństwa sanitarnego. Mówiąc prościej, firmy będą trzymać pracowników poza biurami lub wprowadzą rotacyjny tryb pracy, bo w przeciwnym razie w ich pomieszczeniach będzie za gęsto.

Cushman & Wakefield, jedna z największych na świecie spółek zajmujących się zarządzaniem nieruchomościami biurowymi, już teraz ocenia, ile z kontrolowanych przez nią lokali da się przeorganizować zgodnie z zasadą 6 stóp odległości. Amerykański odpowiednik 2 m dystansu pomiędzy osobami będzie według szefa firmy Bretta White'a nowym standardem w projektowaniu przestrzeni biurowych. Firma przygotowała nawet pełnowymiarową symulację takiego układu w swoim biurze w Amsterdamie. Efekt – nic, co by przypominało stary, dobry open *office*. Większe odległości między biurkami, poczekalnie bez krzeseł, szerokie korytarze komunikacyjne. White podkreśla bowiem, że bezpieczeństwo sanitarne musi być zachowane, nie tylko kiedy pracownicy siedzą przy biurkach. „Zasada 6 stóp ma zastosowanie wszędzie, gdzie ludzie mogą się stykać ze sobą, również w toaletach, ciągach komunikacyjnych. Tam też musimy zadbać o nowe, większe odległości".

Projekt jego firmy zdaje się zresztą padać na podatny grunt – w starych warunkach pracownicy mogą zwyczajnie już nie chcieć pracować. Niedawny raport centrum sondażowego Gallup w Stanach Zjednoczonych pokazał, że aż 7 na 10 osób boi się wrócić do swojego miejsca pracy z powodu koronawirusa. Dlatego razem z otwartymi przestrzeniami w biurach do historii mogą przejść jednolite pięciodniowe tygodnie pracy. Peter Miscovich z JLL, innego lidera rynku zarządzania nieruchomościami, podkreśla, że decyzje o tym, komu kazać wrócić do biura, będą decyzjami nie tylko biznesowymi, ale przede wszystkim ludzkimi. Dlatego system rotacyjny, w którym np. dwa dni spędza się w firmie, a trzy pracując z domu, jest dużo bardziej prawdopodobnym rozwiązaniem dla wielu korporacji, które dotychczas codziennie miały w swoich budynkach setki czy tysiące osób.

Wspomnienie może tylko pozostać również po innym ważnym elemencie stylu życia zwłaszcza milenialsów, czyli spontanicznych podróżach lotniczych. Rozrost strefy Schengen w Europie i upowszechnienie się tanich lotów wprowadziły nawet do pokoleniowego słownika nowy termin – *city break*, czyli miejską przerwę. Weekendowy wypad na drugi koniec kontynentu za niewielkie pieniądze, często w całości zorganizowany przez linię lotniczą. Razem z kupnem biletu wynajmujemy samochód i rezerwujemy hotel, na lotnisku pojawiamy się w piątek późnym popołudniem, wracamy w niedzielę wieczorem. Według takiego schematu podróżowały miliony turystów rocznie. Pandemia może położyć kres takim podróżom, bo koronawirus wymusi na nas wcześniejsze ich planowanie i wydłuży procedury lotniskowe.

Zarząd Twittera zezwolił pracownikom na pracę z domu „na zawsze".

W raporcie przygotowanym pod koniec kwietnia eksperci branżowego portalu SimplyFlying.com wymienili zmiany, które mogą czekać pasażerów po powrocie do latania. Z pierwszą prawdopodobnie zetkniemy się jeszcze przed dotarciem na lotnisko. Możliwe, że linie będą wymagać specjalnych dokumentów poświadczających stan zdrowia lub to, że mamy przeciwciała koronawirusa. Do terminala też będziemy musieli przybyć wcześniej niż dotychczas, bo pasażerowie będą odprawiani wolniej, w mniejszych grupach. Do procedur bezpieczeństwa dojdą sanitarne: mierzenie temperatury, przepuszczanie bagaży przez lampy UV. Na pokład wejdziemy być może dopiero po indywidualnym wywołaniu przez obsługę lub pojawieniu się notyfikacji na smartfonie, żeby uniknąć kolejki w rękawie prowadzącym do samolotu. A w środku – brak reklam i konieczność dezynfekcji siedzenia przed zajęciem go, najprawdopodobniej przerzucona na pasażera. Lekkie, łatwe i przyjemne latanie po świecie może już nie wrócić.

Do historii przejść mogą również pielgrzymki religijne, i to nie tylko w wydaniu katolickim. Znane nam widoki kilkusetosobowych grup maszerujących z krzyżem i plecakami wzdłuż lokalnych dróg to dziś sanitarny koszmar. Trudno w takich skupiskach zachować odległość i właściwą higienę, a wielu uczestników znajduje się w koronawirusowej grupie ryzyka. Niewiele bezpieczniej pod tym względem wyglądają religijne podróże innych wyznań. Władze Arabii Saudyjskiej zaapelowały już do muzułmanów na całym świecie, by w tym roku nie planowali pielgrzymki do Mekki. Nie wiadomo, kiedy tę możliwość odzyskają, bo *hadż* co roku gromadzi nawet 2 mln osób, praktycznie jednocześnie. Tutaj jednak przeniesienie się do strefy wirtualnej nie wchodzi w rachubę – doświadczenia duchowe w wersji online to jednak nie to samo co podróż do świętego miejsca. Wierni z całego świata muszą mimo wszystko spróbować ich we własnych domach. Domach, które z powodu koronawirusa mogą niebawem stać się dla nas całym światem – miejscem zamieszkania, pracy, relaksu i uduchowienia. I to nie przez dwa miesiące, ale na długie lata. ■

Gdyby wicepremier Sasin molestował seksualnie, robiłby to korespondencyjnie – SMS-ami. O tej metodzie dręczenia klientów sieci komórkowych **czytaj w najnowszym numerze tygodnika „NIE"**.

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 1bef8a9bc8

Gra z wirusem

Branża gier komputerowych bierze odwet za lata traktowania jej jak znudzone dziecko szukające nowej rozrywki

Halina Zielińska

Tylko w marcu, pierwszym miesiącu globalnego ataku koronawirusa, rynek gier komputerowych zarobił 10 mld dol., co oznacza wzrost o 11% rok do roku. Wynik to imponujący i do pozazdroszczenia, szczególnie że wiele gałęzi przemysłu walczy o przetrwanie.

Sprzedaż niektórych gier rośnie w zawrotnym tempie, notując nawet kilkudziesięcioprocentowe wzrosty. Z 10-miliardowego tortu segment gier mobilnych wyciął kawałek wartości 5,7 mld dol. i stał się bogatszy o 15%. Mniej – 1,5 mld dol. – zarobili producenci gier na konsole, ale i tak jest to w skali roku wzrost o 64%. Najlepiej sprzedawały się gry na rynkach europejskich i Stanów Zjednoczonych, tam gdzie pandemia najbardziej daje się we znaki.

A jeszcze kilkanaście miesięcy temu WHO, widząc w grach komputerowych zagrożenie dla zdrowia psychicznego, chciała je wpisać na listę czynników uzależniających, czemu – nawiasem mówiąc – sprzeciwiło się wiele krajów, m.in. Wielka Brytania. Dziś jest odwrotnie, uznano, że ta groźna zabawa to mniejsze zło i właśnie Światowa Organizacja Zdrowia, zwierając szyki z firmami żyjącymi z cyfrowej rozrywki, wręcz propaguje granie, pomagające w zniesieniu domowej kwarantanny. No cóż, najlepsze interesy robi się, zasłaniając się argumentem dobra publicznego.

Jeżeli pandemia uwięziła w domach 3 mld ludzi, trudno oszacować, ilu z nich uznało, że świat wirtualny jest ciekawszy od realnego. Według danych z zeszłego roku na świecie ponad 2 mld osób poświęcało się graniu. W normalnych czasach liczbę aktywnych graczy szacuje się na podstawie wyników uzyskanych przez najpopularniejsze, najlepiej sprzedające się gry. A grają w nie setki milionów osób: np. w „Fortnite Battle Royale" w marcu ub.r. grało 250 mln, w czerwcu 2018 r., w najlepszym dla „PlayerUnknown's Battlegrounds" okresie – 400 mln. „League of Legends" gromadzi 103 mln graczy miesięcznie, wśród nich milion Polaków.

Wiele firm od dawna straszyło ludzi grami o kataklizmach i epidemiach, nie przewidując, że fikcja stanie się rzeczywistością. W 2012 r. brytyjska firma Ndemic Creations wypuściła na rynek grę „Plague Inc.", która natychmiast zdobyła popularność. Strategia w tej grze to rozprzestrzenianie epidemii na cały świat, tak żeby doprowadzić do unicestwienia ludzkości. Z czasem jednak twórcy uznali, że ludziom trzeba dać trochę nadziei, i dodali nowy tryb działający w odwrotnym kierunku: ludzkość zostaje uratowana! Nawiasem mówiąc, w Chinach zabroniono jej sprzedaży z powodu zawartych w niej nielegalnych treści.

W co grają prezydenci?

W 2011 r., w czasie pierwszej w Polsce wizyty prezydenta Baracka Obamy, Donald Tusk podarował mu kolekcjonerskie wydanie gry „Wiedźmin 2: Zabójcy Królów". Nie można było się spodziewać, że prezydent USA wróci jeszcze do tego prezentu. A jednak z okazji następnej wizyty przyznał, że wprawdzie nie jest zbyt dobry w grach wideo, ale powiedziano mu, że to doskonały przykład miejsca Polski w nowej globalnej gospodarce. Wtedy też apelował o pomoc dla polskich twórców tej branży – niekoniecznie przez dotacje, bardziej przez usuwanie przeszkód. Ten gest Obamy okazał się znakomitą, w dodatku bezpłatną reklamą. Dzięki temu, ale i milionom dolarów wydanym przez producenta, CD Projekt, na promocję, „Wiedźmin" został zaproszony na światowe salony.

CD Projektowi pozazdrościła inna polska firma, 11 bit studios, i podarowała swoją grę, „This War of Mine", Bronisławowi Komorowskiemu. Wiadomo było, że prezydent woli realne polowania od wirtualnych i w nic grać nie będzie. Jednak i on wykorzystał możliwość wypromowania – złośliwi mówili, że bardziej siebie niż branży – i przyznał, że w tej chwili najlepiej

eprasa.pl 1bef8a9bc8

„Wiedźmin" został zaproszony na światowe salony e-sportu.

promują nasz kraj właśnie polskie gry. W czasie spotkania z przedsiębiorcami padły słowa uznania dla młodego potencjału i optymizmu.

A ten potencjał ma się coraz lepiej. Z roku na rok bowiem rynek gier komputerowych w Polsce rośnie o 7%. Jeszcze szybciej, bo o 17% w porównaniu z rokiem 2018, rośnie wartość rynku e-sportu. Wobec wręcz oszałamiającego sukcesu organizowanych w Katowicach finałów Intel Extrem Masters, turnieju gier uznanego za jeden z najbardziej prestiżowych na świecie, skończyły się dyskusje, czy e-sport to sport. Finały co roku gromadzą kilka milionów widzów. W tym roku i graczy, i kibiców IEM spotkał zawód, ponieważ z powodu epidemii koronawirusa wojewoda śląski wykluczył udział publiczności. Spowodowało to falę rozgoryczenia i oskarżeń szczególnie ze strony tych, którym na początku marca nie starczało wyobraźni do zrozumienia rozmiarów i konsekwencji zarazy. W końcu turniej się odbył, widownia została w domach i wirtualnie kibicowała e-sportowcom.

CD Projekt, który w pewnej mierze zawdzięcza sukces reklamie ze strony prezydenta Obamy, zyskał też na koronawirusie. Dzięki sprzedaży 40 mln egzemplarzy „Wiedźmina" wszedł na warszawską Giełdę Papierów Wartościowych, a w ostatnich notowaniach zdetronizował nawet takie potęgi jak PKO BP czy Orlen, które w związku z kryzysem odnotowały znaczne spadki. Według szacunków „Parkietu" w lutym br. spółki z branży gier notowane na warszawskiej Giełdzie Papierów Wartościowych warte były ponad 37 mld zł. „80% tej kwoty przypada na CD Projekt, którego notowania systematycznie rosną, ciągnąc w górę indeks WIG.GAMES. Pomagają mu inne spółki z tej branży, a w szczególności PlayWay, Ten Square Games i 11 bit studios", czytamy na www.parkiet.com.

Wprawdzie niektórzy analitycy przewidują koniec hossy na rynku gier, co ich zdaniem będzie powodowane ubożeniem pozostających w izolacji ludzi i szukaniem oszczędności, dziś jednak jeszcze nic tego nie zapowiada. Wręcz przeciwnie, serwis internetowy Skąpiec.pl spodziewa się, że kwiecień będzie nadzwyczaj owocny. Już o 64% wzrosła liczba nowych użytkowników gier, a w porównaniu z tym samym miesiącem zeszłego roku odnotowano o 81% więcej przekierowywań do sklepów branży elektronicznej. Oznacza to, że i handel widzi możliwość dobrego zarobku.

Jak podaje portal Brief.pl, polscy gracze wydają więcej pieniędzy na gry mobilne na smartfony i tablety niż na gry konsolowe czy na PC. Z raportu „Gracze 2019" wynika, że w gry mobilne częściej grają kobiety (61%) i robią to raczej w dni robocze niż w weekendy. Najpopularniejsze są gry rekreacyjne. Wśród nich pierwsze miejsce zajmuje „Pou", w której użytkownik zajmuje się wirtualnym stworkiem, musi go karmić, kąpać oraz bawić się z nim. Następne miejsca przypadły grze zręcznościowej „Subway Surfers" oraz strategicznej „Clash Royale". Pierwszą piątkę zamykają „Talking Tom Gold Run 3D Game" oraz „Slither.io". Najmniej czasu użytkownicy poświęcają na planszówki, quizy i gry edukacyjne.

WHO wręcz propaguje granie, pomagające w zniesieniu domowej kwarantanny.

Ministerialna Grarantanna

Przy takiej popularności gier z szansy uwiedzenia potencjalnego elektoratu nie mógł nie skorzystać Andrzej Duda. W 17-minutowym spocie zachęcał do pozostania w domu w towarzystwie Grarantanny, nowego e-sportowego turnieju pomysłu Ministerstwa Cyfryzacji, i apelował o wspieranie „świetnych, wspaniałych polskich firm" oraz „znakomitego polskiego przemysłu". Od razu pojawiły się pytania, czy spot prezydenta to element jego kampanii wyborczej. Jeżeli tak – dlaczego jest finansowany z publicznych pieniędzy?

Ministerstwo Cyfryzacji na Grarantannę wyasygnowało 370 tys. zł, powierzając jej organizację renomowanej firmie ESL Gaming Polska. Wybrano ją bez przetargu, jedynie po analizie.

To suma niemała, ale w porównaniu z innymi przedsięwzięciami turniejowymi – niewysoka. Koszty obniża fakt, że jest to turniej amatorski, a więc bez konieczności wynajmowania pomieszczeń i udziału publiczności. Umowa z ESL przewidywała zorganizowanie 52 turniejów online dla uczniów szkół podstawowych i ponadpodstawowych, promocję, np. dotarcie do potencjalnych młodych graczy z informacją o przedsięwzięciu i działania ambasadorów o nazwiskach szanowanych na arenach e-sportu, zakup nagród za kwotę 50 tys. zł.

Turniej ruszył 1 kwietnia i nie obyło się bez problemów. Ambasadorzy mieli widocznie inne dyplomatyczne obowiązki, bo w mediach pojawiło się tylko kilka wpisów reklamujących Grarantannę. Akcja promocyjna wypadła więc raczej nieudolnie, a i spot z prezydentem na TikToku miał ograniczoną liczbę odbiorców. Nie wzrosła przecież liczba komputerów i ciągle statystycznie na jedną rodzinę przypada jeden tablet, a 13% gospodarstw domowych nie ma internetowego łącza.

Ale największe były problemy techniczne, z powodu których organizatorzy musieli przepraszać graczy i przełożyć termin finałów. Ostatni odbył się 16 maja. W sumie w turnieju wzięło udział 78,5 tys. graczy i 9732 drużyny. Oprócz nagród indywidualnych najlepsi zawodnicy mogli wygrać dla swojej szkoły pracownię multimedialną ufundowaną przez OSE NASK. Trafią one do szkół w Piotrkowie Trybunalskim, Augustowie, Suwałkach, Jeleniej Górze, Opocznie, Tarnowskich Górach, Milejowie i Krakowie. ■

PORTRET GRACZA

Mężczyźni	**59%**
poniżej 18. r.ż.	**18%**
w wieku 18-35 lat	**17%**
w wieku 36-49 lat	**11%**
powyżej 50. r.ż.	**13%**
Kobiety	**41%**
poniżej 18. r.ż.	**11%**
w wieku 18-35 lat	**9%**
w wieku 36-49 lat	**8%**
powyżej 50. r.ż.	**13%**

Źródło: Badania Europejskiej Agencji Kosmicznej, 2019 r.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 1bef8a9bc8

Wyspa niebieskich lisów

Zapiski z wyprawy Beringa

Stephen R. Bown

XVIII-wieczna wyprawa nazwana Wielką Ekspedycją Północną miała za zadanie zbadać obszary od Petersburga przez Syberię aż po wybrzeża Ameryki Północnej. Zlecona przez cara Piotra I Wielkiego była najdłuższą i najdroższą ekspedycją naukową wszech czasów. Dowodzona przez Duńczyka Vitusa Beringa liczyła ponad 3 tys. naukowców i żeglarzy.

•

Podczas drugiej nocy na lądzie Steller, Plenisner i Liepiechin zetknęli się po raz pierwszy z pewnym stworzeniem, które nie tylko potwierdzało teorię Stellera, że miejscowe zwierzęta nie miały wcześniej kontaktu z ludźmi, lecz także miało naznaczyć ich zimę: był to lis niebieski, *Vulpes beringensis*, odmiana lisa polarnego. Zdawało się, że takich lisów jest tu nieskończenie wiele i nie były płochliwe. Plenisner i Liepiechin z miejsca zastrzelili osiem, a Steller zanotował: „ich liczba i tłustość, podobnie jak fakt, że się nie boją, niezmiernie mnie zdumiały". Gdy we trzech usiedli przy niewielkim ognisku z kubkami herbaty w dłoniach, zjadłszy zupę z pardwy, lis niebieski bezczelnie podszedł i capnął dwie pardwy „na naszych oczach".

W ciągu kilku dni, od kiedy marynarze, powłócząc nogami, zdążali w stronę wydm, by przygotować obóz, wszyscy zaznajomili się blisko z tutejszymi lisami niebieskimi. Kiedy uczestnicy ekspedycji zabrali się do budowy schronienia przed nadchodzącą zimą, powiększając szereg jam, Steller i Waxell znaleźli w pobliżu wydm i rzeczki stado lisów; te zaczęły szarpać marynarzy za spodnie. Musieli odgonić je kopniakami i okrzykami. Nie zdając sobie z tego sprawy, członkowie wyprawy wybrali na swój obóz problematyczne miejsce: wydmy były tymczasowymi bądź sezonowymi norami lisów. Nie niepokojone przez całe wieki zwierzęta walczyły o swoje terytorium. Owa walka gatunków przez kilka pierwszych tygodni była bardzo brutalna i bezlitosna, a ciągnęła się miesiącami. Steller donosił później, że lisy mają także inne miejsca zamieszkania, a latem „szczególnie lubią urządzać sobie legowiska w górach i na ich skraju". Jednak przez większą część listopada i grudnia ciągnęło je zwłaszcza do obozu ludzi wśród wydm piaskowych.

Marynarze wykopali i powiększyli jamy, a następnie zbili prymitywny szkielet z wyrzuconego na brzeg drzewa, do którego przytwierdzili lisie skóry i resztki podartych żagli. Ale praca szła powoli, ponieważ nawet ci, którzy byli w stanie się zbudzić, ledwie mogli ustać, nie wspominając o ciężkiej robocie. Śmierć nadal stanowiła element rutyny, a w prowizorycznych schronieniach nie było miejsca na ciała. Wokół obozu roiło się od lisów, które z pokrytych śniegiem wzgórz wabił zapach jedzenia. Zwierzęta, coraz agresywniejsze, kradły ubrania i koce, a także wlekły za sobą narzędzia i przybory. Pewnego razu Steller i Plenisner za pomocą noży i siekiery zabili w ciągu trzech godzin 60 lisów, po czym wykorzystali ich truchła do podparcia ścian chatynek. Lisy „wpychały się do naszych kwater i kradły wszystko, co zdołały porwać, w tym przedmioty, które były dla nich bezużyteczne, jak noże, kije, torby, buty, skarpety,

Wokół obozu roiło się od lisów, które wabił zapach jedzenia.

eprasa.pl 1bef8a9bc8

czapki. (…) Często zdarzało się, że gdy skórowaliśmy zwierzęta, musieliśmy zadźgać nożami dwa czy trzy kolejne, ponieważ chciały wydrzeć nam mięso z rąk". Lisy przychodziły także nocami, by zedrzeć ubrania z bezbronnych chorych i ciągnąć za ich buty; robiły to, dopóki ich się nie odegnało. „(…) Nikt nie mógł się załatwić bez kija w ręku, a one natychmiast pożerały ekskrementy równie skwapliwie, co świnie". Lisy zakradały się do obozu o każdej porze i oddawały kał bądź mocz na odzież lub prowiant, paskudząc je, tego samego próbowały także ze śpiącymi marynarzami. W swojej wstrząsającej relacji Waxell opisywał, jak to lisy „zjadały ręce i nogi ciał, zanim mieliśmy czas je pochować".

Aby ochronić siebie, marynarze zostali popchnięci do bezmyślnej rzezi. Wyrzynali zarówno młode, jak i dorosłe osobniki i torturowali je, gdy było to możliwe. „Każdego ranka – pisał Steller – ciągnęliśmy za ogony naszych więźniów, których pojmaliśmy żywcem, na egzekucję przed koszarami, gdzie części ścinano głowy, a innym łamano nogi lub choć jedną, a potem odrąbywano ogony. Jednym wyłupialiśmy oczy, inne wieszaliśmy żywcem za łapy, żeby się wzajem zagryzły. Niektóre były przypalane, inne chłostane na śmierć kańczugami". Niemniej lisy miesiącami nie odpuszczały: powracały nawet po torturach, kuśtykając na trzech nogach za swoimi towarzyszami, warcząc i ujadając tak samo głośno jak pozostałe. Marynarze zdejmowali czasem skórę z martwego zwierzęcia i rzucali truchło do pobliskiego dołu, na co zbiegały się inne, by pożreć poległego w boju kompana, a potem samemu zginąć pod uderzeniami pałek. Choć Steller był zwykle drobiazgowy i dokładny w swoich spostrzeżeniach na temat świata natury, gdy pojawia się kwestia dokuczliwych lisów niebieskich, do jego pisania zakrada się lekki ślad braku szacunku. „Śmierdzą dużo bardziej od lisów rudych", stwierdzał. „W czasie rui spółkują dniem i nocą i jak psy gryzą się nawzajem okrutnie z zazdrości. Sama kopulacja odbywa się przy ciągłym akompaniamencie kociej muzyki".

Nie ośmielili się jednak ich wytępić, o ile w ogóle było to możliwe w ich opłakanym stanie, na wypadek gdyby trzeba było się nimi później posilać; wydry i foki mogły bowiem zniknąć. (…)

Komandor Bering został przetransportowany na brzeg 9 listopada. Czterech marynarzy niosło go na prowizorycznych noszach skleconych z żerdzi i liny. Umieszczono go w kotlince w wybranym miejscu, które stawało się nadbrzeżną wioską między wydmami. Marynarze żartowali na temat „grobu", który kopią sobie w piasku. Steller był zdziwiony tym, jak bardzo pogorszył się stan zdrowia komandora, ale zarazem „zdumiony jego spokojem i dziwnym zadowoleniem". Gdy Bering był już na swoim miejscu, Steller przycupnął w namiocie i odbyli prywatną rozmowę. Bering pragnął wiedzieć, co Steller myśli o ich położeniu. Czy dotarli do Kamczatki? Steller odparł,

Vitus Bering, dowódca słynnej wyprawy.w latach 1740-1741.

że według niego to nie wygląda jak Kamczatka, a potem cicho wyjaśnił swoje obserwacje na temat charakteru tutejszej roślinności, dodając, że nie sądzi, by znajdowali się daleko od półwyspu, ponieważ flora nie przypomina tej, którą widział na Alasce. Steller znalazł także niedawno wyrzucone na plażę fragmenty różnych przedmiotów, które wskazywały na rosyjskie wykonawstwo. Pokazał Beringowi część zniszczonej pułapki na lisy, którą również odnalazł na plaży. Przypominała konstrukcją pułapki robione przez Itelmenów z Kamczatki, ale wyposażona była w zaostrzone muszle, nie zaś w żelazo. Sugerowało to, że trafiła tutaj z Alaski, gdzie tubylcy nie mają dostępu do żelaza. Steller stwierdził, choć niestanowczo, że znajdują się prawdopodobnie gdzieś pomiędzy dwoma kontynentami. (…)

Listopad zbliżał się ku końcowi i sztormy były coraz straszniejsze. Takielunek „Św. Piotra" pokrywała warstwa lodu. Śnieg leżał wszędzie, fale bębniły w okręt, przewalając się od czasu do czasu na pokład i wpadając do ładowni. Wysokie fale jeszcze bardziej spowolniły transport marynarzy na brzeg, wyprawa barkasem na okręt stała się zdradliwa. (…) Waxell nadal tkwił uwięziony na pokładzie wraz z czwórką innych, gdy 17 listopada uderzył kolejny sztorm. Wypalił z dział, by wezwać barkas, ale żadna szalupa nie mogła odbyć podróży w ciągu czterech dni rozszalałych sztormów. Skończyła im się woda i zaczęli popijać słonawy płyn z osadu w beczkach, dopóki nie zaczął padać śnieg. Wyczołgiwali się na pokład, zbierali go i roztapiali. Czekając na pomoc, wyrzucili kilka kolejnych ciał za burtę, żeby nie musieć dzielić z nimi okrętu.

Waxell w swojej relacji sugestywnie opisuje środki ostrożności, które przedsięwziął, by chronić własne życie. Okrył się i osłaniał kocami, by zabezpieczyć twarz przed zmianą temperatury powietrza między wnętrzem okrętu a pokładem. Przez kilka minionych tygodni widział, „jak wielu naszych ludzi pada niczym muchy, gdy tylko ich głowy wychyną z luku". Usadowił się z dala od wilgotnej, ciemnej ładowni i tamtejszych trujących wyziewów. Przynajmniej w kambuzie było jaśniej i cieplej i mógł podtrzymywać niewielki ogień. Zastanawiał się, czy nie lepiej byłoby mu tutaj, niż gdyby „rył w śniegu na lądzie". Ale był w błędzie: „nawet tam złe powietrze i brud trafiły z ładowni, gdzie tylu złożonych chorobą od dwóch albo i trzech miesięcy załatwiało swoje potrzeby naturalne, gdzie mogło".

Coraz agresywniejsze zwierzęta „wpychały się do naszych kwater i kradły wszystko, w tym noże, kije, torby, buty, skarpety, czapki".

FOT. WIKIPEDIA/DOMENA PUBLICZNA, ADOBE STOCK

eprasa.pl 1bef8a9bc8

Wkrótce „ten brzydki, niezdrowy smród" dotknął go w takim stopniu, że nie był w stanie ruszać rękoma, stopami ani szczęką. Kiedy znaleziono go 21 października, był bliski śmierci. (…) Opuścił okręt jako ostatni, mdlejąc kilka razy w drodze na barkas. Zaniesiono go do obozu i umieszczono w koszarach.

Gdy Waxell znalazł się na lądzie, był „tak wyniszczony szkorbutem, że porzucił wszelką nadzieję na przeżycie". Steller „bez namysłu" pośpieszył mu na pomoc, przynosząc świeżą żywność i sałatkę z uschniętych korzeni i trawy zebranej nieopodal plaży. Waxell leżał, nie mogąc się podnieść. Wciśnięto go do koszar z innymi marynarzami, gdzie odpierał lisie awanse, dopóki nie przygotowano mu osobnego namiotu. Steller otoczył Waxella szczególną opieką z nie do końca altruistycznych pobudek – obawiał się, co się stanie, jeśli Waxell umrze. Najwyższy stopniem był po nim Chitrow, którym niemal wszyscy gardzili. Steller bał się, że „powszechna nienawiść zniszczy wszelką dyscyplinę i opóźni, a nawet zniweczy wszelkie inicjatywy konieczne dla naszego wybawienia". Pod opieką Stellera Waxell zaczął z wolna i w bólach wracać do zdrowia – ku uldze wielu uczestników ekspedycji, którzy także obawiali się działań Chitrowa. Problem Waxella polegał po części na tym, że jego syn Laurentz nie figurował oficjalnie na liście załogi, a zatem nie był uprawniony do racji żywnościowych z zapasów na okręcie. Ojciec dzielił się z nim pojedynczym, skromnym przydziałem mąki żytniej.

22 listopada Bering nadal był zupełnie wyczerpany i leżał w tym samym dole, w którym umieszczono go, gdy ponad tydzień wcześniej został przetransportowany na ląd. Po cichu rozkazał Waxellowi zwołać zebranie pozostałych przy życiu oficerów, by obmyślić plan uratowania okrętu. Nazajutrz oficerowie przygotowali „Raport ocalenia okrętu" i przedstawili go Beringowi. Przez wiele dni utrzymywała się burzowa, gwałtowna pogoda, a marynarze byli za słabi, żeby wcielić rozkazy w życie, nie dało się bowiem powiosłować na pozbawiony załogi okręt. (…) Zaproponowali popłynięcie okrętem na plażę i przymocowanie go do piasku tak solidnie, jak to możliwe, a następnie zabezpieczenie zapasów. Potem, wiosną, mogliby ponownie wypłynąć, o ile szczęście dopisze. W każdym razie sądzili, że jeśli nic nie zrobią, zimą okręt na pewno zostanie zniszczony albo przepadnie.

26 listopada Chitrow był już jedynym wysokim stopniem oficerem, który stał o własnych siłach, ale on również był teraz bardzo słaby i meldował w dzienniku pokładowym, że „ledwie [może] ustać na nogach". Próbował zachęcać marynarzy do wypełnienia rozkazu Beringa, by wyciągnąć okręt na brzeg, ale zdołał zebrać jedynie pięciu sprawnych ludzi, którzy mogliby się tego podjąć. Starali się wyprowadzić barkas na spienione morze, ale szybko przemokli od mroźnej wody i musieli wrócić do namiotów. Mając do dyspozycji tak niewielu marynarzy, Chitrow zdawał sobie sprawę, że prawdopodobnie nie uda się nawet podnieść kotwicy, nie wspominając o postawieniu żagli i popłynięciu na brzeg – najpewniej rozbiliby się o rafę, niszcząc okręt i ginąc. Odwołał więc całą operację i zreferował Beringowi nieudaną próbę, składając pisemne oświadczenie, by chronić się na wypadek reperkusji. (…) 28 listopada rozpętał się potężny sztorm, który zerwał kotwicę i liny, miotając okrętem na wszystkie strony. Potem jednak, w co trudno uwierzyć, prądy i wiatry poniosły „Św. Piotra" nie ku rafom, ale w stronę plaży, „w miejsce, w które planowaliśmy go wprowadzić", blisko rzeczki płynącej poniżej obozu. Steller był zdumiony, że sztorm wykonał zadanie „lepiej, niż być może dałoby się to uczynić ludzkim wysiłkiem".

„Św. Piotr" stał teraz przechylony na mieliźnie nieopodal brzegu i powoli osiadał w sypkim piasku zatoczki na głębokości 2,5 m aż po okrężnicę, zalewany falami. Nie miał już nigdy popłynąć. Wrak znajdował się ledwie 200 m od obozu, niczym ciągle widoczne przypomnienie ich żałosnego położenia. Ilekroć pogoda uspokajała się na krótko, marynarze przewozili barkasem na brzeg pozostałe zapasy. Było to teraz o wiele łatwiejsze zadanie, ponieważ mogli dostać się na okręt, nie musząc wiosłować przez wielkie fale i otwarte morze. Zapasy, które można było uratować, składały się przede wszystkim z mąki żytniej i krup, przechowywanych w wielkich skórzanych workach. Niestety, woda morska przemoczyła je w ładowni. Waxell ustalił miesięczny przydział tych artykułów żywnościowych na 14 kg mąki żytniej (później zmniejszony do siedmiu, a w końcu do zera), 2 kg krup i 200 g soli. Żywność rozdzielano po równo między wszystkich, niezależnie od stopnia wojskowego bądź pozycji społecznej, co w dużym stopniu przyczyniło się do załagodzenia napięć między oficerami a marynarzami. Jedzenie mąki nie należało jednak do wielkich przyjemności, słone krupy trzeba było zaś smażyć na tłuszczu foczym lub wydrzym, aby nadawały się do konsumpcji. „Nim się do tego przyzwyczailiśmy, rozdęło nam żołądki jak bębny". (…)

Kiedy marynarze spoglądali po sobie, widzieli wypisany na obliczach dowód swojej nędzy i cierpienia. „Gdyby ktoś obcy jakimś sposobem nagle się pojawił pośród nas – pisał Waxell – przykładowo jakiś szlachcic ze służącymi albo oficer ze swymi ludźmi, i zobaczył, jak żyjemy, z pewnością nie byłby w stanie odróżnić pana od sługi czy komandora od jego najniższego rangą podwładnego, wszyscy bowiem byliśmy w takiej samej sytuacji, pan tak jak sługa, marynarz tak jak oficer, i to zarówno pod względem pozycji i pracy, jak i jedzenia oraz stroju".

Lisy miesiącami nie odpuszczały: powracały nawet po torturach, kuśtykając na trzech nogach za swoimi towarzyszami.

Fragmenty książki Stephena R. Bowna *Wyspa niebieskich lisów. Legendarna wyprawa Beringa*, przeł. Krzysztof Cieślik i Maciej Miłkowski, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2020

eprasa.pl 1bef8a9bc8

O żabie, która nogę podstawia

Furorę na Facebooku robi tekst Jana Truszczyńskiego, byłego ambasadora RP przy Unii Europejskiej. Truszczyński wysłuchał przechwałek Dudy i Morawieckiego, jak to walczyli o pieniądze dla Polski w przedstawionym przez Komisję Europejską planie odbudowy. Wysłuchał, a potem sprawdził. Oto efekt:

„Wczoraj Komisja Europejska przedstawiła nowy projekt długoterminowego budżetu UE i towarzyszącego mu instrumentu odbudowy gospodarczej. Dzisiaj rano w Warszawie radosny nastrój pp. Dudy i Morawieckiego, znowu wielkie zwycięstwo, znowu wspaniały sukces, to my, nie chwaląc się, spowodowaliśmy te projekty!

Można śmiało rzec, w Brukseli podkuwają konia, a w Warszawie pp. Duda i Morawiecki podstawiają swoje żabie nóżki. No nie, panowie, nie uzurpujcie sobie współautorstwa. Ponieważ p. Duda wspomina o swoim liście z 29 kwietnia br. jako czynniku sprawczym, rzuciłem okiem na tę epistołę, adresowaną do państw UE, Partnerstwa Wschodniego i Bałkanów Zachodnich. Nie ma w niej niczego oryginalnego ani nowatorskiego. Są dwie epigońskie sugestie w sprawie europejskiego mechanizmu »zabezpieczenia medycznego« oraz wspólnych badań naukowych nad lekami; epigońskie, bo inni, na czele z Komisją Europejską, mówili i pisali o tym już w marcu, do czego jednak p. Duda kompletnie nie nawiązuje, usiłuje za to udawać prekursora.

Ponadto nasz mąż stanu wspomina o »powołaniu specjalnego dodatkowego instrumentu inwestycyjnego, który łączyłby cele rozwojowe i spójnościowe«; ogólnikowa formułka, nader luźno zaczepiona o główne koncepcje, żywo i równolegle dyskutowane w UE. I wreszcie p. Duda nawiązuje, czemu nie, do polityki klimatycznej – ale niestety w znany nam już z poprzednich lat sposób. Trzeba powiedzieć jasno: list p. Dudy nie jest inspiracją dla nikogo ani do niczego, a już na pewno ma zerowy związek z projektami przedłożonymi wczoraj przez Komisję. Nb. ponieważ na websicie p. Dudy jest także link do »English version« listu, zajrzałem i tam. Takiej »version« jednak nie ma, jest tylko krótkie *résumé* treści, napisane drewnianą angielszczyzną i usiane błędami; obawiam się, że z podpisem p. Dudy wyszedł z Warszawy produkt równie kompromitującej jakości...

Może jeszcze dwa słowa o przechwałkach p. Morawieckiego. Coś mówił o trudnych negocjacjach; być może, ale gdzie są fakty? Czy był w ostatnich tygodniach jakikolwiek polski lub wyszehradzki *non-paper* do partnerów w UE? Czy poza udziałem w wirtualnych sesjach Rady Europejskiej i dwustronną dyskusją z inicjatywy przewodniczącego RE [Charles'a] Michela przekonywał p. Morawiecki kogokolwiek z kolegów do swoich racji? Czy inicjował podobne rozmowy z Komisją Europejską? Owszem, podpisał się pod paroma artykułami w gazetach niemieckich, włoskich, hiszpańskich i brytyjskich; to nie bez znaczenia, jeśli idzie o komunikowanie stanowiska oficjalnej Polski, ale nie zastąpi bezpośrednich intensywnych rozmów. A ponieważ nic o takich rozmowach nie wiemy, musimy włożyć między bajki opowieści o »trudnych negocjacjach«.

Klucz przydziału środków w ramach instrumentu odbudowy, tak nominalnie korzystny dla Polski, powstał nie dzięki »trudnym negocjacjom« p. Morawieckiego, ale w wyniku dokonanych przez Komisję na podstawie modelu QUEST symulacji skutków ekonomicznych tego instrumentu. Jak wiemy z papierów Komisji, w ramach tych symulacji podzielono kraje UE na trzy grupy: te o wysokim PKB *per capita*, te o wysokim zadłużeniu i poziomie PKB *per capita* poniżej średniej UE (Hiszpania, Grecja, Włochy, Portugalia, Cypr) oraz te, które przy PKB *per capita* poniżej średniej UE charakteryzują się relatywnie niskim zadłużeniem (to m.in. Polska). W efekcie klucz przydziału wprawdzie przewiduje dla Polski 8,6% całości środków, ale koncentracja jest na drugiej grupie krajów: Włochy – 20,4%, Hiszpania – 19,9%, Grecja – 5,8%, Portugalia – 4,2%".

Tyle Jan Truszczyński. Czy trzeba coś dodawać?

Attaché

Wykonanie tomografii konia to nie lada wyzwanie. Klinika Dużych Zwierząt SGGW w Warszawie.

FOT. MICHAŁ DYJUK/FORUM

eprasa.pl 1bef8a9bc8

JOLKA

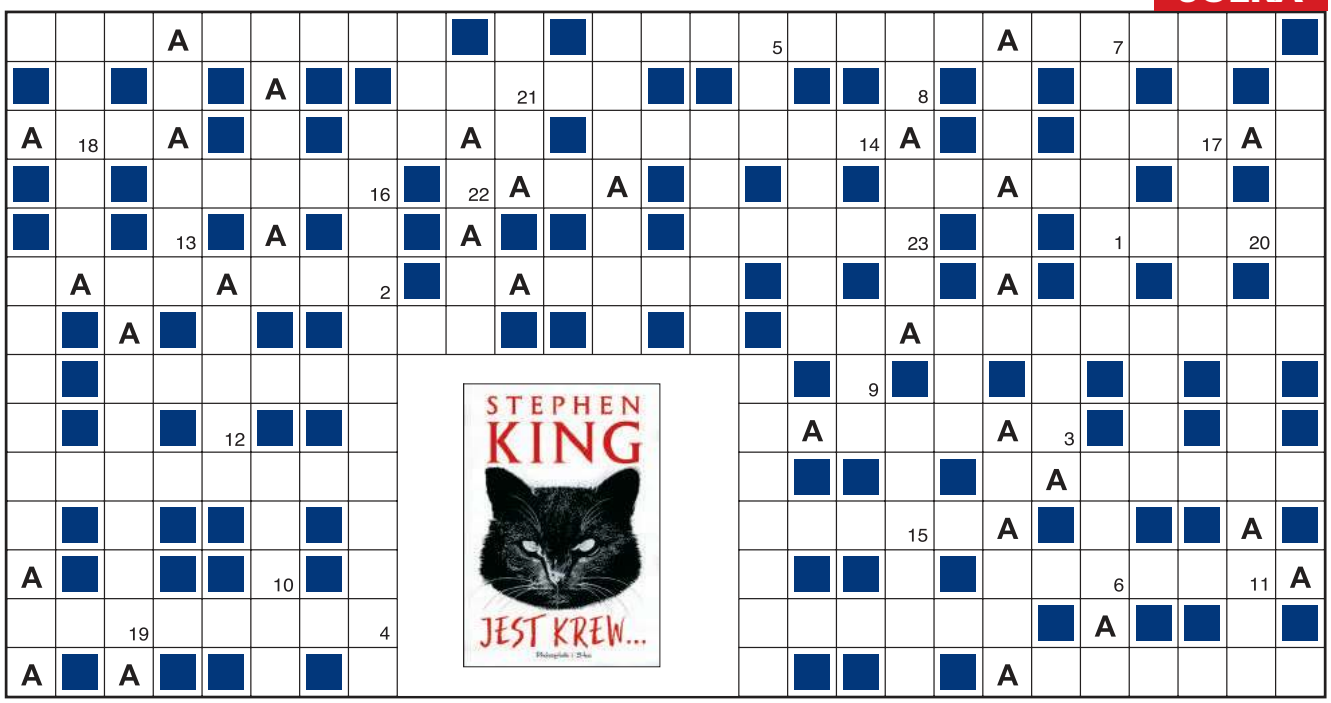

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery A ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 23 utworzą końcowe hasło.

- i silne wzburzenie, i dawna miłość
- Jerzy Andrzejewski w „Zniewolonym umyśle”
- …con brio, czyli szybko i z werwą
- dawny kłopot, przykra sytuacja
- imię Sterna, współautora jednodniówki „Nuż w bżuhu”
- uciążliwa sieci wodociągowej, energetycznej
- kadrowe albo w zaopatrzeniu
- okrągła bryła, ktoś niezgrabny, otyły
- populista od czasów starożytnej Grecji
- pruski/Pruski w „Misiu”
- śledcze uprawia Bertold Kittel
- et in Arcadia...
- swobodny – niezwiązany z żadnym atomem
- zbożowy przy Nabrzeżu Indyjskim w Gdyni
- czwarty co do wielkości księżyc Jowisza
- stalowa we Wrocławiu, w parku Szczytnickim
- imię obiektu uczuć Wokulskiego
- jedna z Wielkich Wysp Sundajskich
- najwięcej go w tarczycy
- kędziorki
- komedia Moliera z Alcestem i Celimeną
- pomysł nie do zrealizowania
- turecki na Siedmiogród w 1438 r.
- muzykująca dziewiątka
- gdy Księżyc zwrócony ku Ziemi częścią nieoświetloną
- listu poleconego, dowodu osobistego
- podlega selektywnej zbiórce
- sztuczne lub św. Elma
- pasy tkaniny do owijania stóp
- katowickie Tysiąclecia
- w nim zawieszone krwinki
- w tej w Dusznikach muzeum, w Konstancinie centrum handlowe
- gadanie, bajdurzenie
- polskie wydało Kopernika
- muzyk Iggy, ale gatunek muzyki nie jego
- obiadowa albo deszczowa
- Gwiazd
- w Międzyzdrojach
- bunt przeciw istniejącej władzy
- luksusowy hotel w Paryżu, Londynie
- część pieca lub grilla
- asonans albo konsonans
- na korcie po drugiej stronie siatki
- charakterystyczne dla Rosji urządzenie do robienia herbaty
- przez przeszkody na parkurze
- dział sklepu lub punkt na wystawach, kiermaszach
- tworzywo do wykładania bieżni
- indiański lub reklamowy
- opancerzony wojskowy i seria filmów sensacyjnych
- niebrane pod uwagę przy rozdawaniu posad kolesiom
- skwar, spiekota
- i karczoch, i marchewka
- następuje po skłonie
- znika pod golarką
- kiedy ono mówi, nie ważą racje

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-963”. Do rozlosowania książki „Jest krew...” ufundowane przez Prószyński i S-ka. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 7 czerwca 2020 r.

Rozwiązanie „JOLKI-960” z 17 maja: *Pośpiech nikomu nie pomaga.*
Nagrody otrzymują: Ryszard Milc z Krakowa, Elżbieta Putowska z Lublina, Krzysztof Ryznar z Oświęcimia.

eprasa.pl 1bef8a9bc8

PENETRACJE

PROF. ANDRZEJ ELIASZ, PSYCHOLOG

Ci, którzy nie rozumieją świata, są sfrustrowani…

– I niezwykle podatni na populistyczne idee, które przekonują, że świat jest prosty, zrozumiały, czarno-biały. Wystarczy odwołać się do którejś z nich i wszystko staje się zrozumiałe. Niestety, takie proste wyjaśnienia mocno „wpijają się" w umysły osób zalęknionych zjawiskami, których nie pojmują. Co więcej, raz ukształtowane przekonania trudno zmienić. Wyjaśnia to neuropsychologia. Jeśli jesteśmy silnie przywiązani do pewnych poglądów, to gdy pojawia się przekaz niezgodny z nimi, wzbudzają się w mózgu obszary, które towarzyszą negatywnym emocjom.

EWA WOYDYŁŁO-OSIATYŃSKA, PSYCHOTERAPEUTKA UZALEŻNIEŃ

Gdyby Wiktor Osiatyński nie wyjechał do Stanów, nie poradziłby sobie. On by się zapił. Zresztą wszyscy jego znani koledzy, z którymi pił, poumierali przedwcześnie. Byłoby dziwne, gdyby on nie. Natomiast w Ameryce wystarczyło, żeby się raz upił i przyszedł na uczelnię, gdzie był zaproszonym wykładowcą. Rektor powiedział mu od razu: „Dobrze, że cię widzę, nie siadaj, idź zlikwiduj swoje biurko, pójdź do kwestury, odbierz pieniądze i więcej się nie widujemy". „Ale jak to! W Polsce stan wojenny, co ze mną?". „Nie słyszałeś, co mówię? Na naszej uczelni profesor tak się nie zachowuje", odparł rektor. No to on wpadł w panikę. Mieszkał wtedy u znajomego małżeństwa, po tym pijackim ekscesie jedzie tam, wyjmuje klucz, zamek nie działa. Kobieta uchyla drzwi: „Garaż jest otwarty, zabierz rzeczy i do widzenia. My mamy małe dziecko, nie potrzebujemy kłopotów". Z terapii wyszedł przemieniony w jakiegoś apostoła trzeźwości, bo zobaczył, że gdy pije, nikt mu nie poda ręki. Ameryka tak działa.

KS. TADEUSZ ISAKOWICZ-ZALESKI

O bp. Jędraszewskim, choć jest moim przełożonym w archidiecezji krakowskiej, mówię głośno, że nigdy nie wyjaśnił sprawy Paetza. Był przez niego wylansowany jako biskup pomocniczy w Poznaniu i w 2002 r. stanął po jego stronie, po stronie sprawcy, a nie molestowanych kleryków. Jeśli bp Jędraszewski widzi gdzieś „tęczową zarazę", tym bardziej powinien wyjaśnić, dlaczego przed laty bronił Paetza. Mógłby powiedzieć, że wprowadzono go wtedy w błąd, że przeprasza. Ale z jakichś względów nigdy tego nie zrobił. Tuszowanie sprawy Paetza miało szerszy aspekt, było dziełem ludzi związanych z nim w różny sposób, którzy wiedzieli o jego „wyczynach" w Watykanie i w Łomży.

Radość po meczu Bundesligi – obrońca Fortuny Düsseldorf André Hoffmann i trener drużyny Uwe Rösler.

FOT. MARTIN MEISSNER/POOL/AFP/EAST NEWS

Aby język giętki…

KINGA PREIS O KRZYSZTOFIE GLOBISZU

To fenomenalny aktor i fascynujący człowiek. Cieszę się, że nie został sam ze swoją chorobą.

SZYMON HOŁOWNIA O ANDRZEJU DUDZIE

Jest „niezależnym" prezydentem, bo nic od niego nie zależy.

LUDWIK DORN O JAROSŁAWIE KACZYŃSKIM

Wie, że Gowin jest już poza jego obozem politycznym – bez względu na to, jakie zapewnienia publicznie składa.

KAROL STRASBURGER O SAMOPOCZUCIU

Ludzie patrzą na siebie spode łba, są podejrzliwi. Wychodząc z domu, mam poczucie, że jestem jakimś przestępcą, który dokonuje wykroczeń.

JAROSŁAW KACZYŃSKI O ŁUKASZU SZUMOWSKIM

Oskarżenia wobec niego są niesprawiedliwe, nie są oparte na faktach i faktom wprost i bardzo ostro przeczą.

KATARZYNA BONDA O PRZYJAŹNI

Więcej miałam bratnich dusz w czasach, gdy tonęłam w długach, niż kiedy moje powieści odniosły sukces.

ADAM TOPOLSKI O TRENOWANIU EKSTRAKLASY

Są zbyt duże naciski, kto ma grać, a ja się do tego nie nadaję. Rządzą menedżerowie, a nie szkoleniowcy.

MARTA MANOWSKA O WENTYLU BEZPIECZEŃSTWA

Lubię pobyć sama. Nie rozmawiać, nic nie musieć, tylko po prostu być, nic więcej. Zawiesić się. Mieć pusto w głowie.

JAN PESZEK O PRZYJAŹNI DAMSKO-MĘSKIEJ

Nie jest możliwa. Zawsze bowiem pojawia się taki moment, że nagle otwiera się furtka, która nie otwiera się między mężczyznami; furtka erotyczna.

ZOFIA CZERNICKA O SINGIELCE

Nie używam tego słowa. W moim życiu zawsze jest mężczyzna, który imponuje mi swoją mądrością, talentem i wiedzą.

eprasa.pl 1bef8a9bc8

Kłamstwo ma krótkie koła

Skandalem zakończył się wyścig Formuły E. Ponieważ ze względu na pandemię kierowcy jednomiejscowych samochodów elektrycznych nie mogą ścigać się na torze, ich rywalizację przeniesiono do wirtualu. Jako trzeci na mecie charytatywnych zawodów z cyklu Race at Home Challenge zameldował się Daniel Abt, jednak śledztwo wykazało, że w rzeczywistości za kółkiem jego wirtualnego bolidu siedział profesjonalny gracz komputerowy, Lorenz Hörzing. Kierowca, który twierdzi, że skorzystanie z dublera miało być żartem, stracił miejsce w zespole Audi, notabene zarządzanym przez jego ojca. Takie są skutki braku hamulców (moralnych).

Cyfrowy wyrok śmierci

Z powodu pandemii coraz więcej spraw załatwianych jest podczas wideokonferencji. Sąd w Singapurze za pośrednictwem aplikacji Zoom skazał na śmierć przez powieszenie 37-letniego Malezyjczyka zamieszanego w przemyt heroiny. Zarówno sam wyrok, jak i forma jego wydania spotkały się z ogromną krytyką ze strony organizacji broniących praw człowieka. Aktywiści przypominają, że w odniesieniu do przestępstw narkotykowych singapurscy sędziowie rzadko korzystają z możliwości zamiany kary śmierci na pozbawienie wolności. Tylko w 2018 r. stracono z tego powodu 13 osób.

Złoty środek (ciała)

Rząd Tajlandii w ramach odmrażania gospodarki zezwolił na ponowne otwarcie salonów masażu. Z jednym zastrzeżeniem: dozwolone jest jedynie masowanie „części ciała poniżej pasa". Jak wyjaśnia tamtejszy resort zdrowia, takie salomonowe rozwiązanie pozwoli salonom zarabiać, a jednocześnie ograniczy rozprzestrzenianie się koronawirusa. „Masaż pleców, karku i ramion musi zaczekać, bo stwarza ryzyko zakażenia", oświadczył przedstawiciel ministerstwa. Restrykcje obejmują wszystkich zainteresowanych usługami masażystów – nawet tych, którzy mają plecy.

Nie dla konserwa-tystów

Choć od dawna mamy roślinne odpowiedniki parówek, schabowych i burgerów, mielonką mogli jak dotąd rozkoszować się wyłącznie mięsożercy. To jednak się zmieni, gdyż firma OmniFoods przygotowuje się do wprowadzenia na rynek wegańskiej wersji lubianej konserwy. OmniPork Luncheon Meat powstaje z soi, pszenicy, buraków oraz oleju kokosowego i zawiera znacznie mniej sztucznych dodatków niż mięsny pierwowzór. W ofercie hongkońskiego przedsiębiorstwa ma również się pojawić wegańska karkówka, sprzedawana w plastrach. Przewidujemy, że ostateczny cios mięsożerstwu zadadzą roślinne cynaderki i wątróbka.

Liż, płacz i walcz

Kolejną innowacją kulinarną rodem z Hongkongu są lody o smaku gazu łzawiącego. Do ich produkcji używa się pieprzu, który najpierw jest pieczony, a następnie mielony. Jak tłumaczy właściciel lodziarni Sogno Gelato, prywatnie aktywista polityczny, drapiący w gardło deser ma przypominać o brutalnie tłumionych przez policję protestach mieszkańców metropolii. „Walka trwa, nawet jeśli w danym

MEMY BEZ ŚCIEMY

eprasa.pl 1bef8a9bc8

W przyjaźni zawsze raźniej. Dziwogon czarny podróżujący na grzbiecie orła czubatego w Tajpej na Tajwanie i dwie żaby z gatunku *Rhacophorus feae* w zoo w Paignton w Wielkiej Brytanii.

momencie nie odbywa się żadna manifestacja. Nie możemy się zrelaksować, musimy pamiętać o niej każdego dnia", apeluje Wa Chung. Czas na ruch nadwiślańskich cukierni – może tak rurki z kremem czarnym jak parasolki?

Słyszysz, Pamelo, ten plusk?

Już w przyszłym roku nawet osoby niepotrafiące pływać będą mogły się poczuć jak postać grana przez Davida Hasselhoffa w serialu „Słoneczny patrol". Zatrudnienie się w roli ratownika umożliwi im tworzona przez Polaków gra komputerowa „Lifeguard Simulator". Do obowiązków gracza będzie należało nie tylko doglądanie przez lornetkę niedzielnych kraulistów, ale także prowadzenie akcji ratunkowych czy wlepianie kar za śmiecenie lub zbyt głośne imprezowanie. Nie wiadomo na razie, czy w produkcji pojawi się słynna Monika.

Muezzini kontra Mussolini

Kilka meczetów w tureckim Izmirze zostało zhakowanych, przez co zamiast wezwania do modlitwy nadały „Bella ciao", czyli pieśń włoskich antyfaszystów z czasów II wojny światowej. Co istotne, incydent miał miejsce w czasie ramadanu. Prokuratura wszczęła dochodzenie w sprawie cyberataku, a także przeciwko użytkownikom portali społecznościowych, którzy go pochwalali, co uznała za „oczernianie wartości religijnych".

FOT. SEKCJA GIMNASTYCZNA(2),TVPIKOREA, EAST NEWS (2)

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Robert Walenciak, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski, Edward Mikołajczyk, Ludwik Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May, Małgorzata Tabaka
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Karina Krystosiak, Rafał Pyznar
Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Katarzyna Chilecka
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120
WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

IZBA WYDAWCÓW PRASY
NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

eprasa.pl 1bef8a9bc8

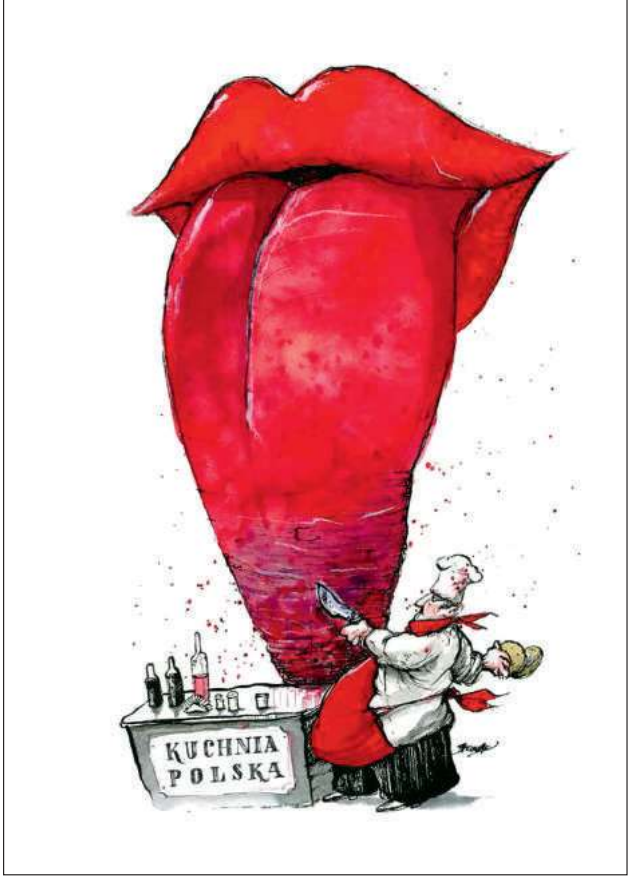

Bartłomiej Belniak

Mniej więcej naprawdę

W działalności artystycznej Belniaka znajdziemy odwołania do najlepszych osiągnięć karykatury jako gatunku sztuki. Rozpoznawalność dają mu pewna kreska i wypełnianie często intensywnymi kolorami wybranych przestrzeni rysunku. W ten sposób buduje portrety bohaterów różnorodnych scen: literackiej i muzycznej – tu odkrywa przed odbiorcami swoje zainteresowania i pasje – a także historycznej i politycznej, umiejętnie, w klasyczny dla karykatury sposób wydobywając cechy charakterystyczne danej osoby. Na wystawie zgromadzone zostały również rysunki satyryczne komentujące aktualne wydarzenia, a także realizacje o tematyce fantastycznej, które przenoszą widzów w inną, surrealistyczną rzeczywistość.

Muzeum Karykatury im. Eryka Lipińskiego
Warszawa, ul. Kozia 11
do 31 sierpnia

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 1bef8a9bc8

26.
WIOSNA
FILMÓW
Pierwszy w Polsce
Festiwal Filmów Fabularnych
ONLINE
29 maja - 7 czerwca 2020
bilety: 15 PLN
Festiwal odbędzie się na platformie MOJEeKINO.PL
wiosnafilmow.pl • /wiosnafilmow • /wiosnafilmow

ORGANIZATOR: Fundacja Fuchome Obrazy
WSPÓŁFINANSOWANIE: Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
PARTNER: MOJEeKINO.PL, stowarzyszenie kin studyjnych
PATRONAT MEDIALNY: cojestgrane24, KINO, Movieway, na:Temat.pl, bookbook, Głos Kultury, MNM, HIFI

eprasa.pl 1bef8a9bc8

TEATR CAPITOL

Anna KORCZ

Małgorzata POTOCKA

Dawid CZUPRYŃSKI

Anna GORNOSTAJ

Małgorzata Ostrowska-Królikowska

Paulina HOLTZ

Jacek KOPCZYŃSKI

Aleksandra SZWED

Olaf LUBASZENKO

Stanisław BANASIUK

Kacper KUSZEWSKI

Andrzej DESKUR

LIVE CHAT

z Capitalnymi Aktorami!

SPOTKAJ SIĘ Z CAPITALNYMI AKTORAMI ONLINE PODCZAS NASZYCH COTYGODNIOWYCH LIVE CHATÓW!

WIĘCEJ INFORMACJI NA:
www.teatrcapitol.pl/spotkania-live
Facebook: www.facebook.com/Teatr.Capitol.Warszawa
Instagram: www.instagram.com/teatrcapitolwarsaw
YouTube: www.youtube.com/user/teatrcapitol1

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl 1bef8a9bc8